



Joss Stirling

AKAPIT
PRESS

*Jak cię wykraść,
Phoenix?*

*Jeden ryzykowny krok
zwiąże ich na zawsze*

bestseller nastolatek • bestseller nastolatek

Joss Stirling
*Jak cię
wykraść
Phoenix?*

Benedicts 02

1

Chłopak wydawał się doskonałym celem. Stał z tyłu grupy zwiedzającej Stadion Olimpijski w Londynie, z uwagą skupioną na maszynach zawieszonych nad ogromną rampą prowadzącą do wejścia dla sportowców, a nie na obserwującej go złodziejce. Budynek był prawie skończony i moim zdaniem bardziej przypominał gigantyczny talerz na zupę w drucianej wirówce do sałaty postawionej na zielonym obrusie. Do zrobienia została tylko zieleń dookoła i ostatnie poprawki, zanim cały świat zacznie zjeżdżać się na igrzyska. Inni ludzie ze Wspólnoty też pracowali na tym terenie i to oni pokazali mi, którędy dostać się do środka, omijając ostre środki bezpieczeństwa. Byłam tu już kilka razy wcześniej, bo na turystach w rodzaju tych studentów można było się nieźle obłowić. Miałam mnóstwo czasu, żeby przyjrzeć się mojej ofierze, a dookoła nie kręciło się za dużo ludzi, którzy mogliby zepsuć mi podejście. Jeśli łup będzie niezły, przez resztę dnia będę mogła odpoczywać,

odwiedzić moją ulubioną pobliską księgarnię i nie martwić się konsekwencjami powrotu z pustymi rękami do domu.

Przycupnąwszy za zaparkowaną koparką, obserwowałam mój cel. To musiał być ten, którego miałam okraść: nikt inny nie był tak wysoki, poza tym pasował do zdjęcia, które mi pokazano. Miał kruczoczarne włosy, opaloną skórę i pewną siebie postawę. Nie wyglądał, jakby miał żałować utraty telefonu komórkowego czy portfela. Pewnie miał ubezpieczenie albo rodziców, którzy wkroczą i natychmiast pokryją straty. To sprawiło, że poczułam się lepiej. Kradzieże nie były czymś, co robiłam z wyboru; to był mój sposób na przeżycie. Nie widziałam dobrze twarzy tego chłopaka, ale widać było, że jest rozkojarzony jak ktoś, kto często krąży myślami gdzie indziej. Przeształ z nogi na nogę i nie patrzył tam, gdzie pozostali, kiedy przewodnik wskazywał elementy Parku Olimpijskiego. Uznałam, że to chyba dobrze, bo marzyciele byli doskonałymi celami - za wolno reagowali na kradzież. Chłopak miał na sobie sięgające do kolan szorty w kolorze khaki i koszulkę z napisem „Rafting Górski Wickenridge” przebiegającym przez szeroką klatkę piersiową. Wyglądał, jakby sporo trenował, więc nie mogę

popęłnić błędu. Jeśli za mną pobiegnie, pewnie nie uda mi się go prześcignąć. Poprawiłam sznurowadła sfatygowanych tenisówek, mając nadzieję, że to wytrzymają.

No dobrze, gdzie on może trzymać wartościowe rzeczy? Kiedy trochę się przesunęłam, zobaczyłam, że miał plecak przewieszony przez jedno ramię. Pewnie tam.

Wysunęłam się z kryjówki, by wtopić się w grupę. Miałam na sobie obcięte džinsy i koszulkę bez rękawów - to były jedne z nowszych i zdecydowanie najlepsze z moich ubrań, zwędziłam je z Top Shopu tydzień wcześniej. Moją słabą stroną jest to, że muszę się znaleźć blisko grupy, nad którą pracuję, żeby dokonać udanej kradzieży. To jest zawsze najbardziej ryzykowna część zadania. Przygotowałam się, wzięwszy ze sobą płócienną torbę, w rodzaju tych, które zagraniczni goście kupują na pamiątkę, z pretensjonalnie nagryzmołym napisem „London Calling”. Zabrałam ją z butik w Covent Garden. Byłam święcie przekonana, że zostanę wzięta za bogatą turystkę, taką jak oni, a moje niechlujne buty uznają za manifest modo-wy. Nie byłam jednak pewna, czy uda mi się przybrać wystarczająco inteligentny wyraz twarzy, żeby móc uchodzić za

członka ich grupy. Według moich źródeł, grupa przyjechała z Uniwersytetu Londyńskiego, gdzie brała udział w konferencji na temat nauki o ochronie środowiska czy czegoś równie dziwnego. Ja właściwie nie chodziłam do szkoły, a moja edukacja polegała na nieformalnych lekcjach udzielanych przez innych członków Wspólnoty i na czytaniu tego, co sama znalazłam w różnych bibliotekach. Gdyby ktoś mnie o coś zapytał, nie byłabym w stanie mówić językiem studenta nauk ścisłych.

Rozpuściłam związane gumką włosy i przerzuciłam kilka długich, ciemnych pasemek do przodu, żeby zakryły mi twarz i lepiej skryły mnie przed okiem kamery zamontowanej na ścianie dziesięć metrów dalej. Przysunęłam się do dwóch dziewczyn stojących mniej więcej metr od mojego celu. Ubrane były jak ja, w szorty i koszulki na ramiączkach, choć jedna z nich, blondynka o bladej skórze, spędziła tego lata więcej godzin niż ja w pomieszczeniach. Druga dziewczyna miała trzy dziurki w jednym uchu, dzięki czemu - miałam nadzieję - moje pięć będzie mniej rzucać się w oczy. Spojrzały na mnie z ukosa i uśmiechnęły się ostrożnie.

- Cześć, spóźniłam się - szepnęłam. Powiedziano mi, że między sobą nie znali się zbyt dobrze, jako że przyjechali na konferencję zaledwie wczoraj wieczorem. - Straciłam coś ciekawego?

Ta z kolczykami wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Jeśli lubisz łąki dzikich kwiatów. Zasiał tu wszędzie chwasty, przynajmniej tak określiliby to mój dziadek. - Miała akcent Amerykanki z głębokiego Południa, ociekający cukrem i zapachem magnolii. Włosy ciasno związane w cienkie warkoczyki - na sam ich widok chciało się krzyknąć z bólu.

Jasnowłosa dziewczyna pochyliła się ku mnie.

- Nie słuchaj jej. To fascynujące. - Ona też miała akcent, chyba skandynawski. - Dach jest z lekkiej membrany polimerowej. Bawiłam się tym materiałem na laboratorium w zeszłym semestrze. Ciekawie będzie sprawdzić, ile wytrzyma.

- Tak, to naprawdę... no... ekstra. - Już mnie onieśmiały: wyraźnie były geniuszami, a jednak wyglądały świetnie.

Przewodniczka przywołała grupę bliżej i po rampie weszliśmy na teren stadionu. Mimo iż miałam własne powody, żeby tu być, nie mogłam powstrzymać dreszczu podniecenia, idąc drogą, którą przemierzają sportowcy z pochodnią

olimpijską. Nie żebym miała jakiegokolwiek szanse, żeby być tu na samych igrzyskach; moje marzenia o śledzeniu jakiegokolwiek sportu nigdy nie przeszły przez bloki startowe. Chyba że Komitet Olimpijski postanowi zaszaleć i wprowadzi zawody dla złodziei - wtedy mogę mieć pewne szanse. Znałam radość, jaką daje udana kradzież, umiałam z wdziękiem wkraczać do akcji i bezszelestnie się ulatniać; do tego na pewno trzeba było mieć co najmniej takie same zdolności, jak do biegania po jakiejś głupiej bieżni. O tak, w mojej dyscyplinie należał mi się złoty medal.

Roześmiana przewodniczka machała parasolką, żeby zachęcić nas do podążania za nią, i tak weszliśmy w ogromną, owalną przestrzeń stadionu. Wow! Nigdy w czasie po-przednich wycieczek na teren Miasteczka Olimpijskiego nie dotarłam tak daleko. W głowie słyszałam echo wiwatujących tłumów. Całe rzędy pustych siedzeń wypełnione cieniami przyszłych uczestników imprezy. Nie zdawałam sobie sprawy, że przyszłość, podobnie jak przeszłość, miała swoje duchy, ale wyraźnie je czułam. Energia przepływała przez czas nawet w ten cichy lipcowy poranek.

Przypomniałam sobie, że powinnam skupić się na robocie i precyzyjnie się bliżej chłopaka. Teraz

mogłam zobaczyć go z profilu: miał twarz w rodzaju tych, jakie można zobaczyć w magazynach dla dziewcząt, obok równie wspaniałej modelki. Został szczerze wyposażony przez geny: nos jak wyrzeźbiony, czarne jak atrament, niedbale ułożone włosy, które zawsze dobrze wyglądały, niezależnie od tego, jak bardzo były rozczochrane, ciemne brwi i cudowne kości policzkowe. Nie widziałam jego oczu, bo miał okulary przeciwsłoneczne, ale gotowa byłam się założyć, że były ogromne, smutne i miały kolor czekolady. O tak, był zbyt idealny, żeby być prawdziwy, i za to go nienawidziłam.

Przywołałam się do porządku, zanim rzuciłam mu gniewne spojrzenie, zaskoczona tym, jak reaguję na tego chłopaka. Skąd taka reakcja? Zazwyczaj nie żywiłam żadnych uczuć wobec moich ofiar, poza wyrzutami sumienia, że akurat je wyróżniłam. Zawsze starałam się wyszukiwać ludzi, którzy zanadto nie odczuliby straty, trochę jak Robin Hood. Lubiłam przechytrzać bogatych, ale nie chciałam myśleć, że ktoś naprawdę cierpiał przez to, co robiłam. Szeryf Nottingham nieuczciwie ściągał podatki; zaś wielkie międzynarodowe firmy ubezpieczeniowe zdzierały pieniądze ze wszystkich, również z ubogich.

Przecież nie byłam taka jak one, nie okradałam wdów i sierot, prawda? Przecież w końcu dostawali odszkodowanie. Przynajmniej tak sobie powtarzałam, kiedy zastanawiałam się, jak podejść chłopaka. Ta robota była nieco inna, bo działałam na zlecenie; bardzo rzadko zdarzało się, że miałam okraść konkretną osobę - ale ulżyło mi, że mój cel wyglądał, jakby był ubezpieczony po czubek głowy. Ani on, ani ja nie znaleźliśmy się w tej sytuacji z własnego wyboru, więc nierozsądnie było mieć mu to za złe. Nie zrobił nic, by sobie na to zasłużyć. Tylko stał tutaj i wyglądał na zorganizowanego, czystego i skoncentrowanego, podczas gdy ja byłam jednym wielkim chaosem.

Przewodniczka dalej gładziła o tym, że krzesła zaprojektowano specjalnie tak, by dało się je usunąć. Jakby obchodziło mnie to, co zostanie po igrzyskach - nigdy nie byłam pewna, czy zobaczę następny miesiąc, a co dopiero mówić o tym, co będzie za dziesięć lat! Nad naszymi głowami przeleciał z rykiem samolot z Heathrow, znacząc niebo białym śladem. Kiedy chłopak spojrział w górę, przeszłam do dzieła.

Sięgnęłam po ich wzorce myślowe...

Wirowały jak szkiełka w kalejdoskopie, bez przerwy w ruchu. A potem...

Zatrzymałam czas.

No, niezupełnie, ale tak to wygląda, kiedy jest się stroną, która odbiera moją moc. To, co naprawdę robię, to zamrażam postrzeganie, tak że nie zauważasz upływu czasu - dlatego potrzebuję małych grup w zamkniętych pomieszczeniach. Ludzie z otoczenia mogliby się zorientować, gdyby jakaś grupa nagle przeobraziła się w figury z Muzeum Madame Tussaud. Wygląda to trochę jak utrata świadomości pod wpływem anestetyku, a potem nagły powrót do rzeczywistości. Przynajmniej tak mi powiedziano, kiedy wypróbowywałam moją metodę na innych członkach Wspólnoty - to taki mój dom, chociaż często czułam się w nim bardziej jak w zoo.

Wszyscy we Wspólnocie jesteśmy sawantami: ludźmi obdarzonymi niezwykłą mocą i zdolnością postrzegania zmysłowego. Sawanci istnieją, bo co jakiś czas rodzi się człowiek z darem, wyjątkowym wymiarem w mózgu, który pozwala mu robić to, o czym inni mogą tylko marzyć. Niektórzy z nas potrafią przesuwac przedmioty przy pomocy umysłu - mają zdolność do telekinezy; spotkałam paru, którzy potrafią stwierdzić, czy używasz mówienia w myślach, czyli telepatii; jest też jedna osoba, która potrafi namieszać w głowie i zmusić

cię, żebyś zrobił to, co ci każe. Sposobów, w jakie rozwijają się dary sawantów, jest wiele i są one rozmaite, ale nikt inny nie ma dokładnie takiego daru jak ja. To mi się podobało; czułam się przez to wyjątkowa.

Mała grupka dziesięciorga studentów i ich przewodniczka zastygli w pół gestu - dziewczyna ze Skandynawii z ręką we włosach, a chłopak z Azji w trakcie kichania -jego „aaa” nie przeszło w „psik”.

Nieźle, co? Potrafię nawet wstrzymać przeziębienie.

Szybko przeszukałam plecak mojej ofiary i trafiłam na żyłę złota. Miał iPada i iPhonea. To odkrycie było cudowne, bo oba przedmioty łatwo schować i mają wysoką wartość na rynku wtórnym, prawie tak wysoką, jak te nowe, kupowane w sklepie. Poczulałam znajome upojenie zwycięstwem i musiałam oprzeć się pokusie, żeby telefonem zrobić zdjęcie, jak stoją tak wszyscy, osiemnastolatki przyłapano na graniu w dziecięcą grę „raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”. Doświadczenie mówiło mi, że za zaspokojenie mojej chęci uczczenia zwycięstwa zapłacę potwornym bólem głowy, jeśli przytrzymam ich tak przez dłużej niż dwadzieścia czy trzydzieści sekund. Upchnęłam łup w płóciennej torbie i ułożyłam

plecak na ramieniu chłopaka dokładnie tak, jak przedtem - mam oko do szczegółów. Ale teraz stałam tak blisko, że prawie go obejmowałam i z boku, pod okularami, widziałam jego oczy. Moje serce zatrzymało się, kiedy dostrzegłam ich wyraz. To nie było oziębiające, szklane spojrzenie, jakie miały zazwyczaj moje ofiary; on wyglądał, jakby w jakiś sposób był świadomy tego, co się dzieje, a w jego oczach płonęła wściekłość.

Nie mógł przecież walczyć z moją mocą! Nikomu nigdy się to nie udało. Nawet najsilniejsi sawanci we Wspólnocie nie zdołali odeprzeć mojego zamrażającego ataku. Szybko przekierowałam uwagę, żeby wykorzystać mój drugi dar i sprawdzić jego wzorzec myślowy. Potrafię zobaczyć fale mózgowe w postaci jakby korony wokół słońca, trochę tak, jakby ktoś stał przed stale obracającym się witrażem w kształcie koła, odbijającym jego duszę, coś jak lustro. Na podstawie kolorów i wzorów można bardzo dużo powiedzieć o człowieku - nawet dopatrzeć się tego, o czym ostatnio myślał. Myśli tego chłopaka nie zatrzymały się w układzie, w którym były, w momencie kiedy uderzyłam - wtedy przypominały abstrakcyjne halo o niebieskiej barwie, oplecione liczbami i literami. Jego umysł wciąż pracował,

dużo wolniej, ale zdecydowanie świadomie. Poświata przybrała odcień ze spektrum czerwieni i pojawiła się w niej moja twarz w płomieniach. Och, co za pech.

Porzuciłam próbę zapięcia plecaka do końca i dałam dyla w kierunku wyjścia ze stadionu. Czułam, jak kontrola nad nimi wymyka mi się jak piasek wysypujący się z dziurawej torby, dużo szybciej niż normalnie. Część mnie krzyczała, że to nie mogło się dziać: w niczym innym nie byłam dobra; moja zdolność do zamrażania umysłów była tym, na czym mogłam niezawodnie polegać w całym tym szaleństwie, jakim było moje życie. Śmiertelnie przerażała mnie myśl o tym, że ona także mogłaby mnie zawieść. Jeśli tak się stało, będę przegrana. Skończona.

Kiedy wybiegłam ze stadionu, potknęłam się o lewy but - cholerne sznurowadło pękło. Pobiegnęłam w kierunku koparki, za którą się wcześniej chowałam. Jeśli uda mi się dobiec tak daleko, będę mogła ukryć się przed ludzkim wzrokiem i położyć się na tej łące z dzikimi kwiatami. Stamtąd na brzuchu przepelzną do betonowego przepustu, z którego korzystałam, by niepostrzeżenie dostać się na teren miasteczka.

Poślizgnęłam się na nierównej ścieżce i przy rampie zgubiłam jedną tenisówkę, ale byłam zbyt spanikowana, żeby po nią wrócić. Nigdy nie popełniałam takich błędów. Zawsze kradłam i znikałam z miejsca zdarzenia, nie pozostawiając żadnych śladów. Dotarłam do koparki. Serce łomotało mi w piersi jak dudniący wzmacniacz basowy.

Połączenie przerwało się i wiedziałam, że pozostali studenci też wrócili do świadomości. Ale czy jemu udało się odeprzeć mój zamrażający atak i wyśledzić, którądy uciekałam?

Odgłosy prac budowlanych trwały nieprzerwanie. Żadnych krzyków ani gwizdów. Wysunęłam głowę zza koła koparki. Chłopak stał u szczytu rampy, obejmując wzrokiem Park Olimpijski. Nie robił zamieszania, nie domagał się poszukiwań ani nie dzwonił na policję. Po prostu patrzył. Przeraził mnie tym jeszcze bardziej. To nie było normalne.

Nie było czasu do stracenia. Wycofałam się w wysoką trawę i znalazłam ścieżkę, którą już w niej wydeptałam. Powinna zaprowadzić mnie w bezpieczne miejsce. Z tej strony zamontowano mniej kamer, było też kilka punktów, które nie podlegały żadnej obserwacji, jeśli wiedziało się,

gdzie ich szukać, więc nie powinno być łatwo mnie zlokalizować. Wciąż miałam szansę uciec.

Leżąc na brzuchu, przycisnęłam torbę do boku i na chwilę przywarłam do ziemi, wciąż czując, jak adrenalina przepływa mi przez żyły niczym rozpędzone metro. Było mi niedobrze - czułam wstręt do siebie za ten nieprofesjonalny napad paniki i przerażenie tym, co się właśnie wydarzyło. Nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać; wciąż musiałam wydostać się na ulicę i pozbyć się tego, co ukradłam.

Przypomniawszy sobie, że znajdowałam się w posiadaniu dwóch bardzo drogich sprzętów, zerknęłam do torby. Była ciepła, nie - gorąca. Wsunęłam rękę do środka, żeby sprawdzić, co się dzieje. Co za głupota!

Telefon i tablet stanęły w płomieniach.

Z przekleństwem wyciągnęłam rękę i odepchnęłam od siebie torbę. Palce piekły mnie jak diabli i wyglądało na to, że poparzyłam sobie całą rękę. Otrząsnęłam się z bólu - nie mogłam zatrzymać się, by sprawdzić, jak bardzo jestem poparzona, bo teraz w ogniu stała cała moja torba i wysyłała sygnał dymny, dokładnie wskazując, gdzie chowa się złodziej. Chwiejnie stanęłam na nogi i na oślep pobiegłam do ogrodzenia, ciężko dysząc z

bólu. Potrzebowałam wsadzić rękę do wody. Nie dbałam już, czy ktoś mnie widzi; chciałam tylko się stamtąd wydostać.

Bardziej dzięki szczęściu niż orientacji znalazłam betonowy tunel i dziurę w ogrodzeniu. Kiedy przeciskałam się przez druty, zaplątały się w nie moje włosy i musiałam się szarpnąć, żeby się uwolnić, dodając kolejne skaleczenie do mojej rosnącej listy urazów i ran. Potem, kuśtykając i przyciskając rękę do piersi, ruszyłam przez nieużytki do stacji Stratford, by zgubić się w tłumie na peronie.

2

Tony, Tony, wpuść mnie! - Bębniłam zdrową ręką w sfatygowane drzwi przeciwpożarowe na tyłach budynku Wspólnoty. Drzwi miały tylko dźwignię antypaniczną od środka, więc musiałam poczekać, aż ktoś się nade mną zlituje i pozwoli mi wejść.

Tak jak przypuszczałam, o tak wczesnej porze dnia na służbie był tylko Tony. Pozostali wyruszyli w teren „gromadzić” dobra dla Wspólnoty. Słyszałam, jak Tony, szurając, podchodzi do drzwi, ciągnął za sobą kaleką nogę. Z łoskotem oparł się o dźwignię i otworzył drzwi, które otarły się o połamany betonowy chodnik.

- Phee, co robisz tak wcześnie w domu? - Tony odsunął się, żeby mnie przepuścić, po czym z wysiłkiem przyciągnął drzwi z powrotem. - Gdzie twoja torba, schowałaś ją gdzieś?

Tony był niskim mężczyzną o przyprószonych siwizną włosach, smagłej cerze i oczach jak ptak mieszkający w żywopłocie, zawsze czujny, czy w pobliżu nie ma drapieżników. I był moim jedynym przyjacielem. Dwa lata temu został ranny w czasie próby uprowadzenia ciężarówki, która zatrzymała się w zatoce niedaleko Walthamstow. Nie wiedział, że kierowca spał w kabinie. Mężczyzna odpałił silnik, kiedy usłyszał działanie telekinezy Tony'ego na zamki u drzwi, nie wyjrzawszy na zewnątrz, żeby sprawdzić, kto za tym stoi. Tony wpadł pod koła i omal nie zginął. Od tamtej pory miał tylko jedną sprawną rękę i nogę - druga ręka i noga zostały zmiażdżone i nigdy porządnie się nie zagoiły, mimo wszystkiego co próbowałam dla niego zrobić. Członkom Wspólnoty nie wolno było leczyć się na pogotowiu. Jak mówił nasz lider, musieliśmy latać nad radarem.

- Nie powinnaś już wracać. - Tony, niezdecydowany, stał w przejściu, nie wiedząc, czy powinien mnie wyrzucić, czy zamknąć drzwi.

- Jestem ranna.

Nerwowo zerknął przez ramię.

- Ale wciąż możesz chodzić, Phee - znasz zasady.

Moje oczy, zmęczone powstrzymywaniem łez, wypełniły się nimi, choć nie mogłam sobie pozwolić na ich wylewanie.

- Znam cholerne zasady, Tony. Moja torba spłonęła, jasne? A ja się poparzyłam. - Wyciągnęłam pokrytą bąblami dłoń. Ten jeden raz chciałam otrzymać współczucie, a nie być pouczana o obowiązkach. - To naprawdę boli.

- Och, *dashur*, źle to wygląda. - Na chwilę przygarbił plecy, pokonany, i zdawał się zastanawiać nad konsekwencjami, ale potem się wyprostował. - Nie powinienem cię wpuszczać, ale co z tego? Chodź ze mną, zajmę się tobą.

- Dzięki, Tony. Jesteś cudowny. - Nawet się nie domyślał, jak pomogła mi jego troska.

Tony zamknął drzwi i machnięciem ręki zbył moją wdzięczność.

- Oboje wiemy, że to nie zakończy sprawy, nie - kiedy nasz *kommandant* się o tym dowie. - Wzruszył z rozpaczą ramionami. - Ale teraz zajmijmy się twoją raną. Spodziewam się, że oboje tego pożałujemy.

Otarłam łzy wierzchem dłoni.

- Przepraszam, przykro mi.

- Tak, tak. - Odwrócił się do mnie plecami i wykonał palcami lekceważący gest niczym

wyzwanie dla nadchodzących kłopotów. -
Wszystkim nam jest bez przerwy przykro.

Poczłapał naprzód zatęchłym korytarzem, który służył częściowo za piwnicę, a częściowo za pomieszczenie techniczne. Wspólnota urządziła sobie *squat* w opuszczonym budynku komunalnym przeznaczonym do wyburzenia. Zdaje się, że lokalne władze miały nadzieję, iż przygotowania do olimpiady wchłoną ten brzydki element ich zasobów mieszkaniowych, ale kryzys położył kres ich marzeniom. Opróżniono niskie bloki, myśląc, że na miejsce żyjących z zasiłków mieszkańców wprowadzą się płacący podatki urzędnicy. Nikt jednak nie zgłosił się z buldożerami, by zbudować eleganckie apartamentowce, które miały zastąpić betonowe pudła. Zamiast tego sześć miesięcy temu wkradliśmy się tu my i urządziliśmy tu naszą własną małą kolonię. Nie było tu tak źle jak w niektórych naszych poprzednich siedzibach, bo wciąż była bieżąca woda, chociaż prąd został już odcięty. Odpowiednią łapówką czy dwiema przekonaliśmy policję, by przymknęła oko, kiedy włamywaliśmy się do zabitego deskami budynku. Twardziele z okolicy, którzy mogliby tu handlować narkotykami, szybko zostali odstraszeni przez naszych strażników. Jeśli w tym miejscu miało

dziać się coś złego, nasz lider chciał mieć pewność, że to on na tym skorzysta. I tak zostaliśmy tu sami - grupa około sześćdziesięciu sawantów i jeden dominujący nad nami Widzący. On był naszym odpowiednikiem królowej pszczół, a my - pszczołami robotnicami.

- Do środka. - Tony wepchnął mnie do maleńkiego pomieszczenia wielkości kredensu, które mu przyznano. Ponieważ ze względu na kalectwo musiał zrezygnować z aktywnej służby, nasz lider tylko z „dobroci serca” pozwolił mu zostać we Wspólnocie. Ta dobroć była tak wielka jak dziura, w której Tony mieszkał. Ja, dla kontrastu, otrzymałam prawdziwą sypialnię na piętrze - co równało się wyrażeniu uznania. Jako najlepsza w swoim fachu, nigdy jeszcze nie zawiodłam Widzącego. Do dzisiaj, ma się rozumieć.

- Bardzo źle? - spytałam, ostrożnie wyciągając rękę w kierunku brudnego okna. Zobaczyłam białe bąble po wewnętrznej stronie dłoni i zaczerwienioną skórę na ręku aż po łokieć.

Tony wydał zduszony okrzyk.

- Może powinnaś była zgłosić się na pogotowie, Phee.

- Wiesz, że nie mogłam.

Tony wyjął tubkę z leżącej na materacu walizeczki. Żadne z nas nigdy się nie rozpakowywało, bo zawsze musieliśmy być gotowi do natychmiastowej przeprowadzki. Wycisnął mi trochę maści na skórę, po czym spojrzał na mnie spoza rzęs.

- Nie, jeśli planowałaś wrócić.

- Ja... nie mam dokąd pójść, wiesz o tym. - Czy on mnie wypróbował? Widzący często sprawdzał naszą lojalność, nastawiając nas przeciwko sobie. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że między nami są jego szpiedzy.

- Naprawdę? Młoda dziewczyna taka jak ty powinna być w stanie urządzić sobie życie lepiej niż tutaj. - Pogrzebał w torbie i wyciągnął z niej rolkę przezroczystej folii - naszego odpowiednika opatrunku. Żyliśmy jak żołnierze na terytorium wroga, samowystarczalni, sami świadcząc sobie pierwszą pomoc. - To powinno utrzymać ją w czystości.

Przygryzłam wargę z bólu, kiedy owijał folią poparzoną dłoń i rękę, rozgniatając maść.

- Czy jest coś poza tym życiem, Tony? Nigdy nie byłam poza Wspólnotą. Widzący mówi, że ludzie tacy jak my nie są tam mile widziani.

Tony prychnął.

- Jasne, a on wszystko wie.

Zawsze na takiego wyglądał, przynajmniej odkąd sięgam pamięcią.

- Więc czemu ty zostałeś? - Jeśli poddawał mnie próbie, równie dobrze mogłam mu się odwzajemnić.

- Ja naprawdę nie mam dokąd pójść i nie mam pieniędzy. Nie jestem tu legalnie, *dashur*. Jeśli odeślą mnie do domu, skończę w Albanii jako były złodziej samochodowy bez żadnych środków do życia. W dodatku nie rozstałem się z rodziną w najlepszych stosunkach i pewnie zastrzeliliby mnie, gdybym tylko się tam pojawił.

Większość ludzi we Wspólnocie była jak Tony - bezpaństwowcy i tułacze. A to był tylko jeden z elementów potrzasku, w jakim się znajdowaliśmy.

- Ja też nie jestem legalna. Nie mam aktu urodzenia, nie mam nic. Nie jestem nawet pewna, kiedy się urodziłam.

- Byłem przy tym. - Tony oderwał ostatnią warstwę folii. - Chyba byliśmy w Newcastle.

- Naprawdę? Tak daleko na północy? - Nie zdawałam sobie sprawy, że Tony był z nami od tak dawna. Zrobiło mi się absurdalnie przyjemnie, że może wypełnić luki w mojej wiedzy. - Pamiętasz moją mamę?

Tony wzruszył ramionami.

- Tak, w tym czasie była jedną z partnerek Widzącego. Bardzo ładna, jesteś do niej podobna. Nie pamiętasz jej ani trochę?

Pokiwałam głową.

- Pamiętam, ale nie z tamtego okresu, tylko trochę później, kiedy nie była w dobrej formie. - Zmarła na raka, kiedy miałam osiem lat, po roku walki z chorobą. Jedyne, co pamiętałam wyraźnie, to rozpaczliwie chuda kobieta, która mocno mnie przytulała. Na szczęście byłam wystarczająco duża, żeby przejąć jej obowiązki, więc do ostatnich dni jej choroby nie straciłyśmy dachu nad głową. Nawet z wyrokiem śmierci nie mogła pójść do szpitala - Widzący na to nie pozwolił. Powiedział mi, że lekarze jej nie pomogą, skoro jego własna moc uzdrawiająca nie była w stanie usunąć guza. Wówczas mu uwierzyłam, ale dziewięć lat później, kiedy znałam go już lepiej, miałam wątpliwości. Jego moc uzdrawiająca zawsze wydawała mi się niczym więcej niż triumfem ducha nad materią. Moja mama udowodniła, że kiedy ciało odmawia posłuszeństwa, nie można wmówić sobie, że nic mu nie jest, i zignorować ból, jak kazał nam Widzący.

- To powinno ci pomóc. - Tony schował taśmę i maść z powrotem do walizki. - Powiesz mi, jak się tego dorobiłaś?

Przełknęłam ślinę, ale pokiwałam głową. Później będę musiała opowiedzieć o tym Widzącemu, więc równie dobrze mogłam teraz sprawdzić, jakie wrażenie sprawię na przyjacielu.

- Zgodnie z wczorajszym rozkazem byłam w Miasteczku Olimpijskim.

Tony usiadł na materacu. Tę część już znał, bo był na spotkaniu, na którym jak zwykle rozdzielono pomiędzy nas obowiązki. Nasza kolonia żyła z terenów wschodniego Londynu, które obejmowały finansowe bogactwo City i nową infrastrukturę olimpijską w Lee Valley. Wchłanialiśmy bogactwo jak pasożyty na zdrowym zwierzęciu.

- Wszystko szło dobrze - zwędziłam iPhonea i iPada z plecaka tego studenta, łatwa, czysta kradzież.

Tony gwizdnął z uznaniem.

- Prawie udało mi się uciec, kiedy... no... one wybuchły. Tony pokręcił głową.

- Phee, takie rzeczy nie wybuchają tak po prostu. Wyciągnęłam moją dłoń na dowód.

- Teraz tak. Wyglądało to tak, jakby ten chłopak wsadził tam sztuczne ognie czy coś

podobnego. Pewnie w nich grzebał. - Nagle coś przyszło mi do głowy. - O rany, myślisz, że to był terrorysta, który planował jakiś atak?

- Jeśli tylko poparzyłaś sobie palce, to nie. To brzmi bardziej jak zwarcie niż bomba - odparł Tony, marszcząc brwi.

- Faktycznie, kilka lat temu czytałam coś o zapalających się laptopach - coś było nie tak z bateriami.

- Tak, ale żeby tak się działo tuż po tym, jak je ukradłaś? To nie mógł być przypadek.

Tyle wywnioskowałam sama.

Tony podrapał się po brodzie. Kępki zarostu w zmarszczkach zachręściły pod stwardniałą skórą jego dłoni.

- Ale on nie powinien był wiedzieć, że to ty je zabrałaś, nie, jeśli wciąż byłaś na miejscu. - Tony był domyślny; wiedział, jak działa mój dar, i dostrzegł najdziwniejszy fragment mojej historii.

Zwinęłam się u końcu łóżka. Byłam strasznie zmęczona.

- No właśnie. To mnie najbardziej przeraziło. Wiedział, co robię - przysięgam. Widziałam moją twarz w jego myślach, kiedy go okradałam. Nie dał się całkiem zamrozić, walczył z moim atakiem.

- Phee! - Tony gwałtownie podniósł się na nogi, równie jak ja wstrząśnięty przebiegiem wypadków. - Nie możesz powiedzieć o tym Widzącemu! Zabije cię, jeśli będzie przy - puszczał, że ktoś wie, kim jesteś.

Zaschło mi w gardle.

- On... nie zrobiłby tego, prawda? Tony zaśmiał się głucho.

- Jak myślisz, gdzie podział się Mitch, kiedy w zeszłym roku został aresztowany i zwolniony za kaucją?

Nie chciałam tego słyszeć - naprawdę nie chciałam.

- Przecież pojechał do Hiszpanii, miał tam pracować dla Widzącego.

- Do Hiszpanii? Ciekawe określenie. Wylądował w płytkim grobie w Epping Forest, dashur. Widzący był na niego bardzo, bardzo zły.

Objęłam się zdrową ręką w pasie i oparłam o ścianę. Miałam gołe plecy i czułam, jak jest zimna i śliska. Gdzieś w głębi wyczuwałam, że tuż pod powierzchnią życia z Widzącym czaił się horror, ale żałowałam, że nie mogę dłużej udawać niewiedzy. Bałam się, że strach pozbawi mnie tej odrobiny niezależności i dumy, którą udało mi się utrzymać we Wspólnocie.

Tony westchnął, kiedy dostrzegł mój wyraz twarzy.

- Phee, ze Wspólnoty możesz się wydostać tylko na dwa sposoby - umrzeć albo zniknąć.

- Myślałam, że możemy odejść, jeśli znajdziemy naszego Przeznaczonego - naszą drugą połowę - odparłam cicho.

Tony skrzywił się.

- Kto ci naopowiadał takich bajek?

Moja mama, ale tego nie zamierzałam mu powiedzieć. Ona do końca miała nadzieję, że zostanie uratowana z tego piekła i że napotka swoją drugą połowę w jednym z miast, przez które przejeżdżaliśmy. Według niej, każdy z nas - posiadających dar - miał swój odpowiednik, poczęty w tym samym czasie gdzieś na świecie. Urodzeni w odstępie kilku dni albo tygodni od siebie, całe życie szukaliśmy tego sawanta, który by nas uzupełnił. Nadzieja na spotkanie mojego Przeznaczonego była tym, co rozjaśniało moje dzieciństwo. Moja mama szeptała mi do ucha, że mam swojego prywatnego Księcia, który gdzieś tam na mnie czeka. A gdyby ona zdążyła spotkać swojego, opuściłybyśmy Wspólnotę, a ja miałabym ojca, kogoś, kto kochałby mnie jak córkę. Nie byłam pewna, o ziszczeniu której z tych dwóch

historii marzyłam bardziej. Ale potem moja mama umarła. Powoli sen o Przeznaczonym - wyjątkowej osobie, która będzie o mnie dbać i mnie kochać, o związku bardziej intensywnym niż zwyczajna relacja dwojga zakochanych - umarł razem z nią. Właściwie, kiedy teraz o tym myślałam, stwierdzałam, że zawsze był zbyt piękny, żeby być prawdziwy.

- Już nie wierzę, że ktoś taki istnieje. - Tony, jakby powtarzając moje myśli, zwinął swoją sprawną rękę w pięść.

- To zbyt okrutne wciąż mieć nadzieję. A nawet gdybyś ty znalazła swojego Przeznaczonego, Widzący nigdy nie pozwoliłby ci odejść.

Na chwilę zamknęłam oczy, po raz ostatni pozwalając sobie na słodkie marzenie, że poza Wspólnotą istniał dla mnie ratunek, ktoś, z kim mogłabym zostać na zawsze. Sawanci bez swoich Przeznaczonych nigdy nie wiążą się z nikim - nie potrafią. Zmieniają jednego partnera po drugim, jak moja matka. Nigdy nie chciałam wieść takiego życia, ale takie właśnie będę musiała przeżyć. Wiara, że ktoś czeka, by mnie ocalić, była po prostu dziecinna. Musiałam ją porzucić.

- Więc masz do wyboru, Phee: umrzeć albo zniknąć -ciągnął Tony. - Proszę, bardzo proszę,

pomyśl o tym drugim. Nie chcę tu być, kiedy Widzący wybierze dla ciebie to pierwsze. - Tony zbliżył się do mnie i położył swoją zmiażdżoną rękę ze zwiniętymi palcami na moim policzku. - Zasługujesz na coś lepszego. I nie mów mu tego, co powiedziałaś mnie.

- On się dowie. Zawsze się dowiaduje. - Dlatego nami rządził. Widzący potrafił wyczuć kłamstwo na kilometr. Miał bardzo silny dar. Potrafił włączać i wyłączać urządzenia myślami, manipulować elektrycznością i wchodzić do cudzych umysłów, przełączając indywidualne przyciski, żeby zmusić kogoś do zrobienia tego, co on chciał. Nawet do tego, by popełnić samobójstwo, jeśli takie miał życzenie. Mitch prawdopodobnie sam wykopał sobie grób i wskoczył do niego na rozkaz Widzącego. Nasz lider potrafił także bez pomyłki rozpoznawać ludzki charakter i wyczuwał nielojalność, jeszcze zanim ktoś zdążył wprowadzić ją w czyn. Mieliśmy powody, by gorliwie mu służyć.

Tony opuścił rękę.

- Będzie chciał sprawdzić tylko, jeśli ci nie uwierzy, więc spraw, żeby twoja historia była przekonująca. Poćwicz stawianie tarcz.

- Nigdy nie potrafiłam mu się opierać. -
Zawsze byłam zbyt przestraszona, żeby próbować
czegoś tak bezczelnego.

- Widzący cię lubi; nie będzie szukał winy,
jeśli mu jej nie pokażesz. Potrzebujesz innej
historii. - Tony potarł czoło. - Wiem - czemu nie
powiedzieć, że wycieczka po Miasteczku
Olimpijskim się nie odbyła? Jeśli ukryjesz swoje
oparzenie, możesz powiedzieć, że nastąpiła zmiana
planów. Porozmawiam z Seanem - był dzisiaj tam,
gdzie ty, ale nic nie powie, jeśli jutro nadrobisz
straty. - Sean był naszym człowiekiem w
miasteczku i pracował jako ochroniarz na
stadionie.

- To co robiłam cały dzień?

Tony przemierzał małą powierzchnię pokoju
tam i z powrotem.

- Poszłaś... poszłaś szukać swoich ofiar,
kiedy się nie pojawiły - były na jakiejś konferencji,
prawda? W Queen Mary College?

Pokiwałam głową.

- Więc wymyśliłaś, że zaatakujesz je jutro,
żeby ukraść łupy warte przynajmniej dwudniowej
pracy - niech Widzący zaczną się ślinić na myśl o
tych wszystkich laptopach, zagranicznej walucie i

telefonach. Da ci następny dzień, żebyś mogła się wykazać.

Dotknęłam ręki nad oparzeniem. Miałam gęsią skórę.

- Ale on chciał, żebym uderzyła w konkretny cel, a ten chłopak mnie zobaczył. Celowanie dwa razy w tę samą osobę to proszenie się o kłopoty.

- No tak, z tym też będziesz musiała coś zrobić. - Tony nie patrzył już na mnie, tylko na rysę na ścianie nad moją głową.

- Co masz na myśli, mówiąc „coś zrobić”?

- Chyba to, że musisz mieć pewność, że właściciel nie myśli o kimś, kto kradnie mu iPada, bo ma poważniejsze zmartwienia.

- Na przykład jakie?

- Na głowę Widzącego, Phee, użyj wyobraźni. Zamroź go i zrzuć go ze schodów; niech się nabawi wstrząśnienia mózgu; walnij go młotkiem w rękę - coś wymyślisz. Jak do tej pory używałaś swojego daru tylko po to, żeby kraść, ale przecież nie jesteś głupia i zdajesz sobie sprawę, że dzięki niemu masz możliwość zrobić znacznie więcej!

- Ale jemu stanie się krzywda!

- Usiądź na szczycie sali. - Tony odwrócił się, rozczarowany moją reakcją. - Nie mówię ci, żebyś

go zabiła - po prostu daj mu coś, co go zajmie. Jeśli będzie musiał szukać lekarza, nie będzie martwił się o wybuchający iPad, prawda? Spraw, żeby wrócił do domu.

- Ja... nie mogę.

Tony otworzył drzwi, zniecierpliwiony.

- Zapominasz, Phee, że wciągnęłaś mnie w to, kiedy wpuściłem cię bez żadnego łupu dla Widzącego. Musisz zrobić tak, żeby wszystko skończyło się dobrze i żebyśmy wrócili do normalności - to albo znikaj, żeby nie dotarli do mnie. - Praktycznie wyrzucił mnie za drzwi, przerażony tym, jak wiele zasad razem złamaliśmy. - Idź się schować i wymyśl sobie historię, którą opowiesz. Nie pomogę ci podjąć decyzji - to twoja odpowiedzialność.

Wpadłam właśnie na jedną z tych barier stojących na drodze do prawdziwej przyjaźni, które są częścią życia we Wspólnocie. Pożegnałam się, podziękowawszy krótko Tony'emu. Wszyscy staraliśmy się przeżyć - tu kończyła się lojalność wobec drugiej osoby. Modląc się o większe niż normalnie szczęście i mając nadzieję, że nikogo nie spotkam, najszybciej jak mogłam poszłam po schodach na górę, do mojego pokoju. Im wyżej się mieszkało, tym więcej było światła i tym lepszy

zapach. Miałam jeden, mały pokój na piątym piętrze - pozostałą część piętra zajmował Widzący i mała grupa jego ochroniarzy i ulubieńców. O tej porze tylko oni mogli być w domu, ale musiałam wierzyć, że są zajęci swoimi sprawami i nie będą patrolować klatki schodowej. Widzący swoje apartamenty urządził dość luksusowo, miał nawet własny generator prądu, który stał przed moimi drzwiami, tak że wszystkie wieczory spędzałam przy akompaniamencie buczonego silnika, w oparach spalin. Nie przeszkadzało mi to, bo zagłuszało hałas odbywających się u Widzącego przyjęć. Działy się na nich złe rzeczy, ale jak do tej pory udało mi się trzymać od tego z daleka. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze. Ostatnio zauważyłam, że Widzący zaczął dziwnie na mnie patrzeć. Jako że byłam jednym z niewielu dzieci wychowanych we Wspólnocie, byłam chroniona długim cieniem dzieciństwa; teraz miałam siedemnaście lat, a niedługo miałam skończyć osiemnaście. Nie chciałam zostać dostrzeżona przez Widzącego, który wykorzystałby mnie i odrzucił jak tyle kobiet przedtem.

Jak moją mamę.

Dotarłam do pokoju niezauważona przez nikogo. Kiedy tylko znalazłam się w środku,

zamknęłam drzwi na cienki łańcuch. Nie powstrzymałby nikogo przed wejściem, ale dzięki niemu poczułam się lepiej. Sztuka życia we Wspólnocie polegała na tym, żeby jak najlepiej wykorzystywać drobne ustępstwa, przyznane nam przez Widzącego. Prywatność była jednym z najbardziej cenionych. Mieszkanie służyło za magazyn dóbr Wspólnoty: skradzionej elektroniki, skrzynek z winem i ze skórzanymi kurtkami. Pachniało tu jak w sklepie, nie jak w domu. Przyznano mi sypialnię, a nawet łóżko - zdecydowanie była to oznaka przychylności, bo większość spała na materacach na podłodze. Jedynymi osobami, które oprócz mnie miały ten przywilej, byli ochroniarze i dwóch innych młodych członków Wspólnoty, chłopaków, Jednorożca i Smoka. Dziwne imiona, ale moje imię to Phoenix, więc o czym tu mówić? Byli blisko Widzącego, więc ich specjalne traktowanie miało sens; moje przywileje trudniej było wyjaśnić, chociaż przypuszczam, że nasz lider uważał mój dar za użyteczny i wyjątkowy.

Jeśli oczywiście on nadal działał. Widzący nie będzie zadowolony, jeśli dowie się, że ktoś nie poddał się mojemu wpływowi. Przed kradzieżą w myślach widziałam się jako złotą medalistkę, a

teraz czułam się jak sromotnie przegrany biegacz, który dotarł na metę na ostatnim miejscu. Cokolwiek zamierzałam zrobić temu chłopakowi, musiałam się upewnić, że nikt inny nie dowie się, że on zdołał mi się oprzeć.

3

Dziewiąta wieczorem. Najbardziej nielubiana przeze mnie pora dnia. Czy słońce, czy deszcz, Wspólnota gromadziła się na terenie zniszczonego placu zabaw, pośrodku kompleksu budynków, żeby złożyć raport Widzącemu. Jak papież w Niedzielę Wielkanocną, Widzący pojawiał się na balkonie nad naszymi głowami i obserwował, jak jego ludzie zabierają nasze łupy. Następnie ogłaszał plan na następny dzień, a potem, jeśli wszystko poszło dobrze, rozchodziliśmy się albo z powrotem do pokojów, albo do kolejnej roboty. Jeśli wszystko poszło dobrze.

Jeśli nie, gorszyciela zabierano na górę, do mieszkania Widzącego, żeby się przed nim wytłumaczył. Wiedziałam, że prawdopodobnie właśnie to mnie dziś czekało: brak dóbr do przekazania zdecydowanie wymagał poświęcenia mi uwagi.

Przygotowałam się na spotkanie, wkładając bluzkę z długim rękawem, żeby przykryć poparzenie, i obwiązując dłoń bandażem, by wyglądało na to, że tylko się zacięłam. Zdarzało się to często przy włamaniach, więc niepowinno wywołać zdziwienia. Przejrzałam się w kawałku lustra wciąż wiszącym nad umywalką w łazience. Opalenizna sprawiała, że moje ciemnoniebieskie oczy wyglądały na jaśniejsze niż zwykle. Sięgające do połowy pleców włosy sama obcięłam w zeszłym tygodniu i teraz układały się nierównymi kosmykami wokół mojej twarzy, podwijając się do góry na końcach. Wyglądały lepiej, niż powinny, zważywszy, że obcięłam je nożyczkami do paznokci. Bez makijażu, z rządkiem skromnych kolczyków w uszach, wyglądałam na mniej niż siedemnaście lat. Liczyłam, że zadziała to na moją korzyść.

Budzik przy moim łóżku zadzwonił, ostrzegając mnie, że została mi tylko minuta do apelu. Wybiegłam truchtem z pokoju i dołączyłam do pozostałych zbiegających po schodach na plac zabaw. Nikt się nie odzywał. Napięcie o tej porze zawsze było zbyt wysokie; zatrzymywaliśmy się na pogawędkę dopiero, kiedy męka dobiegała końca. Wślizgnęłam się na moje zwyczajowe miejsce przy karuzeli i usiadłam na brzegu, skubiąc farbę.

Dostrzegłam Tony'ego chowającego się za huśtawkami - jak zwykle starał się nie rzucać się w oczy.

Dokładnie o dziewiątej, za dotknięciem umysłu Widzącego, włączyły się reflektory, rozpędzając mrok. Na najwyższym piętrze otworzyły się drzwi i odziana na białą postać naszego lidera podeszła do barierki.

Widzący, prawdziwe imię nieznane. Ulizane do tyłu czarne włosy, twarz z podwójnym podbródkiem, tłuste palce pełne pierścionków: aż prosił się o atak serca, ale niestety do tej pory zdarzały mu się tylko ataki bólu. Czasami fantazjowałam na temat tego, jak by to wyglądało, gdyby się przekręcił: czy wszyscy rozpierzchlibyśmy się jak uciekinierzy z więzienia, czy ktoś inny zapragnąłby przejąć jego miejsce? Od kilku lat przygotowywał Smoka i Jednoroźca do pełnienia najwyższej funkcji; bawił się ich rywalizacją. Jeśli ktokolwiek z nas miał przejąć władzę, to na pewno zrobi to jeden z nich. Moc Smoka polegała na przesuwaniu przedmiotów siłą woli - raz widziałam, jak w ten sposób przesunął samochód. Jednorożec potrafił sprawić, by rzeczy się starzały - owoce dojrzewały, kwiaty kwitły i umierały - tego rodzaju sprawy. Z dwojga złego wolałabym, żeby

zaatakował mnie Smok: bycie ciśniętym przez pokój było dużo mniej szkodliwe niż utrata lat życia.

Ludzie Widzącego mieszały się między nas, żeby dokonać zbiórki. Ubrani byli w uniformy składające się z czarnych koszulek, skórzanych kurtek i spodni - negatywy białego garnituru Widzącego. Wpatrywałam się uparcie w swoje paznokcie i zdrapywałam niebieski lakier, mając nadzieję, że jakimś cudem mnie ominą. Miałam mnóstwo czasu, żeby myśleniem wpędzić się w depresję. Co takiego było w nas, sawantach? Czemu z takimi darami musieliśmy wieść takie gówniane życie? Naoglądałam się wystarczająco dużo telewizji, żeby wiedzieć, że większość ludzi w moim wieku ma rodziny, chodzi do szkoły, mieszka przy ładnych ulicach i prowadzi zwyczajne uporządkowane życie. Czemu ja tkwiłam w tej norze? Chciałabym żyć gdzieś, gdzie liczba ludzi pod jednym dachem przewyższała liczbę szczurów. Bycie sawantem powinno oznaczać, że wygraliśmy szczęśliwy los na loterii genetycznej, bo kapryśna natura wyposażyła nas w coś więcej, a tymczasem w jakiś sposób okazało się, że jesteśmy przez to podwójnie skazani. Po pierwsze, byliśmy oddzieleni od normalnego świata darem, o którym inni nie

mogli wiedzieć, bo inaczej dokoniliby na nas sekcji w laboratorium albo zabili nas ze strachu; po drugie, naszym przeznaczeniem było żyć samotnie, bo fatum przeznaczyło nam partnera, którego prawdopodobnie nigdy nie spotkamy. Byliśmy jak zestawy lego, z których połowa rozsypała się po drugiej stronie globu.

- No, Phee, a ty co dzisiaj masz?

Świetnie, moje szczęście naprawdę przebywało dziś w złej strefie: przede mną zatrzymał się Jednorożec. Wysoki i chudy, z dużym nosem, przypominał mi rozciągniętego Jasia Fasolę o uroku zbrodniarza. Lubił osobiście karać słabszych członków Wspólnoty; jeśli tylko mogliśmy, wszyscy trzymaliśmy się od niego z daleka.

- O, cześć, Jednorożcu. Mój cel nie przyszedł dzisiaj w wyznaczone miejsce, ale dowiedziałam się, gdzie będą jutro w college'u, i mam zamiar tam zaatakować. - Czy brzmiało to tak rozsądnie, jak planowałam?

Jednorożec podrapał się po czubku przypominającego dziób nosa.

- Co chcesz powiedzieć? Czy to znaczy, że dzisiaj nic nie masz?

Nie musiałam podnosić głowy, żeby wiedzieć, że nasza rozmowa zaczyna przyciągać uwagę.

Przerwa w zbieraniu łupów nie oznaczała nic dobrego.

- Nie dzisiaj. Ale spodziewam się naprawdę dużego łupu jutro.

- Och, Phoenix, wiesz, że dla Widzącego jutro nie jest wystarczająco dobre. - Przybrał prześmiewczo zasmucony ton.

Odlupałam duży kawał niebieskiej farby.

- Ja... myślałam, że to będzie w porządku, no wiesz, ten jeden raz. Jeden, jedyny raz.

Podniósł mnie za łokieć - na szczęście ten niepoparzony.

- Chodź. Pójdziemy powiedzieć to Widzącemu.

Nikt nie patrzył mi w oczy, kiedy ciągnął mnie przez płac zabaw; niełaska miała własną moc odpychania.

- Jak dostałaś się do środka? - spytał zimno Jednorożec, kopniakiem otwierając sięgającą do pasa bramkę.

Nie chciałam pakować przyjaciela w kłopoty.

- Wykręciłam Tony'emu rękę. Nie chciał mnie wpuścić, ale powiedziałam mu o moich planach na jutro.

- Mogłaś zamiast tego zwędzić coś innego, nie byłoby takiej afery. - Popchnął mnie przed sobą na schody.

Pokręciłam głową, zaskoczona taką sugestią.

- Ale myślałam, że musimy wykonać misję, którą nam przyznano - a nie uderzać na własną rękę. - To była jedna z zasad Wspólnoty.

- Tak, ale jest czas na to, żeby grać według zasad, i czas, żeby trochę zboczyć z toru, rozumiesz? - Popchnął mnie w krzyż, bo nie byłam w stanie dotrzymać mu tempa - miał za długie nogi. - Z twoim darem jeździłbym cały dzień metrem i zamrażał pasażerów w tunelach. Nie rozumiem, czemu Widzący marnuje twój dar na takie płotki, jak turyści w Miasteczku Olimpijskim. - Odchrząknął, bo dotarło do niego, że zabrzmiało to zbyt buntowniczo. - Ale jestem pewien, że ma swoje powody.

Za nami rozległy się kroki. Ktoś nas gonił.

- Hej, chłoptasiu, dokąd prowadzisz Phee? - To był Smok. Aż dyszał, nieprzyzwyczajony do takich ćwiczeń. Rudowłosa i piegowaty, wyglądał na bardziej przyjaznego, niż był w rzeczywistości - jowialny gracz rugby, ale o ostrych zębach, jak jego patron.

Jednorożec był wyraźnie zadowolony, że może się podzielić wiadomością.

- Niczego nie przyniosła.
- Co? Zupełnie nic?
- Zero. Nada. Zilch.
- Phee, zwariowałaś czy co?

Zwiesiłam głowę, próbując wyglądu zagubionego dziecka.

- W miasteczku nikogo dzisiaj nie było, więc pomyślałam, że wykonam robotę jutro w collegeu - jeśli Widzący nadal chce, żebym pracowała nad tą grupą.

Jednorożec trącił mnie, żebym się ruszyła.

- Chce, chce. Bardzo mu zależy na sprzęcie tego chłopaka, którym kazał ci się zająć.

- Ale ja mogę ukraść mnóstwo rzeczy od całej grupy - każde z nich ma przynajmniej laptop. I zagraniczną walutę.

Jednorożec wzruszył ramionami.

- Co mnie to obchodzi. Usprawiedliwiaj się przed Widzącym, nie przed nami.

Smok zatrzymał go na chwilę.

- Ale mówimy o Phee. Co będzie, jeśli każe jej samej się ukarać?

Byłam zaskoczona, że Smok się nade mną litował. To fakt, dorastaliśmy razem, ale to czyniło

z nas raczej kraby w ciasnej torbie atakujące się szczypcami niż sojuszników.

- To chyba nie nasz problem? - Jednorożec popędził mnie na balkon na piątym piętrze. - Wątpię, żeby posunął się tak daleko, nie z nią. W końcu pokrewieństwo do czegoś zobowiązuje.

Pokrewieństwo?

- Masz rację. - Smok wydał westchnienie ulgi. - Do tej pory nie pozbył się żadnego z dzieci.

Zatrzymałam się gwałtownie i odwróciłam, żeby na nich spojrzeć.

- *Dzieci?*

Stałam tak nagle, że Jednorożec wpadł na mnie i popchnął mnie na podłogę. Potknął się o mnie i nastąpił mi na rękę.

- Ruszaj się, ty idiotko! Gorzej już być nie może, nie każ mu jeszcze czekać.

Przycisnęłam ręce do piersi - teraz obie były uszkodzone, ale mój szok zagłuszał ból.

- Powiedziałaś „dzieci”. - Nie chciałam wstawać, póki nie otrzymam wyjaśnień.

- No i? Nie mów, że nic nie podejrzewałaś. Widzący nie zatrzymuje dzieci we Wspólnocie, jeśli nie uważa ich za swoje.

O Boże.

- Niedobrze mi. - Uklekłam na podłodze, żeby zwymiotować, ale w gardle czułam tylko żółć. Nie jadłam nic od wczoraj, więc w żołądku miałam pusto.

Smok złapał mnie za koszulkę i postawił na nogi.

- Weź się w garść, Phee. Widzący to twój tatuś, dzięki niemu masz swój dar, więc powinnaś być mu wdzięczna.

- On nie jest moim ojcem. - Moja mama zawsze powtarzała, że moim ojcem jest wspaniały mężczyzna, którego poznała na romantycznych wakacjach w Grecji, tuż przedtem, zanim wstąpiła do Wspólnoty. Był wysoki, miał ciemnoniebieskie oczy, tak jak ja, i był przystojny - mężczyzna doskonały, ale nie sawant, a więc nie jej Przeznaczony.

Smok potrząsnął mną.

- Nie obchodzi mnie, kogo uważasz za swojego tatusia, ale nie chcę patrzeć, jak zadajesz sobie ból, więc przestań svirować i zachowuj się jak należy. Musisz usprawiedliwić się przed Widzącym, a nie przeżywać załamanie nerwowe na podłodze.

Był brutalny, ale mówił rozsądnie. Jakakolwiek była prawda, musiałam zamknąć ją w pudełku,

schować na strychu i zająć się nią później, jak tyłoma innymi rzeczami związanymi z życiem tutaj.

- Dobrze, dobrze, jeszcze chwilę. - Wzięłam głęboki oddech. Rozsądna dziewczyna spróbowałaby wyciągnąć korzyść z tej wiadomości, a nie wpadała w panikę. - W takim razie, skoro wy też jesteście... no wiecie... czy to znaczy, że jesteście moimi braćmi?

Jednorożec prychnął.

- Przyrodnimi, ale to tylko biologiczny zbieg okoliczności, więc nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego.

- No właśnie. A widziałaś, jak małe ptaki zachowują się w gnieździe? - spytał Smok, szczerząc nierówne zęby. - Jeśli wejdiesz nam w drogę, weźmiemy cię w dzioby i wyrzucimy. - Klepnął mnie po plecach, żebym się ruszyła.

OK, przynajmniej to było jasne: moi przypuszczalni bracia byli tylko odrobinę zainteresowani moim losem, głównie dlatego że gdyby mnie stało się coś złego, ich też mogłoby to spotkać. Nic się właściwie nie zmieniło.

Dotarliśmy do Widzącego, stojącego przed wejściem do swojego mieszkania. Pozostali sawanci wciąż byli na placu zabaw, przytrzymywani jego wzrokiem - a patrzenie mu w oczy bolało bardziej

niż uporczywe wpatrywanie się w reflektory. Na odgłos naszych kroków odwrócił się i przeniósł na mnie spojrzenie swoich bladoniebieskich oczu - małych szlachetnych kamyków w jego błyszczącej tłustej twarzy. Natychmiast poczułam mrowienie i wiedziałam, że szuka w moim umyśle usprawiedliwień. Żeby się obronić, zalałam mój umysł niepokojem spowodowanym świeżą wiadomością, że on może być moim ojcem. To powinno być w stanie odwrócić jego uwagę. Przerwał kontakt, uśmiechając się nieznacznie, jak Dracula, zanim zatopi zęby w żyle.

- Jednorozcu, podaj mi plan na jutro. - Widzący mówił szeptem, jakby wciąż był podduszany. - Smoku, wprowadź Phoenix do środka.

Jedynym miejscem w całym budynku, w którym wykonano jakiś remont, było to mieszkanie. Ludzie Widzącego, całkowicie lekceważąc względy konstrukcyjne, zburzyli kilka ścian, by otrzymać ogromny pokój dzienny z przeznaczeniem na przyjęcia. Błyszcząca podłoga była z dębowego drewna, skradzionego w sklepie z materiałami budowlanymi i położonego przez nas, zanim wprowadził się tu Widzący. W jednym końcu pokoju trzy ogromne skórzane kanapy otaczały

wielki ekran telewizyjny. Obecne dziewczyny Widzącego spoczywały dekoracyjnie na poduszkach, popijając nieprawdopodobnie wyglądające koktajle. Zawsze uważałam za dziwne, że udawał, iż mieszka niczym w penthousie na Manhattanie, podczas gdy na zewnątrz widać było biedny stary Mile End. Efekt był mniej więcej tak przekonujący, jak przeceniony designerski Rolex, który można kupić na targu za pięćdziesiąt funtów. Widzący kochał swoje fantazje, a to była ich tania wersja, przybliżenie życia, które oglądał na ekranie telewizora.

Widzący posadził swój tłusty tyłek w centrum środkowej kanapy, w miejscu, w którym było już zagłębienie wielkości jego pupy, bo przesiadywał tam przez większość dnia. Poruszył palcami - znak, że miałam się zbliżyć.

- Phoenix, wyjaśnij.

Stałam przed nim, przy brzegu puszystego, białego dywanu. Bałam się, że pobrudzę go, jeśli na niego wejdem, i wtedy on jeszcze bardziej będzie chciał mnie ukarać. Kiedy po raz kolejny pochwaliałam się moją historią, zabrzmiała słabo, nawet w moich uszach. Smok ustawił się tuż za Widzącym i z jego ponurej miny domyśliłam się, że jego zdaniem nie szło mi dobrze.

Dobrnęłam prawie do niezbyt imponującego zakończenia, kiedy Widzący uniósł palec.

- Widziałaś chłopaka, którego kazałem ci okraść? Dzień wcześniej dostałam jego zdjęcie, kopię fotografii paszportowej.

- Tak, z daleka. Łatwo go zauważyć. Widziałam, jak... -wymyśl prawdopodobne miejsce - wchodzi do sali wykładowej, razem z innymi. Jest wysoki.

- I myślisz, że możesz wykonać zadanie jutro - zdobyć te rzeczy, o które prosiłem?

Nie, bo te rzeczy były teraz kupką stopionych obwodów drukowanych.

- Jestem pewna.

Naprawdę? Widzący przerzucił się na telepatię. Nie znosiłam tego uczucia, kiedy krążył po moim mózgu.

Tak, jestem pewna. Odpowiedziałam w ten sam sposób, próbując skupić moje myśli na jednym słowie: „tatuś”.

Widzący uśmiechnął się znowu i skinął, bym podeszła bliżej. Uznałam to za pozwolenie na pobrudzenie stopami dywanu. On czekał, palcem wskazując na miejsce tuż przed sobą. Co teraz? Zerknęłam na Smoka. Rękoma wykonywał gest „na kolana”. Moje nogi ugięły się i opadłam na podłogę

u stóp Widzącego. Upierścieniona ręka poklepała mnie po głowie.

- Wyglądasz tak jak Sadie w twoim wieku. Niedługo będę musiał wyszukać dla ciebie partnera we Wspólnocie - kogoś godnego, żeby związać się z moim potomkiem.

Przebiegł mnie dreszcz. Nie chciałam słuchać, jak wspomina moją matkę, ani znać jego planów odnośnie mojej przyszłości.

- Zastanawiałem się, kiedy zdasz sobie sprawę z naszego pokrewieństwa. Twoja matka wypełniła twoją głowę mnóstwem kłamstw i zabrało ci dużo czasu, żeby zmądrzeć. Myślę, że najwyższy czas, byś dołączyła do Jednorozca i Smoka jako członek mojej dynastii. - Przerwał, wyraźnie spodziewając się, że wypełnię ciszę obfitymi podziękowaniami, podczas gdy ja chciałam uciec jak najdalej stąd.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć. - To przynajmniej była prawda.

Wziął mnie pod brodę i ścisnął ją odrobinę za mocno.

- Zdobądź rzeczy tego Amerykanina, Phoenix. Potrzebuję ich. Potem porozmawiamy o twojej przyszłości.

To nadal ją miałam?

- Zrobię to, obiecuję.

Puścił mnie, a ja odebrałam to jako znak, żeby się podnieść. Pomyliłam się.

- Czekaj. Twoja kara.

Ponownie upadłam na kolana. W pokoju zapadła cisza. Kobiety na kanapach bały się poruszyć, lód nie brzęczał w szklankach.

Mały robak wpełzł do mojego mózgu i zaczął po nim krążyć, zostawiając wiadomość.

Nie będziesz jeść ani pić, póki tego nie zrobisz. Nie będziesz w stanie. Wymawiał te słowa, jednocześnie wdrukowując je telepatycznie w mój umysł.

Smok wypuścił powietrze - wyraźnie obawiał się czegoś dużo gorszego. Kobiety odprężyły się; jedna z nich sięgnęła po oliwkę z talerzyka stojącego na szklanym blacie stolika kawowego.

Widzący puścił mnie.

- Rozumiesz, Phoenix?

Pokiwałam głową, przyciskając rękę do gardła. Już czułam obrzydzenie na myśl o przełknięciu czegokolwiek, a to wszystko przez jego władzę nad moim umysłem.

- Więc lepiej zacznij od razu. Nie chcesz chyba stracić śniadania, prawda? - Roześmiał się, a wałeczki tłuszczu na jego brzuchu zakołysały się w

górze i w dół, jakby jakaś mała wyspa przechodziła trzęsienie ziemi. - Biegnij już, mój kwiatuszk. - Zerknął na biały ekran za mną i telewizor ryknął na cały regulator.

Wstałam i pospiesznie wyszłam z pokoju, zostawiając Widzącego z jego zausznikami. Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, że ci, którzy nie byli związani z Widzącym więzami krwi, już walczyli zaciekle, by zostać partnerem, którego dla mnie wybierze. Jeszcze jeden rywal dla Jednorożca i Smoka. Moim dwóm „braciom” nie spodoba się ten projekt.

Tony kręcił się na podeście - odważnie wspiał się aż na piąte piętro, choć powinien był zejść do piwnicy.

- Wszystko w porządku, Phee?

Pokiwałam głową, chociaż, prawdę mówiąc, powinnam była nią pokręcić. To niemożliwe, żebym posiadała DNA tego potwora, prawda?

- Nie mówiłaś im o mnie? - A więc dlatego tu był.

- Jednorożec wie, ale nic nie powiedział. Nie wspomniałam o tym Widzącemu, bo mnie o to nie pytał.

Tony podrapał się po policzku, po czym skinął z zadowoleniem głową.

- W porządku. Załatwiłem sprawę z Seanem, nie powie, co się stało w Miasteczku. Tylko upewnij się, że jutro wrócisz z mnóstwem łupów, dobra?

- Jasne.

Uśmiechnął się do mnie krótko.

- Tym razem rundę wygrali maluczcy, co?

Nie powiedziałabym tego, ale niech się cieszy swoim złudnym zwycięstwem. -Tak.

- Dobranoc. - Pomachał mi na do widzenia i poczłapał w kierunku schodów.

Nie mogłam zdobyć się na odpowiedź: ta noc nie zapowiadała się dobrze. Będę głodna, spragniona i nie będę mogła nic z tym zrobić, a odrażająca wiadomość o tym, kim jest mój ojciec, naprawdę nie pozwoli mi zasnąć. Gdybym mogła wtedy wypowiedzieć jakieś życzenie, poprosiłabym o to, żebym nigdy się nie urodziła.

Miałam zamiar wycofać się do swojego pokoju, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się Jednorożec. Podniósł mnie do góry i przycisnął do ściany z ręką na mojej szyi.

- Co Tony chciał powiedzieć?

- Że... że nie dostałam ciężkiej kary i że mam drugą szansę - odpowiedziałam szybko, zbyt przerażona, żeby mu się wyrywać. Ten dzień zaczynał być drugim najgorszym dniem w moim

życiu. Pierwszym był ten, w którym zmarła moja mama.

Jednorożec pochylił się ku mnie i ścisnął mnie mocniej.

- Widzący nadal chce, żebyś okradła tego chłopaka?

- Tak. - Zamknęłam oczy z bólu. Czy został mi jakiś kawałek ciała, który dzisiaj nie będzie mnie bolał?

- Czemu?

Skąd miałam wiedzieć? Ale Jednorożec chyba nie mówił do mnie i pytanie zawisło w próżni między nami. Puścił moją szyję i odsunął się.

- Tony cię wpuścił.

Już mu to powiedziałam. -Tak.

- Lubisz Tony'ego?

Podchwytliwe pytanie. Odpowiedziałam wzruszeniem ramion.

- Wiem, że tak. Jeśli chcesz, żeby Tony nie został w to wmieszany, to, co ukradniesz temu chłopakowi, przyniesiesz najpierw do mnie, jasne? Zanim zanieiesz to Widzącemu.

Tego nie było w zasadach. Nasze łupy mieliśmy przekazywać publicznie na zgromadzeniu, a nie dokonywać prywatnych wymian za plecami Widzącego.

Mój wyraz twarzy musiał zdradzić, że ta propozycja mnie nie uszczęśliwiła. Znow złapał mnie za gardło, tym razem robiąc mi siniaka.

- Czy Tony tak mało dla ciebie znaczy? Myślałem, że jest twoim przyjacielem. - Wypowiedział to słowo, jakby to był synonim „karalucha”.

- OK, znajdę cię najpierw. Tylko nie rób nic Tony'emu, proszę.

Zabrał rękę i uśmiechnął się.

- Jakżebym mógł.

4

Wejście na teren Queen Mary College było dużo prostsze, niż się spodziewałam. Byłam w odpowiednim wieku; dołożyłam starań, żeby wyglądać, jakbym była stąd, wyposażywszy się w kilka broszur wystawionych w holu. Dzięki temu nikt mnie nie zatrzymał, kiedy weszłam do środka.

- W czym mogę pomóc? - spytała kobieta obsługująca konferencję, kiedy do niej podeszłam. Miałam nadzieję, że nie zauważyła cieni pod moimi oczyma ani tego, z jakim trudem zdobyłam się na uśmiech pod jej adresem. Przed sobą miała stertę folderów i alfabetycznie uporządkowanych identyfikatorów. Przesunęłam wzrokiem po imionach i wybrałam „Ann Peters”. Szybko zerknęłam za siebie, żeby sprawdzić, czy nie ma za mną nikogo, kto mógłby mnie zdradzić.

- Dzień dobry, jestem Ann Peters.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie serdecznie i bez słowa podała mi identyfikator oraz materiały

konferencyjne. Ale cóż, kto przy zdrowych zmysłach włamywałby się na konferencję o - zerknęłam na ulotkę - Modelowaniu zmian klimatycznych? Powstrzymałam prychnięcie, bo przed oczyma pojawiła mi się wizja naukowców-dziwaków przechadzających się po wybiegu w różnych modelach płaszczy przeciwdeszczowych i okularów.

- Pierwsza sesja zaczyna się dopiero za godzinę, ale zapraszam do kawiarni albo na wystawę w bibliotece.

- Dziękuję bardzo. - Lubiłam biblioteki; zawsze były dla mnie bezpieczną przystanią. Wcisnąwszy folder pod pachę, pospiesznie odeszłam w kierunku, który wskazała kobieta. Miałam nadzieję, że nie zapamięta, iż wzięłam identyfikator Ann Peters, i jego brak uzna za pomyłkę, ale na wszelki wypadek zmieniłam trochę swój wygląd. Weszłam do łazienki, gdzie związałam włosy prostą, brązową apaszką. Następnie włożyłam moją ulubioną parę okularów z przezroczystymi szklami. Dzięki czarnym, grubym oprawkom wyglądałam znacznie poważniej. Postarałam się wyglądać zupełnie inaczej niż wczoraj - włożyłam białą koszulę z długimi rękawami, rozpinany sweter i niemodną spódnicę.

Brak kolczyków i buty na grubej podeszwie dopełniały modowej porażki. Na koniec odwróciłam identyfikator tyłem - nie chciałam wpaść na prawdziwą Ann, mając na szyi plakietkę z jej imieniem. W pustym miejscu wpisałam „Wendy Barrie”, pierwsze imię, jakie przyszło mi do głowy, zaraz po Peters. Przeglądając się w lustrze, pomyślałam, że przeistoczyłam się w całkiem inną osobę: Wendy, brzydką siostrę Kopciuszka.

Mimo to musiałam jeszcze zmyć makijaż. Zdjęłam okulary, włączyłam wodę i zmyłam go, po czym wysuszyłam twarz ręcznikiem do rąk, zostawiając skórę całkowicie nagą. Nawet ja widziałam, że bez tuszu i kredki do oczu wyglądałam na bezbronną i zmęczoną. Nie spałam od dwudziestu czterech godzin, a od dwunastu nie piłam ani kropli wody. Jeśli szybko tego nie załatwię, nie będę w stanie podjąć kolejnej próby. Wiedziałam już, że Widzący będzie ze mnie niezadowolony; mój cel na pewno nie miał czasu zastąpić tamtych gadżetów nowymi i mogłam dziś liczyć tylko na jego portfel i paszport - jeśli będę miała szczęście. Moja wiara w siebie została podkopana. Nie mogłam zapomnieć, że wczoraj chłopak oparł się mojemu działaniu; teraz, kiedy wiedział, czego się spodziewać, mogę nie dostać

nawet tych kilku sekund zamrożonego czasu. Ale jeśli nie uda mi się czegoś od niego ukraść, umrę z pragnienia - to sprawiło, że skoncentrowałam się jak nigdy.

Wzięłam głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy, spojrzałam na plan na pierwszej stronie programu konferencji i skierowałam się do biblioteki. Nie miałam zamiaru oglądać wystawy, ale stwierdziłam, że to będzie najlepsze i najmniej rzucające się w oczy miejsce, żeby przyjrzeć się uczestnikom konferencji. Znalazłam cichy kącik w dziale „prawo ochrony środowiska” i wyciągnęłam książkę z półki, tworząc barierę między mną a resztą świata. Miałam stąd dobry widok - widziałam dziedziniec i kawiarnię, która robiła dobry interes na porannych kawach i croissantach, i wystawę, z którą chyba wszyscy mieli się zapoznać.

Zaburczało mi w brzuchu, sygnalizując, że jestem głodna, ale ucisk w gardle ostrzegł mnie, bym nie jadła.

Jak by to było - zastanawiałam się, obserwując zbierających się w słońcu studentów - mieć takie możliwości, móc podróżować, przyjaźnić się i uczyć? Para dziewczyn, z którymi rozmawiałam na terenie miasteczka, znalazła się w moim polu

widzenia, niczym gazy na wyżynie, zgrabne i eleganckie. Należały do innego gatunku niż ja, były istotami wyższymi, niezdającymi sobie sprawy z tego, jakie mają szczęście. Było tam też kilka słoni - niezgrabnie poruszających się chłopaków, którzy nie wiedzieli, co zrobić z kończynami ani jak radzić sobie z dźwiganymi stertami książek; trochę mnie oni onieśmielali. Niski Azjata przedarł się przez tłum, ptak brodzący nad sadzawką, raz po raz sięgający po smaczne kąski. A potem pojawił się lampart. Poruszał się wśród nich płynnymi ruchami dzikiego kota, zrzucając z siebie plecak ruchem ramienia. Wypuściłam powietrze - nie zdawałam sobie sprawy, że je wstrzymywałam. Mój cel. Usiadł obok gazel i przyjął kęs croissanta od tej jasnowłosej. Rozmawiali i śmiali się razem, całkowicie swobodni w swoim towarzystwie. Jak to możliwe, żeby tak szybko się zaprzyjaźnić? Czy nie wiedzieli, że nikomu nie można ufać? Patrzyłam na nich z boku, zazdrosna o tę dobrą komitywę, ale i podejrzliwa. Żadna z osób, które znałam, nie zachowywała się tak.

Cała trójka wypila kawę, po czym podniosła się i skierowała w moją stronę. Lampart zatrzymał się na chwilę, żeby zamienić słowo z ptakiem brodzącym. Schowałam się za książką. Byłoby

doskonale, gdyby weszli tutaj - mogłabym wykonać robotę, nie robiąc zamieszania. Zerkając nad krawędzią książki, zobaczyłam, że lampart zostawił swój plecak pod opieką Azjaty. Poczułam przypływ irytacji; wyglądało to, jakby zrobił to specjalnie, żeby pokrzyżować mi plany. A więc zamierzasz utrudnić mi zadanie, chłopcze.

Rozmawiali, kiedy weszli, a ich głosy rozbrzmiewały donośnie w ciszy biblioteki. Zdążyłam zauważyć, że była opustoszała, bo semestr się skończył, zwykli studenci wyjechali na wakacje, a nikt z pozostałych uczestników konferencji nie wydawał się zainteresowany zejściem ze słońca. Moje trzy cele okręgały tablice wystawowe.

- Yves, dzwoniłeś już do rodziców w sprawie twojego iPada? - spytała ciemna gazela, klepiąc go po ramieniu.

Yves. A więc tak miał na imię. Jak Yves Saint Laurent, projektant mody. Wymawiane jako „Iw”, chociaż zaczyna się na „y”.

- Wczoraj wieczorem. Ale nic się nie stało, Jo
- na szczęście nic mnie nie kosztował. Dostałem go od Apple do przetestowania - najnowsza generacja.
- Miał wspaniały głos jak gorąca czekolada.

Mogłabym go słuchać godzinami, nawet gdyby tylko recytował książkę telefoniczną.

- Wow. - Gazela spojrzała na niego z uwielbieniem. Poczułam dziwną potrzebę wytrząśnięcia jej z tego zapatrzenia policzkiem.

- Tak, to miała być tajemnica. - Odsunął się o krok, zakłopotany tym, że obdarza go tak pełną uwagą. - To, że został zniszczony, oznacza mniejszą stratę dla firmy, niż gdyby złodziejowi udało się z nim uciec. Pewnie będą źli, ale nie na mnie.

Przynajmniej to wyjaśniało, dlaczego Widzący tak bardzo chciał położyć swoje łapska na rzeczach tego chłopaka: nowy model firmowany przez Apple jest wart fortunę.

Dziewczyna ze Skandynawii zatrzymała się przed fotografią topniejących gór lodowych.

- To takie wstrętne ze strony tej złodziejki - po co kraść ci torbę, a potem ją palić? To po prostu złośliwe.

Yves wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, po co ktoś to robi. Pewnie była zdrowo naćpana.

Nigdy. Miałam dość problemów, żeby dodawać sobie jeszcze ten.

Jo zmarszczyła brwi.

- Ale była w tym dobra - nawet nie widziałam, jak się do ciebie zbliżała. A ty, Ingrid?

- Nie. To bardzo dziwne. Hej, spójrzcie na to.
- Odciągnęła ich w kierunku tablicy na drugim końcu. Skorzystałam z tego, że byli odwrócenii do mnie plecami, i wstałam, żeby wyjść, mając nadzieję dobrać się do torby chłopaka w czasie, kiedy on był w środku.

Wyszłam na słońce i przyjrzałam się kawiarni, żeby ocenić, czy nadaje się na uderzenie. Nie trzeba było dużo czasu, by stwierdzić, że jest w niej za dużo ludzi i wychodzą na nią okna z mnóstwa biur. Czy staromodna metoda po-dejdz-i-złap zadziałała? Chłopak z Azji siedział przy torbie jak kura na jajku, ze słuchawkami w uszach i głową odchyłoną w stronę słońca. Wyobraziłam sobie, jaką wrzawę bym wzbudziła. W dodatku byłam zbyt daleko od wyjścia, żeby mieć pewność, że ucieknę z terenu kampusu. Będę musiała zaczekać, aż znajdziemy się w bardziej ograniczonej przestrzeni. Przeglądając rozkład dnia, zauważyłam, że o jedenastej uczestnicy mieli seminaria w salach ćwiczeniowych. Nigdy nie miałam okazji chodzić do college'u, ale z telewizji i filmów wnioskowałam, że seminaria miały mniejszą liczbę uczestników niż wykłady. Moja moc działała na maksimum

trzydzieści osób naraz, więc to brzmiało jak dobra okazja.

Ufając, że dzięki mojemu przebraniu nie zostanę rozpoznana jako złodziejka z wczoraj, poszłam za studentami i przesiedziałam z nimi cały wykład wprowadzający. Siedząc w tylnym rzędzie, miałam wrażenie, jakbym była na piętrze autobusu i patrzyła na ludzi na dole, nie słysząc wiele z tego, o czym rozmawiali, ale rozkoszując się wtykaniem nosa w czyjeś życie. Dwóch wykładowców na dole przemawiało z entuzjazmem, przeklikując się przez prezentację, jak oszuści wzbudzający zaufanie tłumowi swoją gadką. Nie byłabym zaskoczona, gdyby zakończyli, zapraszając nas wszystkich, byśmy wysupłali pieniądze na prawo do korzystania przez tydzień z apartamentu na Teneryfie, ale wykład dobiegł końca, a oni nie sprzedali nam niczego. Moim zdaniem - stracona możliwość; do tej pory każdy członek Wspólnoty doprowadziłby studentów do tego, by sięgnęli do swoich portfeli.

Publiczność wysypała się z sali, rozmawiając o tym, do jakich grup dołączają teraz.

- Ja idę na „Dowody naukowe” - zadeklarowała zadziornie gazela Jo. - A wy? Ingrid?

- Myślę o „Wpływie człowieka” - Ingrid zwróciła pełne nadziei oczy na Yvesa, który zamiast ciemnych okularów miał na sobie parę uroczych szkieł bez oprawek.

Uroczych? Opanuj się, Phee!

- Idę na „Wpływ na ekosystem”, więc do zobaczenia później. - Skręcił korytarzem w lewo. Obie dziewczyny wyglądały na załamane złymi wyborami. Omal się nie roześmiałam; były takie przejrzyste w swoim pragnieniu śledzenia najprzystojniejszego chłopaka na konferencji. Yves ze swojej strony nie wydawał się zasmucony tym, że na chwilę uwolnił się od ich dość oczywistych prób poderwania go. Wywnioskowałam z tego, że nie był pewien, jak sobie radzić z tak jawnymi sygnałami kobiecego zainteresowania. Biedny, duży, przystojny chłopczyk - stwierdziłam ironicznie, ruszając za nim.

My, czyli ci od wpływu na ekosystem (właśnie wybrałam tę grupę), zajęliśmy miejsca w małym pokoju, w jednym z najstarszych budynków na kampusie. Usiadłam za moim celem, przy oknie. Byliśmy na pierwszym piętrze, z balkonem, który wychodził na trawnik i białą wieżę zegarową, trochę w dziewiętnastowiecznym stylu, na Mile End Road. Dostrzegałam uspokajające migawki z

mojego świata - samochody, taksówki, pieszych - tuż po drugiej stronie niskiego, białego muru. Nie mogłam wykonać ruchu, aż wszyscy się zbiorą, na wypadek, gdyby ktoś mi przerwał, tak więc powoli liczyłam studentów wchodzących przez drzwi. Zaniepokoiłam się, kiedy ich liczba osiągnęła dwadzieścia pięć. Pot zaczął ściekać mi po karku. Musiałam doliczyć jeszcze wykładowcę, a już prawie osiągnęliśmy moje maksimum.

I wtedy on postanowił być miły.

Yves odwrócił się i uśmiechnął się. Prawdopodobnie stwierdził, że jestem niegroźną kobietą, ponieważ jeszcze nie poprosiłam go o jego numer telefonu, jak wszystkie inne napotkane dziewczyny.

- Cześć, yy... - zerknął na mój identyfikator. - Wendy. Przyjechałaś dzisiaj, prawda? - Jego głos był łagodny i pełen humoru, tak że miałam ochotę zamruczeć jak zadowolony kot.

- Tak - odparłam szeptem, nie moja wina, nie piłam nic od wieków.

- Jesteś krewną?

- Słucham?

Wskazał długopisem na moje nazwisko.

- J.M. Barriego. No wiesz, tego od Piotrusia Pana?

Znał go? Ten naukowy geniusz wiedział, że ta książka po raz pierwszy ukazała się z imionami Peter i Wendy w tytule? Myślałam, że tylko wyrzutki takie jak ja, które straszyły w ciemnych kątach bibliotek publicznych, interesowały się takimi tajemnicami? Ale musiałam mu odpowiedzieć. Nie mogłam gapić się na niego jak ryba wyrzucona na mieliznę.

- Yyy... Nie. Chciałabym.

- Z której szkoły jesteś? - Patrzył teraz na mnie, jakby miał wrażenie, że się spotkaliśmy, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Wymieniłam pierwsze miejsce, które przyszło mi do głowy.

- Ze Szkoły dla Dziewcząt w...yyy... Newcastle.

- Newcastle. To w północnej Anglii, prawda?

- No. - Wendy nie powiedziałyby „no”. - Tak, niedaleko granicy ze Szkocją.

- Nigdy tam nie byłem. - Co za ulga. Z moim szczęściem mógłby mieć bliską rodzinę w miejscu mojego urodzenia. - I tam chodzisz do college'u.

-Yyy... tak. - Wytężyłam mózg, żeby wymyślić miejsce, którego nie będzie znał. - Aberdeen.

- O, super. Mają świetny Wydział Nauk o Ziemi, są w czołówce, jeśli chodzi o badania nad

wydobyciem ropy naftowej. Czytałaś ich ostatnią publikację na temat składowania dwutlenku węgla?

Nie.

- Oczywiście. Dlatego złożyłam tam papiery. Ja, miss nauk o Ziemi. Zdobywanie ropy jest takie fascynujące. -Zamknij się, Phee.

Yves popatrzył na mnie sceptycznie.

- Chciałaś powiedzieć „wydobywanie”.

- Przepraszam, przejęczyłam się. Wydobywanie. Wciąż wyglądał na nieprzekonanego.

- To jaką wybrałaś ścieżkę?

- Nauki o Ziemi. - Ha, tutaj mnie nie zagnie.

- No tak, ale musisz wybrać jakąś specjalizację, prawda?

Muszę?

- No cóż, pomyślałam, że na początek skupię się na Ziemi. - To zabrzmiało głupio. - Wybrałam geografię. -Czy to była nauka o Ziemi? Nie miałam pojęcia.

Moja odpowiedź chyba go usatysfakcjonowała. Czulałam się jak ktoś, kto ledwie uniknął wypadku samochodowego, hamując w ostatniej chwili. W głowie wciąż słyszałam pisk opon.

- Ja jesienią zaczynam naukę o środowisku w Berkeley, ale zamierzam też zrobić trochę

programu z geografii. Mamy ze sobą dużo wspólnego. - Odwrócił się przodem do tablicy, kiedy weszła wykładowczyni.

Mamy?

- No... tak, to bardzo interesujące. Berkeley. Zerknął na mnie przez ramię.

- To w Kalifornii.

Z jego wyczekującego spojrzenia domyśliłam się, że powinnam była to wiedzieć.

- Oczywiście. Słyszałam. Pewnie, że tak.

Proszę. Utwierdziłam go w przekonaniu, że Wendy jest idiotką, która naprawdę nie powinna zaczynać studiować geografii, bo nawet nie wie, gdzie jest Berkeley.

Wykładowczyni, młoda Hinduska, wyszła na środek sali i podniosła rękę, oczarowując mnie brzęczącym rzędem swoich bransoletek. Nigdy nie nosiłam takich rzeczy, bo przeszkadzały w kradzieży.

- Witam wszystkich. Nazywam się doktor Sharma. Jest mi ogromnie miło widzieć, że tak wielu z was wybrało ten kurs.

Mnie nie: jeśli dobrze liczyłam, w sali było nas trzydzieści dwoje. Nigdy wcześniej nie próbowałam zamrozić tak wielu ludzi naraz.

- Zostaliście wybrani, bo należycie do najlepszych uczniów waszych collegów albo szkół - do naszych gwiazd, które będą świecić przynajmniej przez kilka następnych dziesięcioleci. I, jak wszyscy wiecie, wpływ na ekosystem to dziedzina, w której będą się działy rzeczy ważne dla każdego odkrywczego naukowca. Może na początek niech każdy z was opowie nam coś o sobie.

Może nie. Musiałam to przerwać, zanim mnie wywoła. Zamknęłam oczy i sięgnęłam po ich wzorce myślowe. Większość tworzyła jasnoniebieskie i zielone wiry; gdzieś tam przeblyskiwały obrazy gór i rzek; kilka dziewcząt w marzeniach widziało twarz Yvesa; mój cel natomiast miał myśli czarno-białe, a mój wizerunek z wczoraj przecinał się z tym, jak wyglądałam dzisiaj.

A niech to szlag, rozpracowywał mnie. Biało-czarne wzory otoczone były przez pomarańczowe płomienie podejrzania.

- Dziewczyna z tyłu - przepraszam, nie wiem, jak się nazywasz - wszystko w porządku?

Otworzyłam oczy - doktor Sharma mówiła do mnie. Ostrożnie zbierane wzorce rozpierzchły się jak owce uciekające z zagrody. Kiwnęłam głową.

- To dobrze, bo zwykle wysyłam moich studentów spać po tym, jak trochę pogadam, a nie zanim nawet zacznę.

Jej widownia zaśmiała się uprzejmie.

- Tak...yyy... przepraszam - odparłam z wahaniem.

- Czy już możemy zacząć? Może kolega przed panią zechce nam się przedstawić?

Yves poderwał się, wyrwany ze swoich myśli.

- Tak, pani doktor, z przyjemnością.

Chętnie bym go posłuchała, ale musiałam to zrobić. Rozciągnąć mój umysł, żeby zebrać wątki ich myśli, potem zwinąć je razem i... Stop.

Zadziało - na sekundę. Ktoś mi się wyrywał, próbował wyswobodzić się z mojej pułapki, a ja nie musiałam się rozglądać, żeby wiedzieć, kto to był. Nie miałam czasu przeszukiwać jego rzeczy; po prostu chwyciłam jego torbę i pobiegłam, potykając się o wyciągnięte nogi chłopaka siedzącego naprzeciwko.

Jak możesz? Słowa protestu wbiły mi się w mózg jak szpikulec do lodu. Wpadłam na drzwi, obejmując głowę rękoma. Od tej telepatycznej wiadomości całe moje ciało aż dźwięczało - nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło. Czułam się tak, jakby Yves znalazł moje prywatne fale i grał piosenkę

napisaną specjalnie dla mnie, na cały regulator, aż drgały mi kości. Była tak pociągająca i przejmująca, że nie byłam w stanie jej zagłuszyć. Chciałam odpowiedzieć, czułam, że tego pragnę, ale jak mogłam? Przecież próbowałam go okraść!

Moje połączenie z wzorcami myślowymi w pokoju załamało się i wszyscy gwałtownie odzyskali świadomość, by znaleźć mnie przykucniętą przy wyjściu.

- Jak...? - Doktor Sharma w zdumieniu obróciła głowę od mojego krzesła do drzwi. Według jej zmysłów, wyglądało to tak, jakbym przeskoczyła tę przestrzeń jak jakaś superbohaterka.

Yves nie tracił czasu na gapienie się, jak reszta. Przeskoczył przez biurko i rzucił się za mną. Wtrącona z powrotem w ruch, wypadłam z sali i pędem puściłam się przez korytarz. Co się przed chwilą stało? Nie prześcignę go, więc będę musiała zrobić coś, czego on nie robi. Wbiegłam do następnej, pustej klasy i podbiegłam do okna. To tylko pierwsze piętro. Mój świat ledwie pięćdziesiąt metrów w dół, jeśli uda mi się zeskoczyć, nie łamiąc kostki. Szarpnięciem otworzyłam okno i wspięłam się na parapet, z torbą przewieszoną przez ramię. Nie byłam jednak dość szybka. Jego ręka złapała mnie za łydkę.

Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

Wypowiedziane przez niego w myślach słowa wzbudziły we mnie dreszcze. Nie potrafiłam zmusić mózgu do pracy. *Idź sobie. Po prostu sobie idź!*

Zamarł, a potem zacisnął mocniej rękę na mojej nodze, próbując wciągnąć mnie z powrotem do pokoju. *Jak ty to robisz? Ty... jesteś inna. Powiedz do mnie coś jeszcze.*

Odwal się.

Miał czelność się roześmiać, a jego zachowanie z wściekłości przeszło w dziwne podniecenie. *To ty -wiem, że to ty!*

Nie wiedziałam, za kogo mnie bierze, ale nie planowałam zostać, żeby się dowiedzieć. Ta dziwna intymność naszej rozmowy w myślach wzbudzała we mnie przerażenie. Kopnęłam go mocno, dziękując Wendy i jej grubym podszwom, kiedy udało mi się dosięgnąć jego żołądka, ale cholerny jankes nie chciał mnie puścić.

Ho-ho, nawet nie próbuj, Wendy. Ściągnął mnie na podłogę przy oknie i powstrzymał mnie przed szamotaniem się, siadając mi na plecach.

- Wezmę to, dziękuję.

Zdjął swoją torbę z mojego ramienia i odrzucił ją poza zasięg moich rąk. Niedobrze. To mi pachniało policją i więzieniem. Leżałam

nieruchomo, na chwilę pokonana. Ponuro skonstatowałam, że ponieważ nie zrobiłam tego, co mi kazano, i tak nie przeżyję długo w mojej celi. Prawdopodobnie umrę, zanim skończy się jutrzejszy dzień, jeśli nie będę mogła się napić.

- Proszę, pozwól mi coś ci ukraść. - Zabrzmiało to żałościwie, ale pozostało mi tylko błagać.

- Do tego dojdziemy później. - Yves delikatnie położył mi rękę na głowie. W tej chwili wykazywał dużo większą przytomność umysłu niż ja. - Kto by pomyślał, że moja Przeznaczona okaże się złodziejką?

Znieruchomiałam. *Przeznaczona?* Musiał żartować. To była tylko bajka.

- Więc wiesz, co to znaczy? - Musnął moją szyję, powodując, że przeszły mnie dreszcze. Moje ciało go rozpoznało, chociaż mój umysł wciąż wrzeszczał, że muszę natychmiast się stąd wydostać. - Myślałem, że może nie wiesz. Przeznaczona mojego brata nie wiedziała. Jesteś sawantką?

Słyszałam odgłosy dochodzące z korytarza - reszta grupy seminaryjnej szukała dwóch brakujących członków. Skinęłam głową.

Ktoś zbliżał się do naszej sali.

- Jeśli pozwolę ci wstać, powiemy im, że to był żart? Znów skinęłam głową, planując wyskoczyć przez okno, kiedy tylko ze mnie zejdzie.

- Ale musisz mi obiecać, że nie zrobisz nic głupiego, na przykład *nie będziesz uciekać*.

Cholera.

- OK. - Przynajmniej, jeśli uda nam się przekonać resztę, że to żart, kupowałam sobie trochę więcej czasu.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać, i natknął się na mój bandaż.

- To przeze mnie? Nie odpowiedziałam.

- Przepraszam. Nie mogłem ci pozwolić ukraść tych rzeczy - nie były moje. Ale przyznaję, że straciłem nad sobą panowanie. Muszę trzymać moje emocje na wodzy, inaczej mój dar wymyka się spod kontroli. Strasznie mnie wczoraj wkurzyłaś.

A jemu nie podobało się, że mnie podpalił? Widziałam jego myśli; wiedziałam, że był zadowolony, że przechytrzył sprytnego złodzieja.

Wziął mnie za łokieć i pomógł mi się podnieść dokładnie w chwili, kiedy otworzyły się drzwi.

- Co tu się dzieje? - Doktor Sharma stanęła w drzwiach z wyrazem rozdrażnienia na twarzy.

Yves wyszedł przede mnie, żeby mnie zasłonić.

- Proszę przyjąć nasze przeprosiny, pani doktor. Wendy i ja jesteśmy przyjaciółmi z dzieciństwa. Wendy lubi mi dokuczać i zabierać mi torbę. - Wzruszył ramionami. - Zaczęło się od podkradania ciastek w podstawówce, a skończyło się na całych plecakach. Wiem, że to dziecinne.

- Jestem wami rozczarowana. Ta konferencja nie jest dla dzieci, tylko dla dorosłych - zachowujcie się, jak na wasz wiek przystało.

Czując, że chwieję się na nogach, Yves objął mnie w pasie i podtrzymał.

- Oczywiście. Ma pani rację. Proszę przyjąć nasze przeprosiny.

- W takim razie wracajcie na seminarium, żebyśmy mogli popracować. - Wyszła, wciąż zdenerwowana, powiewając luźnym, turkusowym żakietem.

- Nie mogę tam wrócić - syknęłam, kiedy Yves popchnął mnie za nią.

- Owszem, możesz. O dwunastej jest przerwa, wtedy porozmawiamy.

- Nie mam pojęcia o tym, co robicie.

Uśmiechnął się złośliwie, uznawszy całą sytuację za zabawną. Według mnie była koszmar.

- Tak, domyśliłem się, miss nauk o Ziemi.

Przed oczyma ujrzałam czarne plamy.
Potrząsnęłam głową.

- Wszystko w porządku?

Nie, nie w porządku. Złodziejka. Przeznaczony.
Chaos. Byłam tak spragniona, że nie potrafiłam
myśleć jasno. Obliziałam spierzchnięte wargi.

Yves wprowadził mnie z powrotem do sali
seminaryjnej, ze śmiechem odpierając komentarze
na temat swojego nagłego zniknięcia. Rozdawał
przeprosiny niczym życzliwy lord rozrzucający złote
monety tłumowi - hojnie i garściami. Posadził mnie
na krześle obok siebie, nie puszczając mojej ręki.

- Masz jakieś kajdanki? - wymamrotał pod
nosem, spodziewając się, że się roześmieję.

Położyłam głowę na ławce, podczas gdy doktor
Sharma wróciła do wykładu. Na szczęście po
zadziwiającej demonstracji naszego poczucia
humoru porzuciła pomysł przedstawiania się.

Przed moim nosem pojawiła się butelka wody.
Pij.

Nie mogę.

Czemu? Nie otwierałem jej.

Proszę, pozwól mi coś ci ukraść.

Patrząc mi w oczy, Yves włożył butelkę z
powrotem do torby, po czym skinął głową. *To moja
woda. Cokolwiek chcesz zrobić, nie zabieraj mi jej.*

Sięgnęłam do jego torby i wyjęłam butelkę. Odkręciłam korek i upiłam łyk. Smakowało cudownie, tak dobrze, że opróżniłam całą butelkę.

Yves przypatrywał mi się, kręcąc głową.
Dziwna jesteś.

Zgniotłam pustą butelkę. *A ty nie?*

5

Kiedy seminarium się skończyło i wszyscy zaczęli wychodzić, Yves nie podniósł się z miejsca, więc ja też się nie ruszyłam. Doktor Sharma wyszła pierwsza, wołając coś na temat niezłych panini w stołówce, do których trzeba się pospieszyć. Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc, jak reszta ciśnie się przy drzwiach, myślami już na lunchu.

Moje też już tam były. Pomijając wszystko, co się wydarzyło, byłam po prostu głodna. I zmęczona, tak bardzo, bardzo zmęczona. Właśnie odkryłam, że bajka mówi prawdę. Przeznaczeni istnieją - a ten był mój. Zawsze wyobrażałam sobie, że odnalezienie go wprowadzi mnie w stan upojenia, jakbym wygrała w totka. Zamiast tego czułam się pusta i smutna. Wiedziałam, że nie mogę z nim być, mimo że chciałam tego bardziej niż czegokolwiek innego w moim życiu. Byłam jak dzieciak bez grosza w kieszeni, z nosem przyklejonym do szyby cukierni. Spójrzmy prawdzie w oczy: byłam przestępczynią, która

nigdy nie chodziła do szkoły; on był najlepszy w klasie, tryskał zdrowiem i czystością. Mieszkał w Stanach, a ja w zwyczajnym squacie. On był przyzwoity i miał przed sobą przyszłość; ja byłam związana ze Wspólnotą więzami, które trudno byłoby zerwać, a mój nowo odkryty tatuś trzymał mnie w swoich szponach. Widzący miał swój sposób na to, by o wszystkim wiedzieć - nie można było po prostu powiedzieć „odchodzę”. Tony mówił mi co prawda, żebym zniknęła, ale nie miałam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Przebywanie w pobliżu mojego ostatniego celu byłoby nieprawdopodobną głupotą. Każdy, kto by mnie szukał, zacząłby od mojej ostatniej roboty, a to doprowadziłoby Widzącego prosto do Yvesa.

Nie zasługiwałam na niego i nie mogłam wciągać go w moje kłopoty.

- Może najpierw się sobie przedstawimy? - spytał Yves cicho. Wziął moją obandażowaną prawą rękę w swoją. - Nazywam się Yves Benedict, jestem z Wrickenridge w Kolorado. - Zamilkł, ale ja się nie odezwałam. - To w Amerykę. W Górach Skalistych. - Wciąż milczałam. - Mam siedmiu braci, ja jestem szósty. Mój młodszy brat, Zed, znalazł swoją Przeznaczoną kilka miesięcy temu.

To brzmiało sympatycznie. Duża rodzina. Bracia. Miał dobre życie. Cieszyłam się z tego. Mógł sobie do niego wracać.

- A ty? Wendy to twoje prawdziwe imię?

Zdjęłam identyfikator. Nie było sensu dłużej się ukrywać. Nie widziałam nawet słów, które na nim napisałam, bo ćmiło mi się przed oczami.

- Hej, hej, co się dzieje? - Przyciągnął moją głowę do siebie i oparł na swoim ramieniu. Jakie to było przyjemne. - Odnalezienie ciebie to najwspanialsza rzecz, jaka mogłam się przytrafić, rozumiesz? Nie cieszysz się, że to ja, ani odrobinę?

Jakie to słodkie z jego strony, że myślał, że jest mi przykro, bo mój Przeznaczony okazał się najmilszym, najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego dotąd poznałam. Podobało mi się, że nie zdawał sobie sprawy z tego, jak atrakcyjny jest w oczach innych dziewczyn, i nie uważał za oczywiste, że uznam go za doskonałego. To wszystko nie byłoby tak bolesne, gdyby okazał się pryszczatym mięczakiem o osobowości znaczka pocztowego.

- Słuchaj, wiem, że to wszystko może być przytłaczające, ale daj mi trochę czasu. Zdaję sobie sprawę, że można mnie odbierać jako dziwaka - no wiesz, wymądrzałem się na temat wydobycia ropy i tak dalej.

Jakby to w ogóle miało znaczenie. Nie obchodziło mnie, że się ze mnie nabijał - zasługiwałam na to, skoro chciałam udawać, że jestem jak on i inni studenci.

Jego ręka pogłaskała mnie po karku.

- Nie zaczęliśmy najlepiej, przyznaję. Wydałam z siebie zduszony śmiech.

- Bo cię okradłam, to chcesz powiedzieć?

Nie przestał muskać ręką wrażliwej skóry na moim karku.

- Też, ale ja z kolei zraniłem cię, kiedy podpałem moje rzeczy. Naprawdę przykro mi z tego powodu. Co powiedział lekarz?

Nie mogłam poddać się słabości - musiałam stanąć na własnych nogach, inaczej nigdy nie uda mi się odejść. Odsunęłam się od niego, usiadłam i otarłam oczy bandażem.

- Nic mi nie jest.

Wziął mnie za nadgarstek i zauważył przezroczystą folię.

- Nie poszłaś do lekarza, prawda? - Powiedział ostrzejszym tonem. Jego myśli z powrotem przybrały barwę czerwoną i pomarańczową. Wśród nich moja podpalona torba obracała się nad ogniem jak kebab, a dookoła

migotały przekleństwa - był zbyt uprzejmy, żeby wypowiedzieć je na głos.

- Ludzie tacy jak ja nie chodzą do lekarzy - powiedziałam i spróbowałam wyrwać mu rękę.

- Teraz już tak. - Wstał i pociągnął mnie za sobą. Na nieszczęście dla moich planów ucieczki, jego nieśmiałość i niepewność w towarzystwie dziewczyn zniknęły, kiedy dostrzegł misję ratunkową do spełnienia. - Chodź, znajdziemy najbliższe pogotowie. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli zostaną ci blizny.

- Nigdzie nie idę. Nie mogę.

Odwrócił się do mnie. Widziałam, że rusza mięśniami żuchwy, próbując nad sobą zapanować. Zaczęłam się zastanawiać, czy zaraz czegoś nie podpali; ostrzegwał mnie, że jego dar potrafił wymknąć mu się spod kontroli, kiedy się złościł.

- Wendy, nie popełniaj tego błędu. Jestem gotów przebaczyć ci to, że próbowałaś mnie okraść - dwa razy, dobrze liczę? - ale jeśli nie dasz się zbadać lekarzowi, nie będę miał innego wyjścia i zgłoszę to na policji, a oni już się postarają, żeby obejrzał cię profesjonalista.

Tylko go posłuchajcie! W ustach miał mnóstwo długich słów, jakby chciał podkreślić, że jest lepiej

wykształcony ode mnie. Gwałtownie odsunęłam się w krzesło.

- Odczep się ode mnie. Nie wiesz nic o mnie i o moim życiu, a już mi rozkazujesz!

Klepnął mnie w klatkę piersiową. Górował nade mną -sześć stóp rozwścieczonego faceta. Powinnam była się bać, ale instynkt podpowiadał mi, że on nie zrobi mi krzywdy. Coś mogło się spalić, ale tym razem nie byłaby to moja ręka.

- Mylisz się. Wiem to, co najważniejsze: jesteś moją Przeznaczoną. To zajmuje teraz pierwsze, drugie i trzecie miejsce w moim życiu. A w twoim?

Zakryłam twarz rękoma. Miałam ochotę krzyczeć z rozgoryczenia i żalu.

- Po prostu sobie idź!

Musiałam naprawdę go rozwścieczyć, bo złość aż w nim buzowała jak para nad przegrzaną chłodnicą samochodową. Sterta papierów na biurku przy jego prawej ręce zaczęła się tlić.

- Nie mogę odejść. Jesteś głupia, nie dbasz o swoje zdrowie. - Zauważył ogień i szybko zdusił go książką, którą wyjął z torby. - Niech to szlag, zobacz, do czego mnie doprowadziłaś!

- Ja? Podpalanie to twój problem, nie mój.

Wziął głęboki oddech - wyraźnie zdał sobie sprawę, że obrzucanie się obelgami do niczego nas nie doprowadzi.

- Słuchaj, muszę się ciebie trzymać - tak wygląda bycie Przeznaczonym, wiesz o tym przecież. Myślisz, że jestem zadowolony, kiedy odkryłem, że moja Przeznaczona to złodziejka, która wykorzystuje swój dar, żeby okradać ludzi? - Skrzywiłam się, ale on tego nie zauważył. Był zbyt zajęty przeżywaniem rozczarowania swoim losem. - Pewnie, że nie! Śniłem o tej chwili, ale to miało się dziać, samnie wiem, przy świetle księżyca i różach czy czymś takim. Nie spodziewałem się kopniaka w brzuch i puszczania z dymem rzeczy wartych tysiąc dolarów! Więc możesz przynajmniej zająć się swoim oparzeniem, kiedy mówię ci, że powinnaś!

Nie potrzebowałam orkiestry dętej ani nawet jego krzyków, żeby to do mnie dotarło. Oczywiście, że mną gardził. Ja sama sobą gardziłam. Nie powinnam była dać się zwieść jego uprzejmości i myśleć, że jest inaczej.

Zebrawszy resztki godności, wstałam.

- Zajęłam się moją raną najlepiej, jak potrafiłam. Nie musisz się tym martwić.

Mówiłam beznamiętnym głosem, a w myślach już wyobrażałam sobie, co stanie się potem.

Powiem „do widzenia”, jakoś mu się wymknę i wrócę do Wspólnoty, by za raportować, że mój cel miał przy sobie tylko butelkę wody, a reszta jego rzeczy spłonęła w nieprawdopodobnym wypadku. Mogli w to uwierzyć. Potem przyjąłabym następną karę, a potem... potem... Tu wyobraźnia mnie zawodziła. Widzący albo mnie zabije, albo zaaranżuje moje małżeństwo z jednym ze swoich stronników. Nie będę protestować, nic nie powiem. W ten sposób nikt nigdy się nie domyśli, że znalazłam mojego Przeznaczonego; tylko w ten sposób mogłam go ochronić. Yves może wsiadac do swojego samolotu, leciec do domu i zostać uznanym naukowcem albo kimś innym. Może nie będzie tak szczęśliwy, jak byłby, gdybym okazała się gazelą zamiast szcurem śmietnikowym, ale przynajmniej będzie wiódł życie, które będzie coś warte.

Yves założył ręce na piersi i stanął pomiędzy mną a drzwiami.

- Nie ze mną takie numery, Wendy. To przeze mnie wybuchły moje rzeczy, a ty się poparzyłaś, jestem odpowiedzialny za posprzątanie tego bałaganu.

- Nie tym razem. Nie jestem twoim bałaganem, żebyś musiał się mną zajmować.

Uśmiechnął się ponuro.

- Dokładnie tym jesteś.

Zmieniłam zdanie. On wcale nie był miły, był bufonem.

- Cóż, dzięki. Miło było cię poznać. Muszę lecieć. -Skierowałam się do wyjścia.

- Nie możesz odejść.

Stałam, wpatrując się w informacje o postępowaniu w razie pożaru, wiszące na drzwiach.

- Bo co mi zrobisz? Przewrócisz na podłogę? Och, zapomniałam, to już zrobiłeś.

Drzwi otworzyły się, zanim zdołałam ich dosięgnąć. Cofnęłam się o krok. Jo i Ingrid wsunęły głowy przez szparę.

- Yves, co cię zatrzymało? - spytała Jo. Wyraz jej twarzy się zmienił, kiedy mnie zobaczyła.

- Och, cześć, przepraszam, nie przeszkadzamy?

Yves podniósł swoją torbę i przewiesił ją sobie przez ramię.

- Wendy poparzyła się w rękę. Miałem właśnie zaprowadzić ją do lekarza, żeby ją opatrzył.

Ingrid zmarszczyła nos na widok mojego naprędce skleconego opatrunku.

- Wygląda źle. Biedna dziewczyna. Chcesz, żebyśmy poszły z wami? - W jej myślach widziałam,

że moja obecność była równie mile widziana, co obecność trzeciego psa w walce o kość.

Yves nawet nie pozwolił mi otworzyć ust w odpowiedzi. Rzucił prędko:

- Nie trzeba, tylko dajcie znać organizatorom, dokąd poszliśmy, gdyby o nas pytali. Na razie. - Wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą. W tej chwili naprawdę mnie irytował: czułam się tak, jakby moje protesty rozpuszczały się jak płatki śniegu w oceanie jego pewności. Byłam ranna - on znał lekarstwo. Byłam jego Przeznaczoną - żądał, żebym go słuchała. Czy cała jego rodzina to takie aroganckie typy, czy po prostu ja wyciągnęłam nie ten los?

Dotarliśmy do recepcji. Szłam z nim tylko dlatego, że wreszcie prowadził mnie bliżej wyjścia. Już knułam plan ucieczki.

- Przepraszam. - Yves uśmiechnął się swoim rozbrajającym, szczerym uśmiechem do kobiety za ladą. - Moja koleżanka poparzyła się wczoraj w rękę i myślę, że powinien się temu przyjrzeć lekarz. Czy jest tu gdzieś w pobliżu szpital?

Kobieta - dużo starsza od niego, więc naprawdę powinna była nad sobą panować - trzepotała się i wierciła, aż znalazła listę punktów medycznych.

- Royal London, przy Whitechapel Road. To jeden przystanek kolejką - to znaczy metrem. - Zachichotała - naprawdę zachichotała. - Możecie iść na piechotę, jeśli koleżanka czuje się wystarczająco dobrze. - Narysowała wielkie koło na mapce; nie zaskoczyłoby mnie, gdyby po jej drugiej stronie napisała swój numer telefonu.

Yves zarumienił się, zakłopotany jej przesadną gorliwością.

- Dziękujemy. Weźmiemy taksówkę. - I konwojował mnie do wyjścia z kampusu.

Odczekałam, aż znajdziemy się na zewnątrz i odepchnęłam go od siebie.

- Dość tego. Którego słowa z „nie idę do szpitala” nie rozumiesz?

- „Nie”. - Uśmiechnął się, ale ja nie zamierzałam się przyłączyć. - Słuchaj, Wendy, jaką szkodę może ci zrobić mała wycieczka na pogotowie? Przecież nawet nie musicie za to płacić, więc chyba nie chodzi o pieniądze albo ubezpieczenie.

Popatrzyłam tęsknie na ruch uliczny kierujący się na wschód, z dala od niego. Tak blisko.

- Nie jestem głupia. Po prostu nie mogę. Yves przeczesał ręką włosy w geście frustracji.

- Wendy, dlaczego mam wrażenie, że zaraz rozsypiesz swój cudowny proszek i ode mnie odlecieisz?

Pokręciłam głową, obejmując się rękoma. Mylił się; to on miał cudowny proszek, był jak Piotruś Pan, który chciał zabrać mnie do Nibylandii, krainy Przeznaczonych, i żyć tam ze mną szczęśliwie. Ale przybył za późno. Wczoraj wieczorem musiałam dorosnąć i teraz wiedziałam, że takie marzenia się nie spełniają; prawdziwe życie przypominało raczej mieszkanie na statku Kapitana Haka z jego piratami niż odgrywanie szczęśliwej rodziny w domku na drzewie.

Palec pod moją brodą uniósł mi głowę do góry.

- Wendy, mów do mnie. Pozwól mi sobie pomóc. Przepraszam za to, co powiedziałem w środku, ale byłem zły. Kiedy mój dar wymyka się spod kontroli, zachowuję się jak idiota - spytaj moich braci. Strasznie mnie to denerwuje, że nawet po latach dyscypliny i ćwiczeń nie kontroluję w pełni moich emocji. - Uśmiechnął się żałośnie. - Pewnie zechcesz puścić mi tego płazem z uwagi na to, że dziś poznałem moją Przeznaczoną, co?

Skinęłam głową. Nie chciałam dać się przekonać jego perswazjom, ale nie mogłam się powstrzymać. Całym wnętrzem pragnęłam wyrwać

się ku niemu, mimo ostrzeżeń ze strony zdrowego rozsądku.

- Wendy, nie mogę znieść, kiedy widzę, że coś cię boli, a ja mogę coś z tym zrobić.

A ja nie mogłam już dłużej znieść, że zwraca się do mnie moim fałszywym imieniem.

- Phee. Mam na imię Phee.

Uśmiechnął się - jego brązowe oczy przybrały ciepły odcień po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy klasę.

- Tylko Phee?

- To skrót od Phoenix.

- Masz nazwisko?

Nigdy go nie używałam, ale uznałam, że powinnam podać nazwisko mojej mamy. Nie chciałam uchodzić za nędzarkę, która nie ma nawet normalnego nazwiska.

- Corrigan.

- A więc, Phoenix Corrigan, masz alergię na szpitale? -Przestąpił z nogi na nogę, czekając na odpowiedź.

To było dobre wyjaśnienie. Skinęłam głową.

- Przychodnia?

- Tak samo. - Naprawdę się wycofywał?

Wystarczyło, że troszkę mu ustąpiłam, a on już robił się bardziej rozsądny?

Wyjął telefon.

- Mam pomysł. Nie ruszaj się. - Wybrał kontakt na ekranie i uniósł telefon do ucha. Spięłam się, gotowa w razie potrzeby rzucić się do ucieczki.

- Hej, Xav, masz chwilę? Gdzie jesteś? Mam pewien problem. Możesz spotkać się ze mną w mieszkaniu za pół godziny? OK. Tak, wiem, zamęczam cię. Powiedz jej, że zadzwonisz. Ho-ho. Ale uwierz mi, chcesz wiedzieć, o co chodzi. - Skończył rozmowę i wyszczerzył się. - Problem rozwiązany.

- Z kim rozmawiałeś? - Podrapałam się po rękach. Zaczynałam podejrzewać, że jestem obserwowana. Rozejrzałam się. Nie dostrzegłam nikogo, ale było mnóstwo miejsc, w których można było się schować, bramy, przystanki autobusowe... Tony? Mógł się martwić, że nie wywiążę się z mojej części umowy. Jednorożec albo Smok sprawdzający, co robię? Wczorajszą porażką nie zasłużyłam sobie na zaufanie Widzącego, więc nie wykluczałam, że dzisiaj chciał mnie pilnować.

- Z moim bratem, Xavem. Jest ze mną w Londynie.

- Xav? - Zmusiłam się do tego, by skoncentrować się na tym, co mówi do mnie Yves.

- Tak, moja mama i tata nazwali nas alfabetycznie, zaczęli od Trace'a, a skończyli na Zedzie. Xavier jest ode mnie starszy. Mówiliśmy im, że powinni zacząć od „A” i moglibyśmy nazywać się na przykład Alan, David i Ben, ale oni uznali, że to zbyt nudne. Rodzice potrafią tacy być - no wiesz, chcą się wyróżniać, żeby coś udowodnić. - Urwał, zdając sobie sprawę, że schodzi z tematu. - Xav jest uzdrowicielem. Nie zgadłabyś tego, ma okropne podejście do pacjentów. Zabieram cię do niego. Nie będziesz musiała mieć nic wspólnego z lekarzami. - Zatrzymał się na krawężniku i pomachał na taksówkę. Jedna natychmiast skręciła w naszą stronę - takie szczęście miał ten chłopak. - Na Barbican, proszę.

Uspokojona, wsiadłam do taksówki bez protestów. Dobrze znałam Barbican: betonowy labirynt centrów sztuk, chodników, tuneli i ekskluzywnych mieszkań, idealny do okradania bywalców wieczornych przedstawień i koncertów. Niech ktoś zajmie się moim oparzeniem, potem nadal miałam szansę tam od niego uciec.

Yves ułożył nogi w szerokiej przestrzeni przed tylnym siedzeniem. Nigdy wcześniej nie byłam w taksówce; czułam się dekadenccko, jakbym robiła coś, na co pozwalają sobie tylko bogacze. Koło nas

prędko jak strzała przejechał rowerzysta w spodenkach koloru sorbetu cytrynowego. Lawirował między samochodami jak kamyk na morskich falach.

- Jest na mnie bardzo zły - ciągnął Yves, podtrzymując konwersację, kiedy dostrzegł, że ja tego nie zrobię. - Spędził cały ranek, podrywając przewodniczkę w Globe Théâtre, a teraz, kiedy zaczynało to wyglądać obiecująco, musi ją zostawić.

- Nie powinien - nie dla mnie.

- Oczywiście, że powinien. Jesteś moja, więc stajesz się częścią rodziny. Nasza potrzeba jest ważniejsza niż jego. - Yves objął mnie ramieniem. Coś wewnątrz mnie załamało się lekko i pragnienie jego ciepła zaczęło mi się wymykać. Staralam się je ignorować, sztywno opierając się o siedzenie. - Nie masz rodzeństwa?

Wszystko było dla niego takie łatwe. Całkowicie obcą osobę włączał w swój wewnętrzny krąg, a wszystko dlatego, że przez kaprys natury byliśmy jakoś genetycznie ze sobą powiązani. Jedyne informacje, które na mój temat posiadał, były złe, ale wciąż zasługiwałam na to, by mi pomóc. Zamknęłam się w sobie jeszcze trochę bardziej, jak ukwiał na skalistym dnie morza, odmawiając otwarcia się pod wpływem jego pytań.

- Szkoda, że nie ma tu Sky - mruknął do siebie, patrząc przez okno na samochody powoli torujące sobie drogę do City. - To Przeznaczona mojego najmłodszego brata. Jest Brytyjką.

- Aha. - Pewnie jedną z tych pięknych angielskich róż, które widywałam na stacji Liverpool Street, jak wybierały się na festiwale muzyczne w kaloszach, dżinsowych szortach i z plecakami, zadowolone ze swojego życia i młodości. Wystarczyłby rzut oka i wiedziałyby, kim jestem.

- Widzi ludzkie emocje. Dzięki temu ma świetną intuicję. Też ma za sobą trudną przeszłość. Myślę, że rozumiałaby cię lepiej niż którekolwiek z nas.

No jasne.

- Ale jej tu nie ma?

- Nie, jest na wakacjach z Zedem i swoimi rodzicami. No właśnie: Sky miała rodziców. Czyli była doświadczona w relacjach międzyludzkich; ja byłam dzikuską.

Taksówka zatrzymała się w jednym z tuneli pod Barbican Centre.

Kierowca wyciągnął rękę.

- Jesteśmy na miejscu. Razem sześć funtów czterdzieści. Yves wyciągnął z portfela dziesiątkę i podał mu ją, prawie nie zwracając na to uwagi.

- Powiesz mi coś o sobie, Phee? Chciałbym wiedzieć, skąd jesteś.

Nie mogłam w to uwierzyć: wysiadał z taksówki, nie czekając na resztę. Wciągnęłam go z powrotem i wsunęłam rękę w małe okienko, żeby zebrać monety. Kierowca prychnął, kiedy wcisnęłam Yvesowi pieniądze w dłoń.

- Nie możesz mu dać trzech funtów sześćdziesięciu pensów napiwku.

Yves położył monety z powrotem na plastikowej tacce.

- Ależ mogę. Zostaw to, Phee, to nic wielkiego.

Wciąż bełkocząc coś o marnowaniu pieniędzy, wysiadłam chwiejnie na chodnik. Samochody śmigają obok, a hałas w tunelu był tak duży, że dalsze protesty i tak nie zostałyby usłyszane. Nasza niezgoda co do napiwku tylko podkreślała, jak bardzo się różnimy. Co ja z nim tutaj robiłam?

Idź za mną. Yves wyciągnął rękę, oczekując, że ją wezmę.

Miałam dość bycia popychaną i ciąganą tu i tam. *Prowadź, o panie.*

Uniósł brew na ten ironiczny zwrot. *Miło mi wiedzieć, że doznałaś oświecenia. Chcą dla ciebie tylko tego, co najlepsze.*

Słucham, panie Arogancki?

Nie chciałem, żebyś tak to odebrała. - Pokręcił głową, niezadowolony z siebie. - Chcę tylko, żeby wszystko było dobrze, ale widzą, że wszystko robię nie tak.

Więc pozwól mi odejść.

To byłaby tragedia.

Daj mi szansę. Proszę. Jego niepewność w towarzystwie dziewczyn wróciła; już nie uważał mojej zgody za pewnik, a to, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiło, że ustąpiłam.

OK. Do czasu aż zajmiecie się moją ręką. Potem stąd pójdziemy.

Yves wyjął klucz z kieszeni swojej kurtki i poprowadził mnie po kilku schodkach do podnóży Shakespeare Tower, wielkiego drapacza chmur o brutalnej bryle. Spojrzenie w górę przyprawiło mnie o mdłości - miałam wrażenie, że cały blok zaraz się na nas przewróci. Yves wezwał windę, a potem włożył kluczyk w odpowiednie miejsce, żeby zabrała nas na dwudzieste piętro.

- Myślałam, że mieszkasz w Ameryce - stwierdziłam.

- Pożyczyłem to mieszkanie od przyjaciela jednego z moich braci. - Niecierpliwie stukał w ścianę, podczas gdy mijaliśmy kolejne piętra.

- Od którego? Wilbura? Walta? Uśmiechnął się.

- Blisko. Od Victora. Nie mam brata, który nazywa się Wilbur albo Walt - tylko Willa. Polubisz go.

- Jeśli kiedykolwiek będę miała dzieci - (a nie będę miała) - to właśnie takie proste imiona im nadam. Takie normalne, że nikt nawet nie mrugnie, kiedy będą odczytywać listę w szkole albo... gdy będą się zapisywać do biblioteki.

Yves roześmiał się, zakłopotany.

- O tak, wiem, o czym mówisz. Mnie idioci w pierwszej klasie dokuczali, że mam imię dziewczynskie - no wiesz, Eve¹. Mama i tata powybierali dla nas imiona przodków z całego świata - większość rodzin sawantów jest bardzo międzynarodowa - a ja musiałem przez to cierpieć. Z imieniem Phoenix musiało ci być ciężko, dopóki bycie innym nie stało się modne.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, jak to jest. Nigdy nie chodziłam do szkoły. Drzwi otworzyły się przy dźwięku dzwonka, jakby skończyła się runda meczu bokserkiego.

¹Po angielsku Yves i Eve wymawiane są tak samo.

- Jak... ale przecież w Anglii jest obowiązek szkolny? Wszędzie tak jest. - Poprowadził mnie wyłożonym dywanem korytarzem.

- Hmm. - Właśnie tyle wiedział o tych z marginesu.

- Ale wiesz dużo rzeczy - czytałaś *Piotrusia Pana*.

- ...i *Wendy*. Nie powiedziałam, że nie pobierałam lekcji. Jeśli się chce, można się wiele nauczyć. - Jeśli było się głodnym wiedzy i rozpaczliwie pragnęło być częścią normalnego świata. Mama, zanim umarła, przekazała mi wszystkie podstawy. Kiedy odeszła, a ja skończyłam swoje zadania na dany dzień, wślizgiwałam się do działu dziecięcego lokalnej biblioteki, używając mojego daru, by zamrozić kobietę pilnującą wejścia, i czytałam wszystkie książki po kolei. W tej chwili mogłam wchodzić do sekcji dla dorosłych i nikt mnie już stamtąd nie wyrzucał. W ten sposób wbiłam sobie do głowy sporo przypadkowej wiedzy.

- Pewnie można. - Włożył klucz do ostatnich drzwi na korytarzu i wszedł do środka. Mieszkanie było urządzone na białą i wyglądało jak jedno z tych, które dobrze prezentują się w magazynach wnętrzarskich, ale prawdziwym ludziom musi się w nich mieszkać koszmarne. Białą dywan, białe

meble, czarne linie afrykańskich rzeźb i kosztowne stereo.

Hej, Xav, wróciliśmy!

Wiedział, że jego brat już tu jest, a więc rozmawiał z nim telepatycznie, odkąd znaleźliśmy się w zasięgu. Xav wyszedł z pokoju po prawej stronie, wycierając ręce czarnym ręcznikiem. Natychmiast zauważyłam jego podobieństwo do brata, chociaż Xav miał dłuższe włosy ułożone bardziej swobodnie, bo sięgały mu za kołnierzyk, podczas gdy Yves był schludnie obcięty. Xav był też szczuplejszy, smukły w porównaniu do lamparta, raczej koń czystej krwi. Nie było w nim nic z dziwaka, ale nie popełniłam tego błędu, żeby nie docenić jego inteligencji. Wyczuwałam, że znalazłam się między dwoma bystrymi i bardzo zdolnymi sawantami.

- Cześć, Phee. Urządziłem się tutaj. Pielęgniarko, proszę wprowadzić pacjentkę.

- Powiedziałeś mu o mnie? - wysyczałam, nie chcąc wejść do łazienki, aż dowiem się dokładnie, w co się pakuję.

- Tylko twoje imię i to, że poparzyłaś się w jednym z moich pożarów. - Yves łagodnie popchnął mnie między łopatkami. - Nie chciałem rozpraszać

go innymi informacjami, dopóki nie zajmie się twoją ręką. Nie każmy doktorowi czekać.

Xav ustawił dla mnie stółek przed umywalką. Yves stał mi za plecami, podczas gdy jego brat ostrożnie podwinął mi rękaw i rozwinął bandaż. Xav przez kilka chwil nic nie mówił, tylko obracał moją rękę, żeby przyjrzeć się brzydkiemu, żółto-białemu bąblowi na mojej ręce.

- O rany, Yves, myślałem, że wyrosłeś z zabaw z ogniem.

- Nie roztrząsaj tego. Wiesz, że się staram. - Yves znowu zaczynał się denerwować.

- Powinni to obejrzeć w szpitalu - odparł Xav, patrząc wrogo na swojego brata.

- Ona nie chce tam iść.

Teraz przeniósł wzrok na mnie.

- Jesteś kretynką, wiesz o tym? Mogę ci pomóc, ale nie wiem, jak głęboko się poparzyłaś. Boli? - Jego dotyk był kojący.

Przygryzłam wargę i pokiwałam głową.

- Nie zrozum tego źle, ale to bardzo dobrze. - Xav mrugnął do mnie, żeby złagodzić uwagę o „kretynce”. - Gdyby poparzenie było głębokie, wtedy nie czułabyś bólu. - Przykrył moją rękę swoją. Nie ufałam temu, co robi, więc przeszukałam jego wzorce myślowe; obserwowałam, jak zmieniają

barwę na kojąco niebieską. W jego myślach widziałam moją rękę, warstwa po warstwie, kości, nerwy, mięśnie i skórę, jak ilustrację z Anatomii Graya. Naprawdę próbował mnie wyleczyć. Zastanawiałam się, ile mnie to będzie kosztować.

Yves cicho wyszedł z łazienki i zniknął w kuchni, mamrocząc coś o tym, że przygotuje nam coś do picia i zrobi kanapki. Spokój po chaosie ostatnich dwudziestu czterech godzin działał jak przyjazna oaza na pustyni. Stwierdziłam, że moje napięcie nieco ustępuje. Miałam Przeznaczonego. Po tym odkryciu wpadłam w taką panikę, że nie miałam czasu tego przemyśleć. Zachowywałam się jak nosiciel zarazy, który próbuje odciąć się od świata ludzi zdrowych. Prawdopodobnie było to najlepsze, co mogłam zrobić, ale musiałam zastanowić się nad tym powoli i wymyślić, jaki krok będzie teraz najlepszy. Spędziłam z Yvesem ledwie godzinę, a już czułam się tak dobrze, będąc blisko niego, że tęskniłam za nim, nawet kiedy zniknął w kuchni. Chociaż potwornie mnie irytował, nawet mi się to podobało. Między nami iskrzyło, nawet kiedy na siebie wrzeszczeliśmy. A może wtedy jeszcze bardziej.

- Czy teraz lepiej? - spytał Xav, puszczając moją rękę. Bąbel zapadł się, przykrywając

formującą się pod spodem nową skórę. Zaczerwienienie zbladło. Zaciśnęłam palce i stwierdziłam, że piekący ból, który czułam od wczoraj, prawie całkowicie złagodniał.

- Niesamowite.

- Miło mi, że mogłem pomóc. - Wyjął opatrunek z apteczki. - Założę to na bąbel, ale myślę, że z resztą ręki będzie dobrze. - Przymocował opatrunek plastrem i wstał, masując sobie skronie.

- Wszystko w porządku, doktorze? Roześmiał się.

- Boli mnie głowa. Tak się dzieje, kiedy mocno wykorzystuję swój dar.

- Ze mną jest tak samo. - Wymknęło mi się, zanim zdałam sobie sprawę z tego, co powiedziałam.

Xav nie wydawał się zaskoczony, że jestem sawantką.

- Co robisz? Oczywiście nie gasisz pożarów. Udałam, że przyglądam się mojemu opatrunkowi.

- To i owo.

- Zatrzymuje czas - albo spowalnia jego bieg. -W drzwiach pojawił się Yves, żeby sprawdzić, czy skończyliśmy.

- Super. - Xav wrzucił stary opatrunek do kosza. - Użyteczne.

- Tak, dzięki temu jest jedną z najlepszych złodziejek, jakie kiedykolwiek widziałem w akcji.

- Zamknij się! - syknęłam, urażona, że mógł zdradzić coś takiego na mój temat.

- Ach tak, i jest moją Przeznaczoną. Lunch na stole. -Po zrzuceniu tej bomby Yves wrócił do kuchni.

Xav oniemiał. Gapił się na mnie, jakbym była ufoludkiem, którego statek właśnie rozbił się w tej łazience.

- Phee, Xav, pospieszcie się albo zjem wszystko sam! -krzyknął ten ważniak z kuchni.

Xav poklepał mnie po ramieniu.

- Wyrazy współczucia. Czasem zachowuje się jak cymbał, ale jest najmilszy z naszej rodziny, więc mogłaś trafić gorzej.

6

Zamknęłam drzwi łazienki za Xavem, mówiąc, że potrzebuję chwili dla siebie, po czym opadłam na podłogę i oparłam głowę o kolana. Nie wyciągnie mnie stąd nawet głód. Gdybym miała moc Yvesa, sprawiłabym, że talerz z kanapkami by wybuchł, a zawartość zatrzymała się na jego twarzy. Ale wszystko, co miałam, to dar, który na niego nie działał zbyt dobrze i nie dawał mi nawet wystarczająco dużo czasu na to, by uciec. Pukanie do drzwi.

- Phee, wszystko w porządku? - Yves. Lekko uderzyłam głową w drewno za sobą.

- Słuchaj, przepraszam, że mu o tym powiedziałem. Mówię moim braciom wszystko - jesteśmy naprawdę zżyci. Powinienem był się zastanowić, jak ty na to zareagujesz.

No, powinieneś był.

- Nie będzie mu to przeszkadzało, jeśli mnie to nie przeszkadza - te kradzieże.

Tym lepiej dla niego. Boże, byłam tym wszystkim zmęczona. Yves wyraźnie nie wygładził swoich manier, jeśli chodzi o podejście do dziewcząt, skoro myślał, że takie przeprosiny złagodzą mój zły humor. Pod drzwiami wytrysnął mały płomień, po czym zaczął wirować i zmienił się w małą kulę ognia. Czy Yves próbował mnie stąd wykurzyć? Wrzasnęłam i cofnęłam się gwałtownie, ale potem zauważyłam, że na dywanie nie ma nawet śladu podpalenia.

- To dla ciebie - powiedział Yves cicho.

Kula zaczęła kręcić się szybciej, po czym rozpadła się na trzy różne kule, żółtą, rozgrzaną do białości i niebieską jak palnik gazowy - trzy małe planety obracające się wokół siebie. Nagle wszystkie się rozwarły i utworzyły kształty kwitnących kwiatów, po czym wylądowały u moich stóp jak lilie na wodzie, zanim rozpadły się w niebyt, zostawiając za sobą tylko słaby zapach dymu. Nic nie zostało zniszczone; na podłodze nie został nawet ślad sadzy.

Byłam zszokowana: nigdy wcześniej nie dostałam kwiatów. To było niesamowite; nigdy nie pomyślałam, żeby z pomocą mojego daru stworzyć coś pięknego, ale Yves musiał spędzić dużo czasu,

doskonaląc swoje umiejętności, żeby się tego nauczyć.

- Przyjdź, kiedy będziesz gotowa - powiedział i wycofał się do kuchni.

Siedziałam tak przez kilka minut, ręką głaszcząc punkt na dywanie przed sobą. Zamykanie się w łazience Yvesa to nie był najlepszy plan. W końcu będę musiała stąd wyjść. Im dłużej będę z tym zwlekać, tym trudniej będzie mi to zrobić. Cicho otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz.

Wejście do kuchni było na skos od łazienki. Słyszałam, jak chłopcy rozmawiają ze sobą, ale oni mnie nie widzieli.

Bez żadnych skrupułów zaczęłam ich podsłuchiwać - musiałam wiedzieć, co naprawdę o mnie myślą, zanim zdecyduję o swoim następnym ruchu.

- Mogę tylko powiedzieć, braciszku, że kiedy po latach nienagannego życia wpadasz w kłopoty, robisz to jak trzeba. - Xav nalał sobie wody z dyspensera w lodówce wielkości statku kosmicznego. Lód wpadł do szklanki przy akompaniamencie głośnego warkotu jakiegoś urządzenia w ogromnych drzwiach.

- Gdyby to był Zed, Trace albo Vick, zrozumiałbym, ale ty!

- Nie wybieramy swoich Przeznaczonych. - Głos Yvesa dobiegał z większej odległości - domyśliłam się, że musi być po drugiej stronie pomieszczenia.

- Jesteś pewien, że to ona? No wiesz, nie wygląda, jakby do ciebie pasowała, nie tak jak Sky do Zeda.

- Daj spokój, na początku u nich to też nie było oczywiste, dotarli się - odparł Yves obronnym tonem. - Z nami też tak będzie.

- Taką masz nadzieję. Nie powiedziałaś, że jesteś tego pewien. Nie obraż się, Yves, ale wiem, że nie umawiałaś się z wieloma dziewczynami, i pomyślałem, że może, no wiesz, mogłeś się pomylić. - Coś brzęknęło i usłyszałam, jak Xav z przekleństwem gasi ogień. - Cholera, rozsadziłeś mojego pączka!

- Uważaj, Xav! Tylko dlatego, że nie jestem mistrzem świata w umawianiu się z dziewczynami, tak jak ty! Wiem, co czuję, kiedy widzę dziewczynę, i mówię ci, że to coś zupełnie innego- jak z innej planety. Kiedy odpowiedziała mi telepatycznie, wszystko jakby wróciło na swoje miejsce. Więcej - cała grawitacja przesunęła się w jej kierunku, rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem - ja nie znalazłem swojej Przeznaczonej, pamiętasz?

- Przepraszam. - Drzwiczki od szarki zatrzęsły się z hukiem.

- Nie szkodzi, nie obraziłem się. Hej, myślę, że to jednak ja mam dzisiaj szczęście. Ona... nie wygląda tak, jak się spodziewałem. Jest dziwna - te śmieszne okulary i ubrania jak po naszej babci. Myślałem, że między Przeznaczonymi powinna działać jakaś chemia, wiesz?

- Pewnie tak. - Przesuwanie krzesła po podłodze. - Wczoraj tak nie wyglądała - nie jestem pewien, jaka jest naprawdę. Myślę, że wpadłem po uszy. Ona ma problemy - a pod nimi jeszcze więcej problemów. Nie chce nic o sobie powiedzieć; do tej pory znam tylko jej imię i wiem, że nigdy nie chodziła do szkoły.

- I że jest zawodową złodziejką - nie zapomnij o tej wybornej informacji. Jeśli wziąć pod uwagę drugi powód naszego przyjazdu, nie myślisz, że to dziwne, że właśnie ciebie wybrała sobie za cel?

Drugi powód? Przywarłam plecami do ściany.

- Tak, wiem: będziemy musieli ją o to spytać. Zrobię to, ale to strasznie skomplikowane. Ona mi nie ufa. O której Vick wraca ze spotkania w Scotland Yardzie?

- Koło szóstej. Masz pięć godzin, żeby się dowiedzieć, czy dziewczyna narazi nasze bezpieczeństwo, a potem i tak będziemy musieli mu ją przyprowadzić, żeby on to sprawdził.

- Nie spodoba jej się to.

Zdecydowanie. Jej stanowczo się to nie podobało. Ona postanowiła, że znika stąd na pierwszą wzmiankę o policji. Wycofywałam się powoli, mając nadzieję, że dywan zagłuszy moje kroki. Drzwi wejściowe były zamknięte i za-ryglowane. Mogłam otworzyć wszystkie zamki poza tym najwyższym, który był poza moim zasięgiem. Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłabym stanąć, ale w tym pretensjonalnym mieszkaniu nie było zwyczajnych mebli, tylko szklane półki przymocowane do ściany.

- Wybierasz się gdzieś? - Yves pojawił się w wejściu do kuchni, obserwując moje coraz bardziej desperackie próby dosięgnięcia górnego rygla.

Nie miał prawa mnie tu więzić.

- Tak. Do domu. - Podskoczyłam, palcami muskając rygiel, ale nie udało mi się go przesunąć.

Yves spokojnie podszedł do mnie.

- A gdzie jest twój dom? Chyba mi nie powiedziałaś.

- Masz rację. Nie powiedziałam. - Kopnęłam drzwi, zostawiając czarny ślad buta na nieskalanym dotąd lakierze.

- Jeszcze nie zjadłaś lunchu. - Yves sięgnął ponad moją głowę i odsunął rygiel.

- Nie jestem głodna. - Nie mogłam uwierzyć, że mnie wypuszcza.

To kłamstwo.

Co ? Teraz czytasz mi w myślach ? - Zmarszczyłam pogardliwie nos; to był mój dar. Nie miał pojęcia, co tak naprawdę myślę, inaczej nie byłby taki spokojny.

Nie, wyczuwam energię, a twoja jest niebezpiecznie niska. Każdy ma inny, wyjątkowy podpis energetyczny; twój mówi mi, że nie masz benzyny w baku. Kiedy ostatnio jadłaś?

Wzruszyłam ramionami. Wieki temu.

- Zjem coś, wracając.

Yves odwrócił się i poszedł do kuchni, rzucając przez ramię:

- Potrzebujesz klucza do windy.

- W takim razie zejść schodami. - Dwadzieścia pięter, dzięki, stary.

- Do nich też potrzebujesz klucza, chyba że chcesz uruchomić alarm przeciwpożarowy! - zawołał jego głos.

Wpadłam do kuchni i wyciągnęłam rękę w kierunku dwóch chłopaków siedzących przy kuchennym kontuarze.

- Poproszę o klucz.

Yves wsadził mi w dłoń kanapkę.

- Jedz.

Żołądek skręcił mi się na widok różowego brzegu szynki.

- Jestem wegetarianką.

Xav natychmiast zabrał kanapkę, a Yves zastąpił ją bułką z ziarnami z serem i pomidorem.

- Proszę, jedz.

Rozżalona z powodu ich manipulacji, podeszłam do okna i przysiadłam na kaloryferze, powoli gryząc kanapkę. Dzięki Bogu zostawili mnie w spokoju, kiedy ją pożerałam, nie żeby mi to pochlebiali: zachowywali się jak pracownicy zoo wobec szczególnie niebezpiecznego zwierzęcia, nie chcąc dalej prowokować bestii. Rozzłoszczona, odwróciłam się do nich plecami. Całe szczęście, że nie miałam lęku wysokości; widok był wspaniały: rozciągał się aż po Stadion Olimpijski i otaczający go park. Wyglądał stąd bardzo ładnie: skrawek zieleni i bieli w zmęczonej miejskiej dżungli wschodniego Londynu, pomiędzy lianami dróg i torów kolejowych. Jeśli przyjrzeć się uważniej,

można było nawet dostrzec kompleks budynków, w których mieszkała Wspólnota - grupka kopców termitów biskoptowego koloru. Wahałam się, czy nazywać ją domem, ale będę musiała tam wrócić, prawda?

Skończyłam kanapkę i otrzepałam ręce.

- Zamierzasz wrócić na konferencję? Yves pokręcił przecząco głową.

- W tej chwili mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

- Jo i Ingrid będą niepocieszone.

- Jo i Ingrid? - roześmiał się Xav. - A ja myślałem, że te konferencje są dla chłopaków, którzy wyglądają jak Brains prosto z Thunderbirds. Pomyliłem się co do ciebie, braciszku. Powinienem był bardziej uważać na lekcjach.

- Nie istnieje odwrotna korelacja między pięknem i inteligencją - rzucił Yves.

- Oooo, trudne słowa. - Xav rzucił w niego chrupkiem. - Przepraszam, ale taki prostak jak ja potrzebuje tłumaczenia.

Yves przewrócił oczami.

- Ładne dziewczyny też potrafią być mądre. W zasadzie, to się często zdarza.

- Czemu mi tego od razu nie powiedziałeś?

To było głupie: dokuczali sobie, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. Halo, w pokoju z wami jest obca osoba.

- Jeszcze jedną kanapkę? - Yves podał mi talerz.

- Nie, skończyłam.

- Wciąż jesteś głodna.

- Po prostu... - Uniosłam ręce do góry. - Po prostu daj mi spokój, OK? Muszę już iść.

Yves zerknął na brata.

- Zrób nam kawy, dobrze? Phee i ja musimy pogadać. Będziemy w salonie.

- Nie, Phee i ja nie będziemy w salonie. Phee będzie sobie stąd szła. Poproszę o klucz. - Wysunęłam dłoń, machając palcami w geście „podaj mi go”.

- Może wolałabyś herbatę? - spytał Xav spokojnie.

- Schrzaniaj. - Podeszłam do kontuaru i rozrzuciłam zawartość tacki z drobnymi monetami i różnymi innymi rzeczami w poszukiwaniu klucza.

- Zanim przeszukasz cały dom, Phee, myślę, że powinnaś wiedzieć, że mamy tylko po jednym kluczu dla każdego i trzymamy je w kieszeniach. - Yves znów mnie zostawił i wyszedł z kuchni, kierując się do salonu.

- Jeśli zamierzasz zrobić komuś krzywdę - odezwał się Xav, napełniając czajnik - wolałbym, żeby to był mój brat.

Bawili się moim kosztem. Nienawidziłam tego. Gotując się ze złości, wymaszerowałam za Yvesem. Jednak kiedy tylko dotarłam do salonu i nabrałam powietrza w płuca, żeby na niego nawrzeszczyć, on wyskoczył na mnie zza drzwi i przewrócił swoim ciałem na kanapę, przytrzymując moje ręce. Zdradziecka część mnie chciała objąć go ramionami za szyję i pocałować, ale oburzona większość rwała się do ucieczki.

Yves zdusił mój bunt prostą metodą - przygniatając mnie całym swoim ciężarem.

- OK, to chyba jedyny sposób, żeby zmusić cię do wysłuchania mnie, więc niech tak będzie.

Zamknęłam oczy, ale już dostrzegłam jego wzorzec myślowy, który musiał dopasować się do mojego swoją intensywnością. W jego umyśle to nie był żaden dziwny chwyt randkowy, tylko - logicznie myśląc - najszybszy sposób na to, by zakończyć moje próby ucieczki. Fakt, że ten kontakt cielesny przerodził się w coś innego, zupełnie go zaskoczył. Uniósł się na przedramionach, zakłopotany, ale zdeterminowany.

- Możesz albo napić się ze mną kawy jak cywilizowana osoba i wtedy spróbujemy się porozumieć, albo zrobimy to siłowo.

- Siłowo? - Mimowolnie się skuliłam. Żyjąc z Widzącym, miałam dość okazji, żeby doświadczyć, co to oznaczało. Wiedziałam, że Yves jest zbyt dobry, żeby być prawdziwy. Wystarczyło trochę podrażnić i pokazał się potwór. - Proszę, ja... porozmawiam z tobą. Nie rób mi krzywdy.

Napięcie uszło z jego ciała; oparł swoje czoło o moje.

- Phee, nie zamierzam cię skrzywdzić. Nawet tak nie myśl. - Odsunął się prędko i pozwolił mi usiąść. - Chodziło mi o to, że poczekamy, aż Vick wróci do domu. Jest drugi w kolejności starszeństwa i potrafi wydobywać z ludzi odpowiedzi - to jego moc. Ale żaden z nas by cię nie skrzywdził; chcemy ci tylko pomóc.

Objęłam nogi ramionami.

- No jasne.

Yves przeczesał włosy palcami. Zaczynałam rozpoznawać ten gest jako oznakę tego, że jest u kresu cierpliwości. Często go do tego doprowadzałam.

- Przepraszam - szepnęłam.

Yves zdjął okulary i ścisnął palcami nasadę nosa. Bez szkieł wzmacniających intelektualny wygląd wydawał się wrażliwy i młodszy - trochę jak ja bez makijażu.

- Słuchaj, wiem, że źle się zachowuję w stosunku do ciebie, ale jeśli nic mi nie powiesz, to nadal tak będzie. Chciałbym, żebyś uwierzyła, że możesz mi zaufać. Widać, że pochodzisz z trudnego środowiska; nie chcesz powiedzieć mi, co się dzieje? Co z twoimi rodzicami? Nie będzie z nimi problemów? Nie wiedzą o Przeznaczonych?

Pociągnęłam luźną nitkę przy mojej okropnej spódnicy.

- Moja mama zmarła dziewięć lat temu.

- Przykro mi. - Odchrząknął. - W takim razie z kim mieszkasz? Z tatą?

Zaśmiałam się gorzko.

- Może. - Nie powiedziałam nic więcej.

- Phee...

- Dobra, dobra. Słuchaj, żyję w takiej grupie sawantów. Nie zatrzymujemy się nigdzie na długo.

- Kto się tobą zajmuje? No wiesz, po śmierci twojej mamy.

- Żartujesz, prawda? - z mojego doświadczenia wiem, że ludzie nie zajmują się cudzymi dziećmi. - Oczywiście sama się sobą

zajmuję. Dzięki mojemu darowi mogłam zachować swoje miejsce.

- Co to znaczy: zachować swoje miejsce?

- Muszę przynosić to, co mi każą. Coś w rodzaju haraczu.

Wziął mnie za rękę, ale ją cofnęłam.

- OK, Olivierze, chyba wiem, o co chodzi. Kto jest twoim Faginem?

Prychnęłam na to odniesienie do Obviera Twista: daleko nam było do radosnej bandy śpiewających sierot.

- Bardziej Billem Sykesem. - A niech to, nie powiedziałam tego, prawda?

Ale Yves bardzo sprytnie zastawił tę pułapkę i rzucił się na moje wyznanie.

- A więc kogoś się boisz - każe ci to robić?

Tak - i nie. Oczywiście, że się bałam. Nie pamiętałam dnia, w którym nie żyłam w strachu przed Widzącym, ale nie byłam też niewinnym Olivierem, wstrząśniętym, kiedy zobaczył, jak jego koledzy kradną chusteczkę. Wiedziałam, co robię, kiedy kradłam, i często mi się to podobało - to by go dopiero zszokowało. - Yves, po prostu przyjmij, że żyjemy w dwóch różnych światach. Nie zrozumiesz, o co chodzi w moim.

- Nie, jeśli mi nie powiesz.

Wszedł Xav, wnosząc na tacce dwa kubki kawy, mleko i cukier.

- Będę w kuchni, gdybyście mnie potrzebowali - mruknął, bardziej do swojego brata niż do mnie, byłam tego pewna.

- Dzięki, Xav. - Yves podał mi kubek i mleko. Nalewałam, aż kawa przybrała kolor karmelowy, a potem wsypałam sporo cukru. Jeśli miałam niski poziom energii, musiałam szybko go uzupełnić, żeby zachować przytomność umysłu. - Phee, muszę wiedzieć, czemu właśnie mnie szukałaś wczoraj i dzisiaj. To może być ważne.

- Ach tak, mówiłam ci, że przykro mi z tego powodu? Byłeś po prostu kolejnym celem, no wiesz, nic osobistego.

- Jakim celem?

Czy to zaszkodzi, jeśli wyjaśnię, jak do tego doszło? Nie, jeśli nie podam żadnych imion.

- Pokazano mi twoje zdjęcie i powiedziano, żebym ukradła twoje rzeczy. Pewnie ktoś chciał tego twojego iPa-da najnowszej generacji.

Yves zmrużył oczy; cała jego ostrożność zniknęła. Teraz zmierzał prosto do celu.

- Skąd o tym wiesz? Wyglądał tak samo jak inne modele.

- Słyszałam, jak mówiłeś o tym rano Jo i Ingrid. Jeśli to była tajemnica, naprawdę nie powinieneś był rozpowiadać o tym publicznie.

- To nie tajemnica - w każdym razie nie teraz, bo wszystko, co z niego zostało, to interesujące współczesne przedstawienie skatowanej technologii Apple'a. - Wskazał na szary kawałek złomu leżący na szafce z jasnego drewna. Ups.

- Powiedziałabym, że zwrócę ci pieniądze, ale nie mogę. Nie mam tyle. - W ogóle nie mam pieniędzy, chyba że jakieś ukradnę.

- Możesz mi zapłacić, odpowiadając na moje pytania. Upiłam łyk kawy, zastanawiając się nad tym, jakie mam możliwości.

- Musimy to robić teraz? Jestem bardzo zmęczona i nie lubię mówić o sobie.

- Nigdy bym się nie domyślił. - Uśmiechnął się ironicznie. O rany, ale był piękny: twarz miał jak gniewny anioł, Święty Michał walczący ze smokiem, gładkie czarne włosy i oczy błyszczące inteligencją i ciekawością. Okulary bez oprawek tylko podkreślały bardzo poprawne wrażenie, że nie był to chłopak, którego wolno było nie doceniać.

- Tak, przepraszam. - Zaczynało mnie dopadać wyczerpanie. Ziewnęłam, próbując obliczyć, jak dużo mam czasu. Brat o imieniu Vick miał wrócić o szóstej. Mogłam przespać się kilka godzin, dać trochę niejasnych odpowiedzi i wciąż mogło udać mi się wymknąć, zanim on wróci. Mój dar będzie działał silniej, jeśli nie będę tak zmęczona, a potrzebowałam go, żeby zdobyć klucz i uciec. - Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli się tu na chwilę położę? Nadal możesz zadawać mi pytania?
- A ja je prześlę.

- Czuj się jak u siebie. - Wydawał się szczęśliwy, że może kontynuować przesłuchanie w spokojniejszy spo-

sób. Może miał nadzieję, że w ten sposób wydobędzie ze mnie więcej odpowiedzi.

Odstawiłam kawę na tackę, po czym wyciągnęłam nogi.

Yves położył sobie poduszkę na kolanach.

- Tak będzie ci wygodniej - powiedział, klepiąc poduszkę.

Czemu nie. Zdjęłam okulary i odwróciłam się, żeby położyć głowę na jego kolanach.

- Strzelaj.

Roześmiał się, aż poduszka pod moim policzkiem podskoczyła.

- Nie powinnaś tak do mnie mówić - uznam to za zaproszenie, żeby użyć mojej mocy. Trzy podpalenia w ciągu dwóch dni - przez ciebie zupełnie tracę nad sobą kontrolę. - Nie zadawał żadnych pytań, tylko pozwolił mi tak leżeć, z ręką na moich włosach. Wyplątał kilka kosmyków z apaszki, więc zdjęłam ją, zmęczona uczuciem ciągnięcia na głowie.

- Lepiej? - spytał, przeczesując nierówne kosmyki.

- Mhm.

- Masz bardzo miękkie włosy, wiesz? To brzmiało miło.

- Ale powinnaś pozwać swoją fryzjerkę. Uśmiechnęłam się w jego ubrane w dzinsy udo.

- Przekażę jej to, kiedy się obudzę.

7

Kiedy wynurzyłam się ze snu, była czwarta po południu Yves nie ruszył się z miejsca. Siedział z ręką na moich plecach i czytał grubą książkę o zmianach klimatycznych. Leżała rozłożona na jego ręku jak uziemiony gruby gołąb o zwichniętych skrzydłach. Musiało być bardzo niewygodnie trzymać ją w ten sposób. Przez chwilę leżałam nieruchomo, żeby nie wiedział, że się obudziłam. Mogłam widzieć stronę, którą czytał. Podobały mi się jego palce: długie i opalone na wierzchu; ciemne włosy na ręku aż po nadgarstek, a potem blade wewnątrz dłoni poznaczone liniami papilarnymi. Dobrze mi było poznawać go w takich szczegółach i patrzeć, jak poruszały się jego ścięgna, kiedy przewracał kartkę tak, żeby mnie nie zbudzić, i na bliznę z boku jednej ręki. Byłam pewna, że gdybym zacisnęła pięść, on bez trudu zmieściłby ją w swojej znacznie większej dłoni, ale nie tak jak ze Smokiem - myśl, że Yves był ode mnie większy i silniejszy nie

onieśmiała mnie. Byłam teraz pewna, że nie skrzywdziłby mnie celowo. Fakt, że pozwolił mi spać, chociaż chciał mnie przesłuchać, był na to dowodem. Jeszcze bardziej niesamowite było to,

że zaufałam mu na tyle, by porzucić środki ostrożności; zastanawiałam się, czy moje zdradzieckie DNA przejmuje kontrolę nad moim mózgiem w obecności mojego Przeznaczonego.

Poruszyłam głową, czując mokry ślad pod policzkiem, tam gdzie miałam lekko rozchylone usta. Śliniłam się we śnie, jakie to upokarzające.

- Obudziłaś się, Śpiąca Królewno? - Yves odłożył książkę na szklany stolik kawowy, na zdjęciu niedźwiedzi polarnych na tle lodu.

Szybko usiadłam i otarłam usta ręką.

- Dziękuję. Potrzebowałam tego.

Yves wstał i przeciągnął się, by rozprostować zdętwiałe nogi.

- Gotowa, żeby się czegoś napić? Może wody sodowej?

Poszłam za nim do supernowoczesnej kuchni o sprzętach w kolorze metalicznej szarości. Pachniało tu mieloną kawą i sprayem cytrynowym. Xav pisał coś na klawiaturze komputera i tylko uśmiechnął się do mnie krótko, po czym wrócił do swojej pracy.

- Jak smakuje woda sodowa? Wiem tylko, że soda służy do czyszczenia odpływów albo do pieczenia.

- To napój gazowany w brytyjskiej odmianie angielskiego. - Wyjął dużą butelkę lemoniady. - A może wolisz sok?

- Tak, pomarańczowy, jeśli jest.

- Coś do jedzenia? Pokręciłam głową.

Yves postawił dwie szklanki soku i paczkę biszkoptów na tacy i zaprowadził mnie z powrotem na kanapę. Przyzwyczajona do podejmowania decyzji za siebie, idąc zanim, czułam się bardziej niż żalśnie, ale w tej chwili mogłam tylko czekać, żeby sprawdzić, jakie ma plany. Yves otworzył paczkę biszkoptów i poczęstował mnie. Wszystkie moje postanowienia o niejedzeniu natychmiast prysły - biszkopki były czekoladowe, a przed tym nie mogłam się już powstrzymać. Wzięłam jednego.

Yves wciąż nic nie mówił, tylko siedział, popijał swój sok i wyglądał przez okno na krążące wokół bloku mewy. Jego milczenie zaczynało mnie niepokoić. Czyżby zmienił zdanie na mój temat, kiedy spałam? Czy postanowił jednak wybrać rozwiązanie „siłowe”?

- No to... co chciałbyś wiedzieć?

- Możesz zacząć od tego, dlaczego dziś wróciłaś - odpowiedział cicho. - Wiedziałaś, że moje rzeczy zostały zniszczone, ale i tak mnie śledziłaś, i znowu próbowałaś mnie okraść. To bez sensu, jeśli, jak mówiłaś, chodziło o najnowszy sprzęt Applea.

Przełknęłam ślinę i skinęłam głową. Będę musiała powiedzieć mu dość, żeby zaspokoić jego ciekawość, nie zdradzając jednocześnie niczego ważnego.

- Tak, rozumiem, że to wygląda dziwnie. Sęć w tym, że... no... nie powiedziałam mojemu Faginowi, jak go nazwałeś, że iPad wybuchł - nie uwierzyłby mi albo by mnie ukarał i... i... jeszcze kogoś, na kim mi zależy.

Yves zmarszczył brwi, a w jego oczach pojawiła się podejrzliwość.

- A kto to jest - ta osoba, na której ci zależy? Był zazdrosny. To mnie dziwnie uspokoiło.

- Mężczyzna z grupy, z którą mieszkam, który był dla mnie miły. Został okaleczony w wypadku, a ja się nim opiekowałam. Poszłam do niego, kiedy potrzebowałam, żeby ktoś zabandażował mi rękę. - Otrzepałam poręcz kanapy frędzlem dużej białej satynowej poduszki. - Nikt,

kim powinieneś się przejmować. Uśmiechnął się do mnie.

- Taki jestem przezroczysty? OK, to kim jest twój Fagin?

Przycisnęłam poduszkę do piersi.

- Nie jest miłym człowiekiem. Yves westchnął.

- Domyśliłem się tego.

- Jest bardzo potężny - powinieneś traktować go serio. - Widziałam, że Yves tego nie rozumie. Nikt „nie rozumiał” Widzącego, dopóki nie miał tego nieszczęścia, by go poznać osobiście. - W każdym razie bardzo mu zależało na tym, żebym cię okradła, ale nie powiedział mi dokładnie, czego chce. Kiedy nie udało mi się za pierwszym razem, pomyślałam, że mogę ukraść coś innego, żeby go dziś zadowolić - paszport, portfel czy coś innego. Nie wiedziałam, że iPad i telefon były wyjątkowe, dopóki nie usłyszałam, jak mówisz o tym Ingrid i Jo.

Yves podrapał się po policzku, analizując moje słowa.

- Ale czemu ryzykowałeś i wracałeś do mnie? Jeśli myślałeś, że jestem tylko zwykłym turystą, z twoim darem mogłaś ukraść mnóstwo innych

rzeczy i powiedzieć, że były moje. Kto by się domyślił?

- Tak, przeszło mi to przez głowę, ale Widzący... -Kto?

Cholera, cholera, cholera. Gorące łzy napłynęły mi do oczu.

Myślałam, że mogę grać w tę grę bez potknięcia, a poległam niemal natychmiast. Wstałam, złapałam okulary Wendy ze stolika i wsadziłam je do kieszeni.

- Nie dam rady, Yves, przepraszam. Zbyt wielu ludziom może stać się krzywda, a ja już i tak mam kłopoty. - Boże, Widzący by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że wspomniałam o nim komuś spoza Wspólnoty.

- Usiądź, Phee.

- Nie, muszę iść. Musisz mnie wypuścić! - Ominęłam go i rzuciłam się do drzwi.

- Xav! - krzyknął Yves.

- Jestem tutaj. - Jego przeklęty brat stał w korytarzu i blokował drogę do drzwi.

Yves stanął w drzwiach do kuchni.

- Nigdzie nie idziesz. Myślałem, że to zrozumiałaś. Zawisłam między nimi, jak ktoś zjeżdżający na kolejce tyrolskiej i bujający się w

powietrzu bez możliwości nabrania rozpędu, żeby ruszyć.

- Nie, nie, to ty nie rozumiesz. On mnie skrzywdzi. Yves wyciągnął do mnie rękę.

- Phee, nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

Stałam gotowa do skoku przy stoliku kawowym, a moje odbicie w lustrze mówiło mi, że wyglądam jak zwariowany chochlik, z włosami sterczącymi każdy w inną stronę. Nic dziwnego, że nie traktowali mnie poważnie.

- Nie znasz Widzącego. To nie takie proste. Gdybym nie ukradła ci dziś wody, pewnie już bym nie żyła - zrobił coś takiego, żebym nie mogła jeść ani pić, aż nie wykonam zadania. On... robi różne rzeczy z mózgiem, zmusza ludzi do posłuszeństwa. Jeśli mnie złapie, może mi kazać cię zabić albo... albo skoczyć z mostu... I ja to zrobię.

Yves skrzywił się, już nie taki pewny siebie, kiedy znalazł wyjaśnienie wszystkiego. Spojrzał na swojego brata w poszukiwaniu wsparcia.

- Powiedziałem Vickowi, żeby wrócił najszybciej, jak może - potwierdził Xav. Używali telepatii, żebym nie wiedziała, co mówią.

- Przestańcie - jak myślisz, jak się czuję, kiedy wiem, że rozmawiacie za moimi plecami! -

Złapałam stertę gazet i rzuciłam nimi w Yvesa, zamachując się nimi, jakby były frisbee.

- Spokojnie. Już jesteś od niego wolna, Phee, od tego Widzącego. Zostajesz ze mną. - Yves odtrącił pociski i przemówił uspokajającym tonem, który w tej chwili jeszcze bardziej mnie złościł. To nie był moment na bycie spokojnym i rozsądnym!

- Tak? A co z Tonym? - Rzuciłam w niego poduszką. Yves ją złapał.

- Z Tonym?

- Moim przyjacielem! Jego nie obronisz, prawda? Jeśli nie wrócę przed dziewiątą, stanie mu się krzywda, a ja obiecałam - obiecałam mu, że dotrzymam słowa. Boże, Boże. - Siły mnie opuściły. Opadłam na podłogę i skuliłam się w przejściu.

- Xav? - Yves podbiegł do mnie.

- Zajmę się tym. - Xav położył ciepłą rękę na moim karku i zalał mnie swoim uspokajającym dotykiem. - Jest wyczerpana, Yves. Musimy się z nią obchodzić ostrożnie; nie da rady przyjąć na siebie więcej. Jest tak napięta, że większa presja może ją załamać.

- Muszę wrócić - wyszeptałam.

- Nie, nie musisz. - Yves przygarnął mnie do piersi i podniósł z podłogi. - Twój Widzący może być silny, ale trzech Benedictów ma przewagę nad

jednym Faginem. Ty, Phoenix Corrigan, pójdziesz teraz do łóżka i pozwolisz nam się tym zająć. Kiedy Vick wróci, powiesz mu, gdzie znaleźć tego Tony'ego, i wymyślimy coś, żeby nie stała mu się krzywda.

- Myślę, że potrzebujemy Sky i Zeda - mruknął Xav.

- Tak, sprawdźmy, czy nie mogą przerwać wakacji. Mama i tata też by mogli. - Yves położył mnie w łóżku i ściągnął mi buty.

Xav roześmiał się sucho.

- Czemu nie wezwać całego plemienia - świetny pomysł. Zadzwoń do Tracea, Willa i Uriego, skoro już przy tym jesteśmy.

- To moja Przeznaczona, Xav. Zrobię dla niej wszystko. - Przykrył mnie kołdrą.

- Tak, wiem, stary. Nie chciałem ci dokuczać. Rodzice to dobry pomysł. Będziemy musieli zrobić kawał papierkowej roboty, żeby ją stąd wydostać.

No i znowu: zajmowali się moim życiem, jakbym ja była całkiem pozbawiona rozumu. Traktowali mnie jak kogoś, kto właśnie został przyjęty na oddział w szpitalu psychiatrycznym. Tylko patrzeć, a zaczną kroić dla mnie jedzenie i karmić mnie łyżeczką.

Zrzuciłam z siebie kołdrę.

- Nic nie rozumiecie. Domyślą się, że jestem z wami. Nie mogę zostać. Po prostu nie mogę.

Yves znowu mnie przykrył.

- Nie martw się o to, Phee. Upewnimy się, żeby nikt się do ciebie nie dostał.

Nie zostawiali mi innego wyboru. Dusiałam się od ich troski, chcieli dobrze, ale to było nie do zniesienia. Nie myślałam o tym, co będzie po godzinie dziewiątej. Będę musiała ich zamrozić, ale miałam większe szanse ucieczki,

jeśli nie wpadnie im do głowy, żeby co chwila mnie sprawdzać. Będą musieli uwierzyć, że z nimi współpracuję. Ścisnęłam Yvesa za rękę.

- Obiecujesz? -Tak.

Udałam, że mi to wystarczy.

- OK, w takim razie odpocznę. - Nakryłam się bardziej kołdrą, próbując wyglądać jak grzeczna dziewczynka, która wcale nie myśli o ucieczce.

- Dziękuję. - Yves zasunął zasłony, wprowadzając półmrok do pokoju. - Zaufaj nam, Phee, wszystko się ułoży.

Zaufać? We Wspólnocie nauczyłam się, żeby nikomu nie ufać.

Dwóch Benedictów wyszło z pokoju. Policzyłam do trzystu, ale nie wrócili - zaufali mi, bardziej niż powinni, że będę odpoczywać. Nie mogłam dłużej

czekać, bo tajemniczy Vick wracał już do domu: to był jeden z Benedictów, których nie miałam ochoty poznać. Wsunęłam buty na nogi, na palcach podeszłam do drzwi i uchylłam je. Yves i Xav rozmawiali szeptem w kuchni. Doskonale. Podkradłam się do drzwi kuchennych, zerknęłam do środka i sięgnęłam po ich wzorce myślowe. Pozbawione mojej drażniącej obecności myśli Yvesa przybrały spokojniejsze, bardziej abstrakcyjne barwy, stanowiące mieszaninę szarości, zieleni i niebieskiego, niczym delikatny bluszcz zdobiący marmurowe kolumny. Przy pomocy swojej niezwykłej inteligencji analizował różne możliwości zdobycia dla mnie paszportu i zabrania mnie ze sobą do Stanów. Zastanawiał się, co zrobić, kiedy tam przyjedziemy. Nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, że pisana nam jest wspólna przyszłość. Żeby tylko. Myśli Xava były bardziej ulotnei przypominały dziwaczny strumień wspomnień i obrazów - trasy narciarskie, góry, ładna dziewczyna z Teatru Globe, wszystko na tle tęczęwego okna.

Powoli, jakbyś wciskała się w parę obcisłych dzinsów, milimetr po milimetrze. Złap ich i... przytrzymaj.

Drzemka na kanapie prawie przywróciła mi moją normalną siłę. Yves i Xav, nieświadomi tego, że zostali chyłkiem zaatakowani, przeszli w stan zamrożenia. Nie mogłam ryzykować zburzenia tej delikatnej równowagi przeszukiwaniem ich kieszeni, więc ruszyłam prosto do drzwi. Yves zostawił odsunięte rygle, więc mogłam wymknąć się na zewnątrz bez dalszych opóźnień.

I puść... Delikatnie rozluźniłam mój uchwyt na ich umysłach, jakbym łagodnie wydychała powietrze. Jeśli będę miała szczęście, nawet nie zauważą kilku sekund swojej nieuwagi.

Starając się wyglądać, jakbym miała wszelkie powody, by tu być, skierowałam się do windy. Zakładałam, że schody powinny być tuż obok. Kiedy włączę alarm, otwierając drzwi przeciwpożarowe bez klucza, moja ucieczka wyjdzie na jaw, ale miałam nadzieję, że zyskam wystarczająco dużo czasu, żeby ich przegonić. Planowałam wzywać windę z niższych pięter, kiedy będę przez nie przebiegać, żeby mieć pewność, że dojazd na dwudzieste piętro zajmie jej całe wieki. Możliwe, że Yves i Xav wybiorą moją drogę, ale do tego czasu ja zgubię się w betonowym labiryncie Barbicanu. Byłam pewna, że na dobrze mi znanym gruncie nie da się mnie przechytrzyć.

Kiedy mijałam windę, drzwi otworzyły się przy akompaniamencie dzwonka. Wszedł z nich wysoki mężczyzna w gładkim garniturze, o długich, porządnie związanych z tyłu włosach i przenikliwych, zielonych oczach. To z pewnością był trzeci brat. Od razu wyczułam, że muszę być ostrożna: na mieliznę pełną małych rybek wpłynął rekin. Uśmiechnęłam się, dziękując mojej gwiazdzie, że nie wiedział, jak wyglądam.

- Przytrzymać windę? - spytał uprzejmie, wsadzając rękę w szparę, kiedy drzwi zaczęły się zasuwac.

- Nie, dziękuję - odparłam pogodnie. - Idę do koleżanki - dodałam, wskazując w dół korytarza.

Vick odszedł, pozwalając drzwiom się zatrzasnąć i wsuwając klucz do tylnej kieszeni spodni. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy ośmielę się go zamrozić, ale ponieważ nie wiedziałam, jak jest silny, nie mogłam ryzykować. Pozwoliłam mu odejść. Szłam przed siebie, zerkając w kierunku drzwi na klatkę schodową, kiedy je mijałam. Vick wszedł do mieszkania i zamknął drzwi.

Teraz albo nigdy. Pobiełam z powrotem i popchnęłam metalową dźwignię, żeby otworzyć drzwi. Rzuciłam się przez nie tak szybko, że alarm

ledwie zaczął dzwonić, kiedy ciężkie drzwi zamknęły się z trzaskiem. Klatka schodowa była brzydkim, szarym miejscem pachnącym betonowym parkingiem, bardzo różnym od luksusów wyłożonego dywanami korytarza. Piętro niżej pchnęłam drzwi wejściowe i wcisnęłam przycisk wzywający windę na dół. Usłyszałam buczenie, kiedy winda, którą przyjechał Vick, zaczęła zjeżdżać w dół. Potem wezwałam wszystkie inne windy. Dwa piętra niżej powtórzyłam tę samą taktykę. Tylko na tyle starczyło mi czasu. Benedictowie nie będą tracić czasu, czekając na windę, kiedy stwierdzą, że uciekłam schodami; miałam tylko chwilę, zanim opracują plan złapania mnie z powrotem.

Dwadzieścia pięter to strasznie długa droga. Około jedenastego nie byłam w stanie skupić się na stopniach -stały się prawie czymś w rodzaju abstrakcyjnego obrazu złożonego z linii - i omal się nie potknęłam. Mojej koncentracji nie pomógł dobiegający mnie odgłos pościgu. Benedictowie nie krzyczeli i nie robili zamieszania, tylko bezlitośnie pędzili po schodach jak jakiś oddział żołnierski na ćwiczeniach. Oczywiście - bardzo pomaga, jeśli twoi kumple mogą rozmawiać z tobą telepatycznie.

Phee, przestań, to szaleństwo!

A więc Yves postanowił spróbować do mnie przemówić. Spodziewałam się, że spróbuje tego już wcześniej, ale pewnie on i jego bracia byli zbyt zajęci planowaniem, jak odciąć mi drogę. Gotowa byłam się założyć, że nie biorą pod uwagę tego, że wiem o podziemnym parkingu samochodowym. Podczas gdy Vick albo ktoś z nich będzie czekał na mnie w holu, po tym jak udało mu się wezwać windę, ja przemknę się piętro niżej.

Parter. Piwnica. Popchnęłam dźwignię i wpadłam do ciemnego labiryntu parkingu. Skręciłam ostro w lewo i rzuciłam się w kierunku Barbican Centre, wiedząc, że dużo trudniej będzie mnie zauważyć w tłumie niż na jednym z pustych chodników wzdłuż zakorkowanej samochodami jezdni. Chodniki do Centrum Sztuk wypełniały się ludźmi, którzy chcieli zjeść tam kolację, zanim zaczną się wieczorne przedstawienia. W płaskich, prostokątnych sadzawkach odbijały się wysokie budynki, a wodę ledwie muskało kilka radosnych kaczek ślizgających się po jej powierzchni. Przemknęłam przed dużą grupą niemieckich turystów i zwolniłam kroku. Bieganiem tylko zwrócę na siebie uwagę. Oddychałam ciężko, ale starałam się zachowywać normalnie. Zatrzymałam ubraną na czerwono kobietę, która przypatrywała

mi się z zaciekawieniem, przechodząc obok pod rękę z mężem.

Uśmiechnęłam się do niej nieśmiało, machając ręką, żeby schłodzić policzki.

- Przepraszam, która godzina? Obawiam się, że jestem spóźniona.

Usprawiedliwiłam w ten sposób mój pośpiech. Kobieta zerknęła na zegarek.

- Piąta trzydzieści.

- Dziękuję. Tak, jestem spóźniona. - Uśmiechnęłam się na pożegnanie i ruszyłam prędko, mijając kwadratowe, betonowe kwietniki pełne letnich kwiatów.

Yves dał mi ogniowe kwiaty. Nigdy wcześniej nikt nie wpadł na to, żeby to dla mnie zrobić.

Phee, powiedz nam, gdzie jesteś, proszę! Nie jesteśmy na ciebie źli - chcemy ci tylko pomóc.

Nie zamierzałam odpowiadać, na wypadek gdyby z moich myśli wyczuł moje położenie.

Phee, proszę! Nie próbuj tego!

Barbican Centre było godne swego miana - wyglądało jak nowoczesna forteca z brązowo-szarego betonu. Wyglądało to tak żałośnie, że nie mogłam pojąć, jak architektowi uszło na sucho zaprojektowanie czegoś takiego. Miasta były wystarczająco zniechęcające, bez nowoczesnych

budynków wpędzających w głęboką, nieuleczalną depresję. Wnętrze wydawało się nieco lepsze: szerokie hole, żeby móc podejść blisko celów, dyskretne zaułki, żeby sprawdzić, co się ukradło z torebki - ludzie mojej profesji mogli docenić bardzo dobrą organizację. Słyszałam, jak odwiedzający mówili, że teatry i sale koncertowe były doskonałe, ale to nie były miejsca, w które chadzali tacy jak ja. Dla nas cały dramat rozgrywał się poza sceną.

Phee, nie skreślaj nas, zanim spróbowaliśmy!

Błagania Yvesa były coraz bardziej desperackie.

Zeszłam po schodach do damskiej toalety, jak wskazywała strzałka, i wskoczyłam do środka. Może to była stereotypowa kryjówka, ale wątpiłam, żeby się tu włamywali, jeśli nie mieli pewności, gdzie jestem. Stałam nad umywalką i przyjrzałam się sobie w lustrze. Tandetnie ubrana dziewczyna spojrzała na mnie dzikim wzrokiem. Potrzebowałam poważnej przemiany, jeśli nie zamierzałam zwracać na siebie uwagi z niewłaściwych powodów. Porzuciłam torebkę w mieszkaniu Benedictów, więc byłam zdana na mydło, ręczniki papierowe i własne ręce. Przygładziłam włosy i spryskałam twarz wodą. Potem przypomniałam sobie, że mam jeszcze resztkę kredki do oczu i tubkę błyszczyka do ust -

jedna z zalet tandetnych ubrań to pojemne, katastrofalne dla sylwetki kieszenie. Dzięki odrobinie makijażu zaczynałam bardziej przypominać siebie. Następnie schowałam się w jednej z kabin i zdjęłam spódnicę - miałam szorty pod spodem. Rozpięłam guziki białej koszuli i związałam ją pod biustem. Czułam się jak podczas jednej z tych szybkich przemian w cyrku - ta-dam! koniec z żalną Wendy, z popiołów powstaje seksowna Phoenix. Zwinęłam spódnicę i wsadziłam ją sobie pod pachę, planując zwinąć pierwszą plastikową torbę, jaką zobaczę, żeby ją tam upchnąć.

Ostatni raz sprawdziłam swoje odbicie. Byłam zadowolona z mojej transformacji. Para starszych pań weszła do łazienki i zmarszczyła z dezaprobatą brwi na widok mojego odsłoniętego brzucha. Tak, zdecydowanie mi się udało.

Phee, wiemy, że jesteś w Barbican Centre.

Skąd wiedzieli? A może zgadywali i mieli nadzieję, że mnie tu złapią? Te pytania wirowały mi w głowie, mieszając się z wątpliwościami. Czy dobrze robię, że tak uciekam? Czy mam inny wybór? Porzucanie mojego Przeznaczonego, nawet jeśli robiłam to dla jego dobra, sprawiało, że

czułam się, jakbym odpiłowywała sobie własną rękę.

Posłuchaj, przestań się chować i spotkaj się z nami. Stoję przy sklepie na parterze.

Jasne, jasne, a jego brat blokuje pozostałe wyjścia. Nie urodziłam się wczoraj.

Mam zacząć cię błagać?

Zaczynał się na mnie złościć - nie mogłam go za to winić. Uderzyłam go w czułe miejsce, prosto w jego pewność siebie w relacjach z dziewczynami i było mi z tego powodu przykro. Był doskonały taki, jaki był, nie musiał się tego wstydzić. Ale nie mógł być mój.

Nie możesz dać mi szansy?

Przykro mi, ale nie. Nie w moim świecie. Jego jedyna szansa to trzymać się ode mnie z daleka, żeby moje życie nie zatrzymało jego.

Spojrzałam na siebie w lustrze po raz ostatni. Dam radę. Wyszłam z łazienki i skierowałam się prosto do wyjścia na niższym parterze, wysyłając mu ostatnie życzenie.

Bądź szczęśliwy, Yves.

Duży błąd. Zatrzymałam się w pół kroku. Yves stał przede mną z założonymi rękoma i swoimi braćmi po obu stronach, dokładnie na wprost

wyjścia z łazienki. Oszukał mnie, żebym myślała, że jest na górze.

Ładnie. Podoba mi się twój nowy wizerunek.

Nie brzmiał, jakby mu się to choć trochę podobało. Brzmiał raczej jak osoba, którą należałoby związać i poczęstować dawką środków uspokajających.

Jak mnie znaleźliście?

Wyjątkowy podpis energetyczny, pamiętasz?

Szybko przejrzałam wszystkie możliwości. Wycofać się i ich przeczekać - nie, wejdą tam za mną. Iść z nimi i pozwolić Widzącemu skrzywdzić dziś Tony'ego, a potem ich, kiedy po mnie przyjdzie. Użyć na nich mojego daru - za dużo ludzi, a oni będą wiedzieli, jak się oprzeć. Czwarta opcja - zrobić aferę. W miejscu publicznym nie wywloką mnie siłą, jeśli zrobię odpowiednio dużo hałasu. Chociaż nie znosiłam zwracać na siebie uwagi, ten moment wydawał się idealny, żeby się tego nauczyć.

Nawet o tym nie myśl albo Vick będzie musiał użyć na tobie swojej mocy - ostrzegł mnie Yves, który musiał odczytać moje intencje z ukradkowych spojrzeń, które rzucałam dookoła.

I nagle pojawiła się piąta możliwość, której żadne z nas nie przewidziało. Jednorożec i Smok

wyłonili się zza Benedictów i minęli ich, zanim ci zdali sobie z tego sprawę.

- Phee, jak dobrze cię widzieć! - powiedział Jednorożec z fałszywą serdecznością. - Myślałem, że spóźnimy się na koncert. Chodź już. - Wziął mnie pod rękę z jednej strony, a Smok z drugiej.

Teraz, kiedy przyszli, mniej byłam pewna, czy chcę być uratowana.

- Kim, u diabła, jesteście? - Chciał interweniować Yves, ale Vick powstrzymał go wiel mówiącym wzrokiem. Bijatyka w Barbican nie skończyłaby się dobrze dla żadnego z nas.

- Jesteśmy jej braćmi - odparł Jednorożec, boleśnie ściskając mnie za rękę. - Więcej jej nie zobaczycie. Przepraszamy, jeśli jej sprytne paluszki wam przeszkodziły. Zostanie za to ukarana. - A więc Jednorożec myślał, że chodziło o kradzież, która się nie udała. To miało sens: czemu inaczej trzech Amerykanów ścigałoby mnie po Barbican. Wyszarpnął mi spódnicę spod pachy i strzepnął ją. - Nie ma nic przy sobie, więc sugeruję, żebyście sprawdzili w łazience. Pewnie tam to schowała.

Smok wykręcił mi rękę za plecami.

- Powiedz do widzenia swoim przyjaciołom, Phee. Przykro mi, ale Phee musi wracać już do domu.

Nic nie powiedziałam.

- No dalej, powiedz!

- Do widzenia. - Boże, byłam zmęczona terroryzującymi mnie mężczyznami.

Złota bransoletka na nadgarstku Smoka zaczęła błyszczeć od gorąca.

-Co u...! - Puścił moją rękę i strząsnął bransoletkę z ręki. Roztopiła się na posadzce, tworząc płaskie kółko.

Yves spojrzał na niego wyzywająco.

- Nikt nie będzie krzywdził Phee.

Mylił się. Robili to bez przerwy. A Yves popełnił błąd, zdradzając im, że jest sawantem. To przenosiło konfrontację w całkiem inny wymiar.

Smok posłał przeszywające spojrzenie w kierunku metalowo-szklanej rzeźby wiszącej nad naszymi głowami, nieco za plecami Benedictów. Z brzękiem luzujących się śrub spadła ukośnie prosto na nich, kiedy przyciągnął ją swoją mocą.

- Yves! - krzyknęłam.

Trzech Benedictów rzuciło się w bok, a rzeźba roztrzaskała się na podłodze, tracąc kształt jak wyrzucona na brzeg meduza i stając się plątaniną drutów i odłamków. Krzyki, które po tym nastąpiły, i funkcjonariusze biegnący na miejsce zdarzenia pozwolili nam się wymknąć. Jednorożec i Smok

wypadli przez drzwi na biegnącą pod ziemią ulicę, zanim Benedictowie zdążyli wstać na nogi. Na machnięcie ręki Jednorożca taksówka wyjechała z rzędu samochodów i zatrzymała się, żebyśmy mogli wsiąść. Miałam ochotę roześmiać się jak wariatka - moja druga przejażdżka taksówką, tak szybko po tej pierwszej w życiu. Nie żałowałam sobie, nie ma co.

Yves, wszystko w porządku? Musiałam wiedzieć.

Tak, tylko kilka draśnięć. Ucieszył się, że się o niego martwię. Ale Phee, co z tobą? Kim są ci mężczyźni?

Może moimi braćmi. Skuliłam się w rogu kanapy i oparłam głowę o szybę. Taksówka ruszyła z miejsca. Żegnaj, Yves. Miło byłoby cię poznać. Przykro mi, że nam nie wyszło.

8

Nikt nie musiał mi mówić, że mam poważne kłopoty. Smok i Jednorożec postanowili nie wspominać o tym przy kierowcy, ale widziałam, że dyszą z wściekłości. Część ich reakcji mogła być spowodowana przyływem adrenaliny po walce, ale wiedziałam, że przelałam czarę, kiedy ostrzegłam Benedictów i popsułam atak Smoka. Wspólnota powinna była trzymać się razem; moja podwójna lojalność wyraźnie wyszła na jaw. Mogłam tylko mieć nadzieję, że nie wywnioskują za wiele z faktu, że Yves znał moje imię i chciał mnie bronić. Aż drżałam ze strachu na myśl o tym, co by zrobili, wiedząc, że odnalazłam swojego Przeznaczonego.

Elektroniczny zegarek na wyświetlaczu taksówki wskazywał zaledwie szóstą, kiedy wysiedliśmy na ulicy oddalonej o przecnicę od naszego tymczasowego domu. Tak wcześnie? Przeżyłam dzisiaj tak wiele, że miałam wrażenie,

jakby była co najmniej północ. Zadygotałam. W moich szortach było mi strasznie zimno. Jednorożec upuścił moją spódnicę w czasie ucieczki - żadna strata dla mody, ale w kieszeniach miałam kilka rzeczy, które chciałabym zatrzymać. Z drugiej strony utrata spódnicy była w tej chwili najmniejszym z moich problemów.

Kawałek gazety zawirował na chodniku i owinął mi się wokół nóg. Strąciłam go kopniakiem.

- Wracam do swojego pokoju? - spytałam, choć nie spodziewałam się ułaskawienia.

- Żartujesz, prawda? - wyśmiał mnie Jednorożec. To były pierwsze słowa, które zamieniliśmy, odkąd wysiedliśmy z taksówki.

- Och, Phee - powiedział Smok, znowu łapiąc mnie za rękę. - Czemu to zrobiłaś?

Zastanawiałam się, o co mu chodziło. Czemu dałam się złapać? Czemu ostrzegłam tamtych? Czemu nie wykonałam zadania?

- Po rozmowie z tobą wczoraj wieczorem Widzący wiedział, że dzieje się coś dziwnego. Wysłał nas, żebyśmy cię pilnowali, i tak zrobiliśmy.

- Ze złości zacisnął szczękę, uwydatniając ścięgna na szyi. - Spędziłaś pięć godzin w towarzystwie naszych wrogów.

W jaki sposób byli naszymi wrogami? Dla mnie Yves był z początku tylko kolejnym celem.

- Zastanawiamy się, co im powiedziałaś. - Przy pomocy swojego daru otworzył drzwi przeciwpożarowe, nie czekając, aż Tony odpowie na pukanie.

- Nic im nie powiedziałam! Uciekłam tak szybko, jak mogłam. Było ich trzech, Smoku, jakbyś nie zauważył!

Kiedy przechodziliśmy, głowy szybko chowały się za drzwiami. Nikt nie chciał być przyłapany na nadmiernej ciekawości.

- Trzech ludzi, którzy wiedzą o nas wszystko. Trzech sawantów. Trzy problemy. A może więcej, jeśli powiedzą innym.

-Ale nie mają co mówić! - Czułam, że moje protesty wpadają jak krzyk w przestrzeń kosmiczną - w pustym sercu Smoka nie było nic, co przenosiłoby dźwięk. Jednorożec był gorszy: jego dusza przesiąknięta była złem i okrucieństwem. Znaleźć się nie po jego stronie to jak być myszą w łapach mściwego ulicznego kocura.

- Jasne, jasne, powiedz to Widzącemu. - Smok popchnął mnie po schodach.

Dotarliśmy na piąte piętro. Pod nosem przeklinałam moją decyzję. Powinnam była

zaryzykować i zostać z Yvesem. Mój powrót nie tylko nie uratował Tony'ego, ale jeszcze wszystko pogorszył.

Phee, czują, że jest ci źle. Mów do mnie.

To był Yves, znowu próbował mnie znaleźć. Jego telepatyczna wiadomość była niewyraźna, bo nie wiedział, dokąd ją kierować. Nie mogłam mu odpowiedzieć. Niektórzy telepaci potrafią podsłuchiwać rozmowy innych i blokować je, jeśli chcą. Jedną z towarzyszek Widzącego, kobieta o imieniu Kasia, miała tę moc, a ona zawsze była blisko niego. Ostatnią rzeczą, której chciałam, było zobaczyć, jak Yves i jego bracia wpadają tutaj, by stoczyć walkę, której nie mieli szansy wygrać.

Jednorożec ruszył przodem do pokoiów Widzącego, podczas gdy ja stałam ze Smokiem na balkonie. Tak musieli się czuć ludzie czekający na egzekucję. Opanował mnie dziwny rodzaj paniki: rozpaczliwe szukanie dróg ucieczki, chociaż wiedziałam, że nie ma żadnej. Głos Yvesa szeptał coś błagalnie, ale musiałam go zignorować.

Jednorożec wrócił zbyt szybko i skinął głową na znak, że możemy wejść. Z przerażeniem zobaczyłam, że większość bywalców salonu Widzącego wychodzi, a zostaje tylko kilku jego popleczników i Kasia. Przyjrzałam jej się szybko,

mając nadzieję znaleźć w niej sojusznika. W ciągu ostatnich kilku miesięcy odbyłam z nią kilka całkiem miłych rozmów. Tleniona, trzydziestokilkuletnia blondynka o przedwcześnie dojrzałej skórze nałogowej palaczki, nie była niemłą, ale znajdowała się pod wielkim wpływem Widzącego. Często zastanawiałam się, czy korzystał ze swojego daru, żeby zasiać ziarno uwielbienia w swoich towarzyszkach, wiedząc, że normalna kobieta czułaby do niego odrazę.

Nikt się nie odezwał, kiedy zbliżaliśmy się do tronu Widzącego. Trzęsły się pode mną kolana - byłam pewna, że wszyscy to zauważyli, bo ledwie mogłam utrzymać się na nogach.

Widzący, rozwalony na kanapie, odwrócił się do mnie. Jego małe oczy były tak złowrogie jak zrobione z guzików oczy lalki voodoo i tak samo nieludzkie.

Wciąż żadnych pytań.

Nie mogąc znieść napięcia, wydałam z siebie rozpaczliwy szloch, ale szybko go zdusiłam.

Widzący uniósł palec. Zostałam uniesiona w powietrze i wylądowałam na plecach na podłodze, a wirtualny cios w żołądek od Smoka pozbawił mnie powietrza.

- Zdradziłaś nas.

Zwinęłam się z rękoma na głowie.

- Nie, nie.

Kolejny atak Smoka przeturlał mnie po podłodze i rzucił o ścianę jak piłkę do squasha. Całe moje ciało przeszył ból.

- Powiedziałaś o nas Benedictom i teraz Sieć Sawantów będzie wiedzieć o naszej komórce.

- Proszę, nic im nie powiedziałam. Uciekłam tak szybko, jak mogłam, ale byłam słaba i zmęczona - musiałam odpocząć, zanim spróbowałam się wymknąć.

Moje tłumaczenia znikają jak krople wody w spękanej, wysuszonej ziemi. We Wspólnocie nikt mnie nigdy nie słuchał ani nie słyszał; byłam tylko narzędziem, z którego korzystano. Widzący zwrócił się do Jednorozca.

- Miała coś przy sobie? Jednorozec skrzyżował ręce na piersi.

- Nic. Kiedy ją znaleźliśmy, próbowała im uciec w Barbican Centre. Jeśli udało jej się coś ukraść, musiała to porzucić.

Widzący zwrócił wzrok na mnie.

- Ukradłaś coś?

- Nie. Próbowałam. - Widzący zmarszczył brwi. - Naprawdę, ale uruchomili mechanizm

ochronny, jakiś impuls samozniszczenia. Miałam iPhonea i iPada, ale oba zostały zniszczone.

- To doprawdy fatalnie - stwierdził Widzący, stukając palcami po brzuchu. - Dla ciebie.

Skuliłam się jeszcze bardziej.

- Więc co robimy teraz, proszę pana? - spytał Smok, może by oderwać go od myśli o natychmiastowym ukaraniu mnie. Jakaś iskra braterskiego współczucia mogła wciąż tlić się w głębinach jego serca jak światło umierającej gwiazdy. - I o co tu chodzi? Razem z Jednorożcem zastanawialiśmy się, czemu chciał pan, żeby ona okradła akurat tego mężczyznę.

Widzący bawił się złotym pierścionkiem wciśniętym na jego gruby palec.

- Chyba nic się nie stanie, jeśli wam powiem. Ostatnio zwróciła na siebie moją uwagę Sieć Sawantów - zaleźli za skórę innym sawantom, z którymi prowadzę interesy.

- Co to jest Sieć? - Jednorożec spojrział na mnie spod zmarszczonych brwi, kiedy spróbowałam odczołgać się poza zasięg wzroku Widzącego. Znieruchomiałam.

Widzący zastanawiał się przez chwilę, czy jest gotów podzielić się tą informacją; zazwyczaj całą wiedzę zatrzymywał dla siebie, świadomy, że

dawało mu to dodatkową przewagę nad nami. Tym razem uczynił wyjątek.

- To międzynarodowa organizacja, o bardzo luźnej strukturze, grupa głupców, którzy marnują swój dar sawantów w „słusznej” sprawie, jak to nazywają.

Jednorożec uśmiechnął się pod nosem, Smok się roześmiał, ale dla mnie była to dobra wiadomość. A więc istnieli dobrzy sawanci? Dar nie musiał być używany w ukryciu, jak to robiliśmy my? To było pokrzepiające, choć raczej w niczym nie mogło mi pomóc.

- Próbują przeszkadzać tym z nas, którzy pragną swobodnie wykorzystywać swoją moc tak, jak uważają to za stosowne. Jeśli przekażą władzom zbyt wiele informacji na temat naszych metod, nasze tereny łowieckie znacznie się zmniejszą, a niektórzy z nas zostaną nawet zmuszeni do zrezygnowania z interesów. - Widzący skinął ręką w moim kierunku. - Wysłałem Phoenix, żeby ukradła własność jednego z nich, odpowiedzialnego za komunikację, ale mnie zawiodła. Liczyłem na to, że jej dar pozwoli jej zdobyć informacje, których potrzebują nasi współpracownicy, by wyeliminować zagrożenie dla naszej działalności.

- Jakie informacje? - spytał Jednorożec.

- Nazwiska, adresy, wszelkie wartościowe informacje na temat ludzi związanych z Siecią Sawantów były przechowywane w komputerze tego chłopaka, a ona mi mówi, że poszły z dymem. Te dane były naszą kartą przetargową, a teraz ich nie mamy.

Sieć Sawantów? Mogłam zgadywać, o czym mówił - o wirtualnej grupie ludzi obdarzonych szczególną mocą - ale czemu teraz chciał się o niej czegoś dowiedzieć? Rozumiałam, że widział w niej zagrożenie, ale Widzący zazwyczaj interesował się tylko zyskami z drobnych kradzieży i szybkim robieniem pieniędzy. Zajmowanie się Siecią Sawantów należało do całkiem innej ligi. W normalnych warunkach, gdyby myślał, że dowiedziały się o nas władze, po prostu przeniósłby się gdzieś dalej. Czyżby jego horyzont poszerzył się o sprzedawanie informacji i jakąś formę szpiegostwa wśród sawantów? A może już wcześniej był w to zaangażowany, a ja tylko nigdy o tym nie wiedziałam? Nie umknęło mi, że fakt, iż rozmawiają przy mnie tak swobodnie, nie oznaczał nic dobrego. Nie była to oznaka zaufania - raczej wiedzieli, że nie będę mogła podzielić się tym, czego się dowiedziałam.

Smok założył ręce na piersi. Stał nade mną niczym strażnik więzienny, gotów mnie kopnąć, gdybym ośmieliła się ruszyć.

- Trzech z nich ją ścigało. Jest ich więcej? Widzący skinął głową.

- Dużo więcej. Ta gałąź zniszczyła imperium Kellych w Las Vegas w zeszłym roku. Z tego, co wiemy, są kluczowymi postaciami w Sieci Sawantów w Stanach.

- Przepraszam, proszę pana - wtrącił gładko Jednorożec - ale kilka razy powiedział pan „my”. Nie jestem pewien, o kim pan mówi.

Widzący zmierzył go ostrym wzrokiem, a jego głowa zapadła się głębiej w potrójny podbródek.

- Powiem ci, kiedy będziesz gotowy, żeby ci powiedzieć, i ani chwili wcześniej.

Jednorożec natychmiast się wycofał.

- Oczywiście, proszę pana.

Widzący wziął cygaro z pudełka leżącego na stoliku kawowym i zapalił.

- Przejrzałem cię, Jednorożcu. Jak stworzenie, od którego zostałeś nazwany, masz tylko jeden róg i na ten swój jednorogi mózg nadziejesz wszystko, byle tylko osiągnąć swój cel. Chcesz rządzić i w tajemnicy patrzysz na mnie z góry.

- Nie, nie, proszę pana... - Jednorożec zbladł.
- Pytałem z ciekawości.

Widzący wypuścił trującą bańkę śmiechu, jakby zionął dymem z cygara.

- Nie przeszkadza mi twoje bezwzględne dążenie do władzy, mój synu, tak długo, jak nie spróbujesz wcielić w życie swoich planów i nie spróbujesz mnie usunąć. - Pochylił się do przodu, powodując, że kanapa aż zatrzeszczała. - Wiedz o tym, że ci się to nie uda. Zasiałem wystarczająco dużo ziaren lojalności w mózgach was wszystkich, żeby każdy krok przeciwko mnie był równoznaczny z samobójstwem.

Oczywiście, że tak zrobił. Wszyscy wiedzieliśmy, że próba ucieczki przed nim była niemożliwa.

- Jeśli - kiedyś - jeden z was przejmie władzę, będzie to na moje zaproszenie. Ale powinieneś wiedzieć, że poza moją organizacją istnieje świat innych sawantów, taki, w który niedługo was wprowadzę, ale na moich warunkach i wtedy, kiedy ja o tym zdecyduję. Zrozumiano? Przestraszony Jednorożec skinął głową.

- Absolutnie, proszę pana.
- A teraz Phoenix. - Widzący pociągnął z cygara. O Boże, znowu zwracał na mnie uwagę.

- Obawiam się, że nie powiedziałaś nam wszystkiego. - Jego moc napierała na mój mózg, ale byłam zbyt przerażona, żeby w mojej głowie było coś innego poza strachem. Niczego się w ten sposób nie dowiedział.

- Spędziła z nimi całe popołudnie - powiedział pospiesznie Jednorożec, próbując udowodnić swoją zakwestionowaną lojalność donoszeniem na mój temat.

Widzący wypuścił kłęb dymu.

-I chcesz, żebyśmy uwierzyli, że nic im o nas nie powiedziałaś?

Smok podniósł mnie z podłogi, żebym uklękała.

- Odpowiedz Widzącemu.

Gorączkowo szukałam bezpiecznych informacji, których mogłabym im udzielić.

- Dali mi coś do jedzenia i opatrzyli rękę, którą poparzyłam, kiedy zapaliły się te urządzenia.

- Wyciągnęłam zaczerwienioną dłoń. - Jeden z nich jest uzdrowicielem.

- Uzdrowiciel! - prychnął Widzący. - To niezbyt wielkie zagrożenie. Co jeszcze się wydarzyło?

- On... pozwolili mi spać. A potem uciekłam. Jednorożec ruszył w moim kierunku z wyciągniętą ręką.

- Tracimy przez nią czas. Pozwól mi użyć na niej mojej mocy, żeby rozwiązać jej język.

- Nie! - Widzący zatrzymał Jednorożca. - Phoenix jeszcze nam się przyda. Jej młodość jest częścią jej wartości. Nie chcę, żeby zmuszano ją do mówienia w ten sposób.

Wydałam lekkie westchnienie ulgi - za wcześnie.

- Przyprowadź Tony'ego. Zauważyłem, że są do siebie jakoś przywiązani. Może zacznie mówić, żeby ocalić przyjaciela.

- Proszę, nie mam nic więcej do powiedzenia! Ale Jednorożec już wyszedł.

Widzący ignorował moje gorączkowe błagania i odwrócił się do telewizora, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. Przykucnęłam przy ścianie, zakrywając rękoma głowę, by zagłuszyć zniechęcony odgłos chrupania przez niego orzeszków. Na ekranie hałaśliwie toczył się konkurs talentów ze swoim sztucznie stworzonym napięciem i fałszywymi emocjami. Sędziowie o beznamiętnych twarzach wygłaszali opinie na temat tych, którzy byli dość głupi, żeby poddać się tej torturze. Widzący był ich gorszą wersją - manipulował przyszłością innych, a karą za

sprawienie mu zawodu nie było wyrzucenie z programu, tylko ból albo śmierć.

Tony wszedł do pokoju, szurając nogami. Zaniepokojony wzrok przenosił ze mnie na Widzącego i z powrotem.

- Chciał mnie pan widzieć?

Widzący wyłączył obraz mrugnięciem powieki w środku występu jakiejś grupy tanecznej.

- Tak, Tony. Potrzebuję twojej pomocy.

Tony był zrozumiale zdziwiony tym stwierdzeniem. Uśmiechnął się blado.

- Oczywiście. Zrobię wszystko. Wie pan, że jestem panu wierny.

- Phoenix ma trudności z powiedzeniem nam wszystkiego, co potrzebujemy wiedzieć. Chcemy, żebyś ją przekonał, by zmieniła zdanie.

Tony nie miał pojęcia, że Widzący bawi się jego kosztem. Zwrócił w moją stronę swój drżący, przymilny uśmiech.

- No dalej, Phee, wiesz, że Widzącego należy się słuchać. Musisz powiedzieć mu wszystko, co wiesz.

Wbiłam paznokcie w kolana.

- Zrobiłam to, Tony, ale on mi nie wierzy. Tony podrapał zmiażdżoną rękę tą zdrową.

- Rozumiem, rozumiem. Nie jestem pewien, co w takim razie mogę zrobić.

I nagle, w przeciągu sekundy, nastrój w pokoju rozgrzał się do czerwoności. Widzący wydał Jednorożcowi niewypowiedziany rozkaz. Jednorożec złapał Tony'ego za kark.

- Ile masz lat, Tony? - spytał Widzący, podczas gdy mój przyjaciel dygotał w uścisku Jednorożca.

- Chyba pięćdziesiąt osiem, proszę pana. - Tony spojrzał na mnie z rozpaczą.

- Proszę, nie! - wyszeptałam.

- Oddałbyś za mnie życie? - ciągnął Widzący.

- O... oczywiście - przytaknął Tony.

- Świetnie. Dodaj mu dziesięć lat.

Uśmiechając się pożądliwie, Jednorożec zamknął oczy i skierował swój dar na Tony'ego. Widziałam, jak zakrywa go ciemnoszara chmura; włosy Tony'ego straciły swój kolor i stały się śnieżnobiałe, skóra bardziej pomarszczona, a ciało skurczone, kiedy kości wykrzywiły się od artretyzmu. Boże, Boże.

- Phee! - wykrztusił zszokowany Tony. - Pomóż mi!

Podniosłam się, zamierzając przerwać połączenie siłą, ale Smok powalił mnie z powrotem na ziemię kiwnięciem palca.

- Powiedz nam to, co chcemy wiedzieć - odezwał się monotonnym głosem Widzący.

Byłam wściekła i czułam, jakby rozdzierano mnie na dwoje. Jednorożec zabijał Tony'ego - nie miałam wyboru.

- Dobrze, dobrze, przestań! - krzyknęłam. - Jest jeszcze jedna rzecz, którą mogę wam powiedzieć. Ale proszę, błagam, nie róbcie mu więcej krzywdy!

Jednorożec uniósł rękę. Tony opadł na podłogę, dysząc ciężko.

Przełknęłam ślinę.

- Powodem, dla którego Benedictowie wzięli mnie do siebie, jest to, że jestem Przeznaczoną Yvesa.

Po tym wyznaniu nastąpiła cisza. Co ja najlepszego zrobiłam?

- Masz Przeznaczonego? - spytał z niedowierzaniem Smok. Podobnie jak ja, pewnie wątpił w ich istnienie.

Skinęłam głową. Moje całe ciało trzęsło się, jakby zamknięto mnie w lodówce przemysłowej,

niezdolne do ogrzania się. Zdradziłam swoją drugą połowę.

Widzący poruszył się nieznacznie na kanapie, sprawiając, że zaskrzypiała rama.

- Interesujące. To stwarza... możliwości.

Kasia, do tej pory zapomniana, położyła mu na ramieniu swoje delikatne palce o pomalowanych na szkarłatny kolor paznokciach.

- To prawda. Czuję, jak próbuje ją znaleźć. Do tej pory nie zwracałam na to uwagi, bo nie byłam pewna, co słyszę, ale już wiem, że on jej szuka.

Widzący zerknął na mnie.

- Odpowiedziała?

Kasia spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Nie. Blokuję go.

Widzący poklepał swoje grube wargi czubkami palców.

- Ciekawe. To wydaje się potwierdzać, że jest wobec nas lojalna. Może oceniłem ją zbyt surowo. - Zauważył leżącego u swoich stóp Tony'ego. - Zabierzcie tego człowieka i upewnijcie się, że otrzyma opiekę. Dobrze się spisał.

Tony lekko uniósł powieki, kiedy podnosiło go dwóch ochroniarzy Widzącego.

- Przepraszam - wyszeptałam.

Zamknął oczy, zmęczony, odmawiając mi rozgrzeszenia.

- A więc powiedz nam, Phee, jak to jest mieć Przeznaczonego? - Widzący wydawał się autentycznie zainteresowany. Poklepał poduszki na kanapie obok siebie. - Chodź tu, opowiedz o tym swojemu tatusiowi.

Wolałabym, żeby wrócił do torturowania mnie. Ale ponieważ od dawna nie miałam wyboru, usiadłam tam, gdzie mi kazał.

- To jest... - Jakie? Przeróżające? Okropne? Cudowne?

- Wyjątkowe.

- Zrobiłabyś wszystko, żeby twój Przeznaczony był bezpieczny?

To pytanie było dużo bardziej niebezpieczne.

- Pewnie tak... Nie jestem pewna. Poznałam go dopiero dzisiaj rano.

Widzący w zamyśleniu pogłaskał się po wargach.

- A on lubi cię?

Parsknęłam zduszonym śmiechem.

- Lubi? Za co? Chciałam go okraść - uciekłam od niego. Pewnie w tej chwili ma mnie serdecznie dość.

Widzący pochylił się i poklepał mnie po policzku.

- Nie doceniasz się, Phoenix. Jesteś podobna do swojej matki i masz interesujący dar: on z ciebie tak łatwo nie zrezygnuje.

Żałowałam tego. Nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

- Tym razem nie udało ci się zdobyć informacji, ale jak dużo on jest gotów dać, żeby cię zatrzymać? Czy poświęci Sieć Sawantów, jeśli się dowie, że to jedyny sposób, żeby uratować swoją Przeznaczoną? Fascynujący dylemat. -Widzący oblizał wargi, wyobrażając sobie ogrom ludzkiego nieszczęścia w następstwie tego małego eksperymentu, w którym miałam być przynętą.

Bardzo wątpiłam, że Yves zaryzykuje dla mnie bez- pieczeństwo swojej rodziny i przyjaciół. Teraz, kiedy się spotkaliśmy, musi już wiedzieć, że nie jestem tego warta, mimo łączących nas więzów przeznaczenia. Legenda głosiła, że Przeznaczony dawał sawantowi poczucie pełni, zadowolenia i nadawał jego darowi nowy wymiar, ale Yves raczej nie mógł na to liczyć. Byłam na to zbyt beznadziejna. Życie z Widzącym przypominało bycie wychowywanym w cieniu wadliwego reaktora

jądrowego w Czarnobylu. Przez lata będę musiała żyć ze skutkami napromieniowania.

Widzący poczęstował mnie orzeszkami, ale ponieważ miska leżała mu na podółku, wolałabym raczej zjeść skorpiona.

- Myślę, że zabiorę cię ze sobą dziś wieczorem - stwierdził. - Ubierz się na wieczór, moja droga. Ty i ja spotkamy się z kilkoma przyjaciółmi. Na pewno z zainteresowaniem posłuchają o naszej ciekawej sytuacji.

- Wychodzimy? - Nigdy nie słyszałam, by Widzący opuszczał swój zapyziały penthouse, ale przecież nie ośmielałam się śledzić jego ruchów.

- Tak. Do Hotelu Waldorf. Kasia, upewnij się, że Phoenix będzie ubrana tak, by zrobić wrażenie. Możesz użyć biżuterii. - Rzucił jej klucz z kieszeni marynarki. Kasia złapała go w powietrzu. - Ty będziesz nam potrzebna, żeby zabezpieczyć rozmowę.

- Czy ja też mogę włożyć coś z pudełka? - spytała Kasia z nadzieją, głaszcząc palcami klucz.

Widzący westchnął. Nie podobało mu się, że jego bogactwa opuszczają skrytkę.

- Pewnie powinnaś. Ale moja córka włoży diamenty. Dla ciebie zostają perły.

Kasia uśmiechnęła się do niego radośnie.

- Dziękuję. Chodź, Phee. - Zmarszczyła brwi na widok moich poharatanych kolan i spłowiałych szortów. - Widzę, że będę miała pełne ręce roboty.

9

Po raz pierwszy w życiu byłam wystrojona i dokądś wychodziłam. Gdybym nie była taka zrozpaczona w z powodu Yvesa i Tony'ego, mogłoby mi się to nawet podobać. Kasia i ja mogłyśmy przebierać w strojach, bo w apartamentach Widzącego były pokoje pełne biżuterii, butów i ubrań od najlepszych projektantów. Nic z tego nie było używane, bo towarzyszki Widzącego chodziły zazwyczaj w tanich podróbkach oryginalnych ubrań. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie, że otacza się tandetą, chociaż z łatwością mógłby pozwolić sobie na więcej. Mogłam się tylko domyślać, że Widzący był po prostu skąpy i zadowalał się posiadaniem dóbr, zamiast z nich korzystać. Wolał mieszkać w rynsztoku, niż aspirować do szykownych części miasta, jak West End, do którego teraz jechaliśmy.

Na wieczór wynajęliśmy białą, długą limuzynę. Co myślał szofer, widząc, jak nasza grupa: Widzący,

Kasia, Smok, Jednorożec i ja wsiadamy do samochodu pod zrujnowanym blokiem, nie ośmielił się nam tego powiedzieć. Widzący jak zwykle miał na sobie biały garnitur, Smoki Jednorożec czarne garnitury wizytowe, a Kasia znalazła wysadzaną koralikami białą sukienkę koktajlową i pasujące do niej bolero, żeby lepiej widać było perły na jej szyi. Stanowczo przesadziła z kosmetykami i produktami do włosów, tak że zanim skończyła, przypominała bardziej Marge Simpson. Mnie kazała włożyć fioletową jedwabną sukienkę, która podkreślała moją szczupłą figurę. Była wystarczająco długa, żeby zakryć moje odrapane kolana, i odsłaniała mi plecy, podkreślając długi sznur diamentów na mojej szyi. Z dezaprobatą klaskając językiem, Kasia zręcznie naprawiła także moją żalostną fryzurę przy pomocy pary nożyczek i zaciesała mi włosy do tyłu, żeby widać było długie, pasujące do naszyjnika kolczyki. Wyjęła moje dodatkowe kolczyki i zastąpiła je dyskretnymi sztyftami, dzięki czemu wyglądałam mniej zadziornie, a bardziej szykownie. W delikatnych, srebrnych sandałach na nogach do kompletu czułam się godna siedzenia z tyłu samochodu.

Wąskie uliczki East Endu przeszły w wieżowce City, wielkie kaniony pełne oparów benzyny, pracujących do późna bankierów i brokerów giełdowych.

- Z kim się dzisiaj spotykamy, proszę pana? - spytał Jednorożec, uważając, żeby nie przesadzić z pytaniami.

- Z sojusznikami: z sawantami, którzy mają dar i walczą z Siecią Sawantów. - Widzący rozsiadł się na tylnym siedzeniu, tak że obok niego zostało miejsce tylko dla Kasi. Przyjrzał mi się, kiedy usiadłam naprzeciwko niego. - Jesteś bardzo elegancka, Phoenix. Cieszy mnie to.

Kasia uśmiechnęła się z dumą na tę zawołowaną pochwałę swoich umiejętności.

- Zrobiłam, co mogłam.
- Dziękuję - wykrztusiłam.
- Pójdiesz na spotkanie, ale masz się nie odzywać, chyba że ktoś się do ciebie zwróci. - Zaniósł się świszczącym kaszlem. - Zrozumiano?

- Tak, proszę pana. - Musnęłam palcami gładki materiał sukienki, zachwycając się jej delikatnością. Nigdy wcześniej niczego takiego nie dotykałam.

Widzący uśmiechnął się.

- Widzę, że podobają ci się drobne luksusy. Jeśli zrobisz to, co mówię, mogę ci obiecać więcej takich sukienek w przyszłości.

Trafił na złą dziewczynę. Może lubiłam ładne rzeczy, ale nie tak łatwo było mnie przekupić. Nosiłabym worki pokutne i posypywała głowę popiołem, gdybym wiedziała, że w ten sposób mu ucieknę.

- Dziękuję panu.

Widzący poklepał się tłustymi palcami po brzuchu.

- Może dziś wieczorem powinnaś mówić do mnie „tato”. To zrobi właściwe wrażenie.

Wolałabym wykąpać się z żywymi wężami. Na to ustępstwo Jednorożec i Smok wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Tylko Phoenix - ostrzegł ich Widzący. - Córka może pozwolić sobie na taką poufałość. Moi synowie mają się mnie bać i traktować mnie z szacunkiem. Nie pozwolę sobie na utratę twarzy u tych ludzi.

Z kim mieliśmy się spotkać, że nawet Widzący czuł przed nimi respekt? Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby wątpił w swój wizerunek, ale też nigdy nie widziałam, żeby opuszczał teren

Wspólnoty. Może dla niego było to coś w rodzaju zjazdu despotycznych władców małych pań-

stewek w kuluarach Walnego Zgromadzenia ONZ, gdzie wszyscy spierali się o to, który z nich najbardziej łamie prawa człowieka.

Samochód podjechał pod hotel i portier w uniformie pobiegł, żeby otworzyć nam drzwi. Smok wysiadł pierwszy, żeby sprawdzić teren, po czym pomógł Widzącemu wysiąść na chodnik. Ja wyszłam jako ostatnia. Przyglądając sukienkę przed wejściem do eleganckiego holu, nie mogłam oderwać wzroku od hotelu: był przepiękny. Zachwyciły mnie rzędy oświetlonych okien w dostojnej, wznoszącej się na siedem pięter bryle budynku, uważny personel, spełniający każdą zachciankę gości, zanim ci zdążyli o niej pomyśleć, cicha elegancja tego miejsca, będąca całkowitym przeciwieństwem tego, w którym zaczęliśmy naszą podróż. Portier z kamienną twarzą odsunął się, by wpuścić ogromne cielsko Widzącego do środka, ale dostrzegłam w jego oczach błysk zainteresowania, kiedy spojrział na mój naszyjnik. Diamenty były wspaniałe. Miałam nadzieję, że ich pierwotny właściciel nie jadł dziś kolacji na West Endzie.

- Czym mogę panu służyć? - spytał odźwierny w holu.

- Mam rezerwację w restauracji na nazwisko London -odparł Widzący rzeczowo.

- Oczywiście, proszę pana. Pozostali goście już tu są. - Odźwierny poprowadził nas do restauracji i przekazał kelnerowi. - Pan London.

Kelner wskazał nam stolik w prywatnej sali na tyłach restauracji. Musieliśmy torować sobie drogę wśród gości siedzących przy stołach nakrytych białymi obrusami; świece, kwiaty, srebrna i szklana zastawa dodawały wystrojowi przepychu. W rogu zobaczyłam parę trzymającą się za ręce; mężczyzna kciukiem czule głaskał palce kobiety. Coś, co podejrzenie przypominało smutek, sprawiło, że łzy napłynęły mi do oczu.

Yves.

Phee, gdzie jesteś?

Odezwałam się do niego, chociaż nie miałam takiego zamiaru. Kasia posłała mi zdumione spojrzenie. Pokręciłam lekko głową i zablokowałam połączenie. Kasia skinęła głową, przyjmując do wiadomości, że naprawiłam swój błąd.

Po wejściu do sali zobaczyliśmy przy stoliku sześciu mężczyzn. Ich ochroniarze stali przy ścianie za nimi. Mężczyźni wstali, by podać rękę Widzącemu.

- Panowie, mam nadzieję, że nie jestem spóźniony? -Widzący dyszał lekko po przejściu od samochodu tutaj - dla osoby, która cały dzień spędzała na kanapie, był to prawdziwy maraton.

Rudowłosa mężczyzna siedzący u szczytu stołu pokręcił głową.

- Nie, panie London, dopiero zamówiliśmy drinki. Nazywam się New York.

Widzący uśmiechnął się nieco niewyraźnie. Nie podobało mu się, że wszyscy mieli szansę porozmawiać o nim, zanim się zjawił.

- Miło mi w końcu panów poznać.

Pozostali wymamrotali swoje nazwiska, kiedy podchodził się z nimi przywitać: Moskwa, Pekin, Kuala Lumpur, Sydney, Meksyk. Żadnych prawdziwych imion, tylko nazwy miast.

Widzący gestem wysłał Kasię, Smoka i Jednorożca, by stanęli przy ochroniarzach, po czym kazał mi wyjść naprzód.

- Moja córka, Phoenix.

Pan New York podał mi rękę.

- Urocza. - Czułam, jak jego dar owiewa mnie jak chłodna bryza, kiedy próbował zmierzyć moją siłę. Nie myślałam o niczym, niepewna, na czym polega jego moc. Przewodzenie innym sawantom wymagało umiejętności kontrolowania

umysłów, więc przypuszczałam, że wszyscy mężczyźni w tej sali byli uzdolnieni w tym kierunku. Zbity z tropu, ale nie zawiedziony, pan New York puścił moją dłoń i strzelił palcami w kierunku kelnera. - Jeszcze jedno miejsce dla panny London. Może tutaj, między mną a jej ojcem.

A więc pan New York mianował siebie prowodyrem? Zerknęłam na twarze pozostałych mężczyzn; żaden nie zaprotestował, ale też żaden nie wyglądał na w pełni zadowolonego tym układem.

Pan New York postanowił z tego zażartować:

- Przepraszam panów za monopolizowanie najpiękniejszej uczestniczki kolacji. Moim jedynym usprawiedliwieniem jest to, że uwielbiam piękne kobiety.

Dwóch kelnerów podbiegło do nas z zastawą i dodatkowym krzesłem. Kiedy zajęłam miejsce, wszyscy pozostali usiedli - pokaz dziwnej, staromodnej galanterii, na którą jednak nie dałam się nabrać. Wiedziałam, że zupełnie nie obchodzi ich moja obecność. Po prostu byli świadomi, że obserwują ich obcy ludzie, i stosowali standardowe zasady uprzejmego zachowania.

Pan New York zasygnalizował obsłudze, że może już zbierać zamówienia. Wpatrywałam się w długą listę dań w menu, niezdolna odczytać ozdobnych liter. Moja wyrywkowa edukacja tu mnie zawodziła. Moja znajomość restauracji ograniczała się do fast foodów.

- Phoenix to piękne imię. - Pan New York, dokonawszy wyboru, z trzaskiem zamknął menu.

- Dziękuję panu.

- Mów do mnie Jim. - Mrugnął i przez dłuższą chwilę przypatrywał się diamentom. - A więc jesteś oczkiem w głowie swojego taty, co? Założę się, że owinęłaś go sobie wokół małego palca.

Wzdrygnęłam się, świadoma, że Widzący nam się przy - słuchuje.

- Nie, proszę pana. Pan London ma nas wszystkich pod ścisłą kontrolą.

- Ach, rzadkie zjawisko: posłuszna córka. Może mogłabyś zajrzeć do nas i udzielić lekcji moim córkom? A przynajmniej sprawić, żeby nie mówiły, ile wydają na zakupy w Bloomingdale's? - Zaśmiał się z własnego żartu. Kelner pochylił się nad nim. - Przepiórcze jaja, a potem łopatka jagnięca.

- Doskonały wybór, proszę pana - szepnął kelner służalczo. - A pani?

Litery tańczyły mi przed oczami - tyle nieznananych nazw.

- Czy są dania wegetariańskie? - szepnęłam.

Wzrok kelnera nieco złagodniał. Wskazał na ozdobne „V” przy daniach dla wegetarian. Czasem jestem taka głupia.

- Wegetariańskie? Co ty wyprawiasz, London, że pozwalasz swojej córce odmawiać sobie protein? - zakpił pan New York. - Inwestuję w pierwszorzędne stada bydła w Argentynie; trudno mi nie uważać niejedzenia mięsa za airon.

Widzący zmarszczył brwi.

- Moja córka weźmie foie gras, a potem stek z angusa. Kelner cały czas stał przy mnie, odważnie dając miszansę na poprawienie zamówienia.

- Proszę pani?

- Ja... zamawiam to, co powiedział. - Wbiłam paznokcie w dłoń, zostawiając małe ślady w kształcie półksiężyców.

- Jak mamy podać ten stek? - spytał łagodnie.

- Średnio wypieczony - przerwał pan New York. - Jeśli mamy ją nawrócić, powinna zjeść go

takim, jaki jest najlepszy - a nie wysuszonego jak podeszwa.

Obsługa wycofała się i w sali zostali tylko uczestnicy spotkania.

- A więc, panie London, czy ma pan informacje, które nam pan obiecał? - spytał mężczyzna siedzący nieco dalej; pan Sydney, jeśli dobrze pamiętałam.

Widzący upił wody gazowanej z szerokiej szklanki.

- Nie. Zabezpieczyli się przed kradzieżą. Sprzęt spłonął, kiedy ukradł go jeden z moich ludzi.

Przy stole rozległ się pomruk niezadowolenia.

- Rozumiem. Przypuszczam, że byłbym rozczarowany, gdyby nasi wrogowie tak łatwo się kompromitowali. - Pan New York wymienił spojrzenia z panem Moskwą i Pekinem. Widziałam, że nie darzą swojego gospodarza wielkim szacunkiem. - Ale powiedz nam, London, czemu w takim razie tu przyszedłeś? Myślałem, że ustaliliśmy, że te dane to cena twojego wejścia do naszej organizacji?

Widzący odchylił się w krześle, które zaskrzypiało pod jego ciężarem.

- Bo mam coś lepszego do zaoferowania.

Zanim ktokolwiek zdążył skomentować, kelnerzy wrócili z pierwszym daniem. Postawili przede mną talerz z blad różowo-brązowym pasztetem. Dwa dziurkowane wafle serowe wyrastały z niego niczym skrzydła. Nawet nie sięgnęłam po nóż i widelec, bo wyraźnie było widać, że danie jest pochodzenia zwierzęcego.

- Fantastyczne danie, foie gras - odezwał się konwersacyjnym tonem pan New York, podczas gdy kelnerzy okrążali stół i nalewali mężczyznom wina. - Karmię gęsi przemocą, żeby uzyskać tę aksamitną konsystencję wątroby. - Z przyjemnością obserwowałam, jak zielenieję na twarzy i odsuwam od siebie talerz.

Kelner jednym susem znalazł się przy mnie.

- Nie smakuje pani przystawka? Może przynieść pani zamiast tego zupę szparagową?

- Nonsens - wybełkotał Widzący. - Bardzo jej to smakuje, prawda, Phoenix?

Skubnęłam sałaty z boku talerza, zanim zmusił mnie do zjedzenia kawałka pasztetu, jak tę gęś, która umarła, żeby dostarczyć tego dania.

Pokonany kelner wycofał się i zabrał ze sobą resztę obsługi. Musiano im przykazać, żeby zostawić dżentelmenów w tej sali w spokoju, poza niezbędnymi czynnościami zabierania brudnych

talerzy, przynoszenia dań i nalewania napojów. Masywny ochroniarz najbliżej drzwi stanął przed nimi, żeby nikt obcy nie wszedł do środka.

- Panie London, chętnie usłyszemy, co według pana jest lepsze niż obiecane informacje - odezwał się pan Pekin, wysoki Chińczyk o wąskiej twarzy i kamiennych oczach.

- Los ofiarował nam prezent, sposób, żeby pokonać Sieć Sawantów od środka. - Widzący nabił na widelec eskalopkę, rozsmarowując masło na białym brzegu talerza, kiedy maczał ją w sosie.

- Proszę mówić dalej. - Pan New York z namysłem obracał kieliszek z winem słomianej barwy.

- Zidentyfikowałem Przeznaczoną szóstego syna Benedictów.

- Przeznaczoną? Prawdziwa gratka. To rzeczywiście może się przydać. Gdzie ona jest? - Amerykanin przeniósł wzrok na mnie.

Widzący nic nie powiedział, tylko spojrział na mnie, potwierdzając jego domysły.

- Ona? Twoja własna córka? - Pan New York zaczął chichotać. - To dopiero wiadomość!

- Doskonała ironia. - Pan Sydney uniósł kieliszek w moim kierunku.

- Jak powiedziałem, mam coś lepszego do zaoferowania i oto ona. - Widzący rozkoszował się chwilą triumfu i przyjmował gratulacje swoich nowych sojuszników. Byłam jego biletem wstępu do ich grupy.

Pan Moskwa odchrząknął, kończąc rundkę pochwalną dla Widzącego.

- Pytanie brzmi, jak ją wykorzystamy? - Zwrócił ku mnie swoją kwadratową, ziemistą twarz i przyjrzał mi się podejrzliwie bladozielonymi oczami. - Czy jest lojalna?

- Wszyscy moi ludzie są lojalni - poprawił go Widzący. - Muszą być, inaczej giną.

Jego stwierdzenie spotkało się z powszechną aprobatą.

- Co planuje pan z nią zrobić? - spytał pan New York, po raz pierwszy zwracając się do Widzącego jak do równego sobie.

- Zaaranżuję spotkanie z chłopakiem - w tajemnicy. Dowiem się, jak dużo informacji jest gotów nam dać w zamian za jej bezpieczeństwo.

Pan New York uśmiechnął się sceptycznie i poklepał mnie po nadgarstku.

-Ale on nie uwierzy, że może pan skrzywdzić swoje własne dziecko.

- Doprawdy? - spytał Widzący zimno. -
Wątpi pan, że jestem do tego zdolny - więcej - że
zrobię wszystko, żeby nasze interesy mogły się
toczyć bez ich interwencji? Smok.

Mój nóż do mięsa wyskoczył w powietrze, po
czym opadł w dół jak strzała i wbił się czubkiem w
moje przedramię, robiąc płytkie nacięcie. Przesunął
się aż po mój łokieć, powodując potworny ból. Nie
ruszyłam się z miejsca - następne mogło być moje
gardło - ale nie mogłam powstrzymać
napływających do oczu łez.

Pan New York odtrącił nóż, który pofrunął w
róg sali i tam spoczął nieruchomo.

- Dość, przekonałeś nas!

Przycisnęłam serwetkę do rany, plamiąc biały
materiał krwią. Odsunęłam krzesło i wstałam.

- Przepraszam.

Widzący odprawił mnie machnięciem ręki.
Przykrywając serwetką ranę, wypadłam na
zewnątrz w poszukiwaniu schronienia.

- Wszystko w porządku, panienko? - Kelner
złapał mnie w drzwiach.

- Tak, tak, miałam mały wypadek. - Serce
waliło mi jak oszalałe i wiedziałam, że mam szalony
wzrok. - Gdzie jest...?

Zrozumiał, o co mi chodzi.

- Za tymi drzwiami, panienko.

Schowałam się w obitej pluszem toalecie. Grube ręczniki do rąk w wiklinowym koszu na marmurowym blacie, automatyczne krany, działające na skinienie ręką, pięknie ułożone kwiaty i kolekcja przyborów toaletowych z najwyższej półki: wszystko było tu tak doskonałe, że poczułam szaloną potrzebę nigdy stąd nie wychodzić i nie wracać do mojego brudnego świata na zewnątrz. Zdaje się, że ostatnio spędzałam dużo czasu, ukrywając się w toaletach. Zbliżyłam się do umywalki i wsunęłam rękę pod wodę, pocierając mydłem, żeby oczyścić ranę. Była powierzchowna, ale piekła. Cała przyjemność, jaką czerpałam z tego wieczoru, spłynęła w dół odpływu razem z czerwoną od krwi wodą. Może wypiękniałam na jeden wieczór, ale wciąż byłam dla Widzącego tylko narzędziem, teraz w dodatku urabianym w celu zniszczenia Yvesa. Nie mogłam znieść myśli, że wykorzystają mnie, by go skrzywdzić.

Kasia weszła do łazienki i stanęła przy mnie z założonymi rękoma. Zmarszczyła brwi na widok plam od wody, którą opryskałam sukienkę.

- Przysłano mnie, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest - skłamałam. Nie spojrzałam jej w oczy w lustrze.

- Smok nie musiał ci tego robić. - Kasia uniosła mi nadgarstek i przyjrzała się nacięciu. - To psuje wygląd. Myślisz, że znowu zaczniesz krwawić?

Zastanawiałam się, czy martwi się o mnie, czy o swoją białą suknię.

- Raczej nie.

- W takim razie pewnie lepiej to zostawić. Bandaż byłby zbyt ostentacyjny.

- I popsułby wygląd - powtórzyłam. Kasia krótko ścisnęła moje palce.

- To ważne, żeby zadowolić Widzącego i nie zawieść go w towarzystwie jego partnerów biznesowych.

Powinien był pomyśleć o tym, zanim rozkazał Smokowi mnie wydrążyć na ich oczach.

- Czemu z nim jesteś, Kasia? - spytałam mimo woli. Wydawała się dość miłą kobietą; co, na Boga, robiła w tym związku?

Uśmiechnęła się do mnie w lustrze. Oczy jej błyszczały.

- Widzący jest cudownym człowiekiem. Kiedyś to zrozumiesz.

Zrozumiałam, że on zasiał to przekonanie w jej umyśle. Należało jej współczuć, bo nie zdawała

sobie sprawy, że jest więźniem, tak jak ja, tylko z innych powodów. Z nas dwóch wolałam moje niewolnictwo. Osuszyłam rękę, zastanawiając się, czy moja matka również darzyła Widzącego takim ślepyim zaufaniem; nie pamiętałam jej dość dobrze, by wiedzieć, co naprawdę myślała, ale nie pamiętałam też, żeby kiedykolwiek powiedziała o nim coś złego. Rzeczywiście, tuż przed swoją śmiercią wymogła na mnie, żebym spróbowała zostać we Wspólnocie, formułując to w taki sposób, jakby był to jedyny dom gotów mnie przyjąć. A ja wierzyłam, że ma rację. Kolejne fałszywe przekonanie, zasiane tym razem nieświadomie przez osobę, która - byłam tego pewna - bardzo mnie kochała. Wrzucając brudny ręcznik do kosza na śmieci, stwierdziłam, że pewnie tylko ona jedna. Nawet Yves nigdy nie będzie mnie naprawdę kochał. Został wrzucony w tę sytuację z powodu losu albo genetyki czy czegoś podobnego. Wiem, że ja mogłabym się w nim zakochać, za jego dobroć, inteligencję i (przyznaję się tutaj do bycia płytką) jego fantastyczny wygląd, ale za co on mógłby mnie pokochać?

Kasia zamachała mi ręką przed oczami, wrywając mnie z zamyślenia.

- Halo. Ziemia do Phee.

- Idę. - Po raz ostatni spojrzałam na elegancką dziewczynę w lustrze, oszpeconą zadrapaniem na ręku. Nie przypominała mnie. Ale właściwie ja sama nie wiedziałam, kim naprawdę jestem.

10

W samochodzie w drodze do domu trzymałam się z boku, kiedy Widzący i jego synowie analizowali przebieg spotkania. Byli zadowoleni z przebiegu rozmowy i gratulowali naszemu liderowi tego, jak zaskoczył pozostałych mężczyzn, wprowadzając mnie jako niespodziewaną gwiazdę jego drużyny. Wyłączyłam się i zamiast tego zajęłam się rozmyślaniami o tym, jak zmarnowało się jedzenie na moim talerzu. Nie zjadłam nic poza sałatą, warzywami i małymi bułeczkami - kelner pilnował, żebym była w nie zaopatrzona, więc nie byłam głodna. Mężczyźni postanowili zrezygnować z deseru i przejść prosto do brandy i kawy. Gdybym nie wiedziała już, że są skąpi, ich awersja do najlepszej części każdego posiłku by ich zdradziła. Udało mi się przemycić kilka ręcznie robionych czekoladek do mojej latte, ale naprawdę, jaki był sens jedzenia kolacji w pięciogwiazdkowej

restauracji po raz pierwszy w życiu, skoro tak niewiele mogłam z tego docenić?

Celowo zastanawiałam się nad tak błahymi rzeczami, tylko po to, by uniknąć rozmyślania o kluczowym punkcie dzisiejszego wieczoru. Widzący obiecał użyć mnie jako przynęty dla Yvesa, a mnie nie spieszyło się, żeby się dowiedzieć, jaką formę to przybierze.

Po powrocie do domu poszłam za Widzącym na piąte piętro, mając nadzieję, że to już koniec wieczoru, ale niestety, nie miałam tyle szczęścia.

- Phoenix, pozwól na słowo - wydyszał Widzący u szczytu schodów. Otarł pot z czoła czerwoną jedwabną chusteczką.

Jego dwór czekał na niego w salonie. Kobiety piałły z zachwytu nad jego elegancją.

- Zostawcie nas samych - rozkazał, wskazując im wyjście.

Obserwowałam, jak bez protestu opuszczają pomieszczenie, i zdałam sobie sprawę, że Widzący stworzył grupkę kobiet-robotów, spełniających każdą jego zachciankę. Jak one się nazywają? No tak, żony ze Stepford. To było nie-przyzwoite. Widzący opadł na swoje ulubione miejsce na kanapie.

- Jestem pewien, że zrozumiałaś, czego od ciebie chcemy.

Wzruszyłam ramionami i objęłam się rękoma w talii.

- Tak... tak myślę.

- Jutro zaaranżujesz spotkanie z twoim przeznaczonym. Powiedz mu, żeby nic nie mówił swoim braciom. Ma przyjść sam albo skończy się to dla ciebie źle, zrozumiałaś?

Groźby, groźby i jeszcze więcej gróźb.

- Tak, zrozumiałam. Gdzie mam się z nim spotkać? Widzący pomasował się po policzku. Miałam nadzieję, że to oznaka początku bólu zębów.

- Na Moście Milenijnym. W ten sposób będziemy wiedzieć, czy naprawdę przyszedł sam.

Wiszący most dla pieszych nad Tamizą, pomiędzy galerią

Tate Modern i katedrą Świętego Pawła, świetnie nadawał się na potajemne spotkania.

- A potem?

- Zabierz go do Tate. Spotkamy się w Hali Turbin.

- Pan... zamierza tam być? - Nie udało mi się powstrzymać dreszczu.

- Oczywiście. Mam interes do tego młodego człowieka. Nie przyprowadzisz go tutaj. - Poruszył się i beknął. - To mi przypomniało: będzie nalegał, żebyś powiedziała mu, o co chodzi. Nie wolno ci powtórzyć nic z tego, co dziś usłyszałaś. Na jego użytek: spotykasz się z nim tylko dlatego, że jesteś jego Przeznaczoną. Uwierzy ci bez problemu, jeśli legenda o Przeznaczonych mówi prawdę.

Skinęłam głową, udając, że się zgadzam - nie wiedziałam, co innego mogę zrobić. Miałam mętlik w głowie.

Widzący przywołał mnie bliżej i złapał mnie za podrapaną rękę.

Nie powtórzysz mu nic, co usłyszałaś dzisiaj wieczorem.

Na chwilę przymknęłam oczy, bo zrobiło mi się niedobrze, kiedy jego moc opanowała mój mózg i zniszczyła moją wolną wolę w tym zakresie.

W końcu mnie puścił.

- Grzeczna dziewczynka. A teraz idź spać. Skontaktuj się z twoim Przeznaczonym od razu po przebudzeniu i nie dawaj mu dużo czasu przed spotkaniem. Nie chcemy, żeby miał szansę na zrobienie swoich planów.

Nie, tego byśmy nie chcieli.

- Kasia będzie sprawdzać, co mówisz, więc niech nie przyjdzie ci do głowy, że możesz mnie przechytrzyć.

- Nie ośmieliłabym się - wyszeptałam zgodnie z prawdą.

- Dobranoc, Phoenix. Aha, diamenty zostaw Kasi, dobrze?

Z ulgą zwróciłam się do wyjścia, wcisnęłam Kasi w rękę naszyjnik i kolczyki i pospiesznie się wycofałam, zanim ktoś inny spróbowałby też coś ode mnie uzyskać. Nie zapomniałam, jak Jednorożec chciał przechytrzyć Widzącego, wymuszając na mnie obietnicę, żebym jemu pierwszemu pokazała, co ukradłam. To się akurat nie udało, ale nie wierzyłam, że Jednorożec choć na chwilę porzucił snucie swoich własnych planów, jeśli tylko udało mu się wymyślić, jak to zrobić, nie łamiąc którejs z zasad lojalności wobec Widzącego. Na szczęście Widzący rozkazał Smokowi i Jednorożcowi, by zostali przedyskutować, jak postępować jutro, jeśli Yves zgodzi się ze mną spotkać. Nie zostałam zaproszona do tej rozmowy, więc mogłam tylko wrócić do swojego pokoju i zastanowić się, jak ochronić Yvesa przed ich niecnymi planami.

Zdjęłam odświętny strój, powiesiłam suknię na haczyku na drzwiach i włożyłam piżamę. Leżałam w łóżku przez godzinę, ale sen nie przychodził. Wstałam i zaczęłam przemierzać pokój jak mysz krążąca po labiryncie w laboratorium naukowym, aż do godziny trzeciej, kiedy z wyczerpania zwinęłam się w kłębek pod kołdrą. Martwiłam się też o Tony'ego, ale za bardzo się bałam, żeby pójść go odwiedzić - każdy kontakt, który nawiązywałam z moim przyjacielem, tylko pogarszał jego sytuację. Pewnie nie podziękowałby mi, że znów zwracam na niego uwagę Widzącego. Czy naprawdę przeze mnie postarzał się o dziesięć lat, czy udało mi się ich zatrzymać, zanim mu to zrobili? Skutki działania mocy Jednorożca były nieodwracalne. Nikt jeszcze nie wymyślił, jak sprawić, by ktoś był wiecznie młody, inaczej Widzący od lat butelkowałby to i sprzedawał. Jednorożec potrafił tylko przyspieszyć działanie natury i postarzyć swoje ofiary.

I co zrobić z Yvesem? Będę musiała się z nim spotkać - jeśli nie zrobię tego po dobroci, Widzący mnie do tego zmusi - ale może, kiedy się spotkamy, udałoby mi się mu jakoś przekazać, co tak naprawdę się dzieje? Oczywiście, jeśli nie przyjdzie

na spotkanie w Tate, zostanę uznana za winną, ale to było lepsze, niż dopuścić do niego Widzącego.

W końcu musiałam usnąć, bo kiedy się obudziłam, było już rano, a kilka ptaków, które odważnie zapuszczały się w nasze rejony, raźnie witało nadejście świtu. Po szybkim prysznicu w zimnej wodzie - mój pokój nie dostąpił luksusu posiadania ciepłej - zaczęłam się ubierać, zaklinając każdą część mojego stroju w coś w rodzaju mentalnej zbroi, która miała chronić mnie przed tym, co mnie dziś czeka. Koszulka - muszę chronić Yvesa. Dżinsy - muszę jakoś przeżyć karę, jaka nastąpi po tym, jak znowu zawiodę Widzącego. Buty - nie mogę pozwolić, by Tony'emu znowu stała się krzywda. Kiedy wreszcie poczułam, że jestem gotowa wykonać pierwszy krok, usiadłam po turecku na podłodze i spróbowałam połączyć się z Yvesem. Siódma trzydzieści. Jeśli uda mi się zorganizować spotkanie za godzinę, zasłonię nas tłumy ludzi zmierzających do pracy. To może utrudnić Smokowi i Jednorożcowi śledzenie nas - o tym Widzący nie pomyślał, kiedy zaproponował to miejsce na spotkanie.

Yves. Cześć, to ja.

Phee? Gdzie ty, u diabła, jesteś?

Odpowiedział na moją pierwszą wiadomość do niego; musiał nasłuchiwać przez cały ten czas.

Dzień dobry.

Uśmiechnęłam się, wyczuwając jego irytację zmieszaną z ulgą, że się z nim skontaktowałam.

Nie ma w nim nic dobrego, póki cię nie zobaczę.

Doskonale - sam dał mi sygnał do ataku.

W porządku. Spotkajmy się na Moście Milenijnym o ósmej trzydzieści. Wiesz, gdzie to jest?

Nie, ale się dowiem. Tylko mi powiedz, czy wszystko w porządku?

Dobre pytanie.

Po prostu przyjdź. Wtedy porozmawiamy.

Phee!

I przyjdź sam. Nie mieszaj w to swoich braci, inaczej mnie nie zobaczysz.

Przerwałam połączenie. Teraz, kiedy się z nim skontaktowałam, mógł mieć całkiem niezłe pojęcie o tym, gdzie byłam, ale wątpiłam, żeby jego umiejętności telepatyczne pozwoliły mu na dokładną lokalizację mojego położenia.

Smoku, zrobiłam, jak mi kazaliście.

Nie lubiłam korzystać z tego sposobu komunikacji z ludźmi ze Wspólnoty - dawało im to

zbyt duży dostęp do mojego umysłu - ale stwierdziłam, że taka rozmowa ze Smokiem to mniejsze zło. Tego ranka chciałam wyjść, nie zobaczywszy się wcześniej z żadnym z nich.

O której? Jego myśli w moim mózgu były jak łomot ciężkiej maszyny w porównaniu do delikatnego dotyku myśli Yvesa.

Ósma trzydzieści. Powiedziałam, żeby przyszedł sam.

Rany, Phee, nie zostawiłaś nam dużo czasu, żebyśmy zdążyli być tam przed tobą.

Widzący powiedział, że mam nie zostawiać mu dużo czasu przed spotkaniem.

Ale nie chodziło mu o nasi I Tate będzie zamknięta - pomyślałaś o tym?

Nie. Ale cóż - ich problem. Nie powiedziałam mu tego, oczywiście.

Przepraszam, nie pomyślałam.

No jasne, nigdy nie myślisz. Trudno. Będziemy na miejscu. Widzący może przyjść do Tate po otwarciu, o dziesiątej - on będzie miał więcej czasu.

Wychodzę już. Nie chcę się spóźnić.

Jak twoja ręka?

Czułam, że uśmiecha się ironicznie.

Bywało lepiej.

Pamiętaj o tym, dobra? Możesz się uważać za córeczkę tatusia, ale to nie ma żadnego znaczenia.

Nie musiał być zazdrosny: nie miałam złudzeń co do swojej ważności.

Nie martw się, Smoku, i tak wyglądałbyś źle w diamentach.

Rozłączyłam się, zadowolona, że ten jeden raz miałam ostatnie słowo. Smok rzeczywiście mógł mi zrobić krzywdę, ale tak się składa, że już się go nie bałam. Nie tak jak jego brata i Widzącego.

Z próżności szybko zajrzałam jeszcze do łazienki, żeby nałożyć trochę błyszczyku i tuszu do rzęs. Mimo zmęczenia zdecydowanie wyglądałam lepiej niż przebrana za Wendy. Może Yves nie będzie się tym razem wstydził spotykać ze mną publicznie? Miło było tak myśleć.

Wybiegłam i wskoczyłam do autobusu przejeżdżającego przez City, pod Katedrę św. Pawła. Nie jechałam daleko, ale i tak weszłam na górę na moje ulubione miejsce z przodu, to tuż nad kierowcą; siedząc tam, zawsze miałam złudzenie, że kieruję autobusem. Obok mnie siedział jakiś uczeń, który słuchał muzyki z telefonu tak głośno, że przysięgam, iż słyszałam słowa piosenki. Absurdalność nietłumiących głośnej muzyki słuchawek sprawiła, że się roześmiałam. Nuciałam

piosenkę razem z wykonawcą, aż uczeń zaczął patrzeć na mnie z ukosa. Jego problem - jeśli nie chciał, żebym słuchała tego, co on, powinien zainwestować w lepsze słuchawki. Miał szczęście, że nie zwędziłam mu telefonu. W normalnych okolicznościach zrobiłabym to tylko po to, żeby sprawdzić, czy mi się uda, i zostawiłabym go w połowie piosenki, zastanawiającego się, co się, do cholery, stało.

Przyznaję, dziwnie było mieć tak dobry nastrój, kiedy wszystko w moim życiu było tak okropne. Mogłam to wyjaśnić tylko jako reakcję na świadomość, że za kilka minut znów zobaczę Yvesa, mojego Przeznaczonego. Nie musiałam kraść rzeczy innym ludziom, żeby poprawić sobie nastrój - mogłam ukraść sobie odrobinę szczęścia, tylko wyobrażając sobie, że wszystko wygląda inaczej.

Wysiadłam z autobusu w cieniu wielkiej katedry. Białe ściany wznosiły się nad wąskimi uliczkami jak przybrudzone cukrowe klify. Z tak bliska nie było dobrze widać kopuły, ale wiedziałam, że jest nade mną i leży na katedrze jak naczynie, którego używali kelnerzy w Waldorfie do przykrycia talerzy, które przynosili do stołu. Wyobrażałam sobie, jak z nieba wyłania się boska

ręka i z rozmachem unosi pokrywę, odsłaniając turystów i nagrobki w środku.

Słońce odbijało się w Tamizie, kiedy schodziłam z Peter's Hill. Odgłosy ruchu ulicznego mieszały się z krzykami chłopców biegających po boisku szkolnym u stóp mostu. Miałam wrażenie, że płynę pod prąd, bo fala urzędników wysiadających na ostatniej stacji pociągu na południe od rzeki wspinała się po wzgórzu w kierunku City. Byłam podekscytowana tym, że wokół mnie jest tylu ludzi i że przez krótką chwilę jestem częścią tętniącego życiem Londynu. Niemal byłam w stanie sobie wyobrazić, że mam normalny powód, żeby tu być, na przykład pracę w jednej z kawiarni w South Bank, zwyczajne życie, przyjaciół i tanie mieszkanie gdzieś na przedmieściach. Niektórzy ludzie mogliby to uznać za nudny wybór życiowy, ale dla mnie niezależność wydawała się rajem.

Nie miałam własnego zegarka, więc zatrzymałam zmęczoną, spieszącą na północ kobietę, jedną z niewielu osób, które nie rozmawiały akurat przez telefon. Nie zwalniając, poinformowała mnie sucho, że jest ósma piętnaście. Doskonale - miałam mnóstwo czasu, by zająć pozycję. Pomyślałam, że środek mostu będzie

najlepszym punktem, bo da mi możliwość obserwowania obu kierunków, żeby sprawdzić, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Poważnie zamierzałam uciec ze spotkania z Yvesem, jeśli przyprowadzi ze sobą swoich braci. Wchodząc na most, podziwiałam linie nośne w kształcie katapulty, wyobrażałam sobie, że kiedy boska ręka skończy „podawać” katedrę, mogłaby użyć jednej z tych linii i wystrzelić pocisk w kierunku Kent.

Potrząsnęłam głową, żeby odpędzić absurdalne myśli, zastanawiałam się, czy ktoś jeszcze widzi rzeczy tak jak ja. Czy Yves zrozumiałby, jak działa mój umysł?

- Phee?

Pod wpływem lekkiego dotknięcia na ramieniu omal nie wyskoczyłam ze skóry. Odwróciłam się - oczywiście Yves. Przyszedł tu przede mną i zastawił na mnie pułapkę u wejścia na most. Przez swoje knucie zapomniałam, że przez ten krótki czas, który mu dałam, on także będzie mógł zrobić swoje plany.

- Yves, przyszedłeś - powiedziałam, przyciskając dłoń do piersi.

- Nie dałaś mi wyboru. - Zerknął ponad moim ramieniem. Słońce całowało jego skórę i sprawiało, że wyglądała jak ze złota. Poczulałam się

jak śmiertelniczka, którą odwiedził półbóg z jednej z tych greckich opowieści - o ile pamiętałam, żadna z nich nie skończyła się dobrze dla człowieka. - Jesteś sama?

Skinęłam głową. Byłam - w pewnym sensie. - Ary?

Przez chwilę na jego twarzy odmalowało się niezadowolenie, że w niego wątpiłam.

- Prosiłaś, żebym przyszedł sam, więc tak zrobiłem. Musisz się nauczyć mi ufać.

Zaczełam iść, prowadząc go na środek mostu, z daleka od niebezpieczeństw czających się blisko zatłoczonego wejścia. Każdy mógł się tam schować.

- A ty powinieneś być bardziej podejrzliwy. Nie każdy może sobie pozwolić na to, żeby być takim ufnym.

Nie skomentował tego, ale zrównał ze mną krok.

-A więc czemu zawdzięczam przyjemność bycia wezwanym dziś rano?

Mogłam mu wybaczyć ten sarkazm: do tej pory nasze spotkania nie były zbyt obiecujące.

- Dzisiaj nie chcę nic od ciebie ukraść, jeśli o to pytasz -odparłam, chowając ręce w kieszeniach.

- Czy mogę mieć nadzieję, że w końcu zdałaś sobie sprawę, że Przeznaczeni muszą być razem?

Dotarliśmy na środek mostu. Oparłam się o balustradę i popatrzyłam w błotnisto-zielone wody Tamizy. Plastikowa pomarańczowa torebka zaczepiła się o wspierający most filar i trzepotała jak jakiś trujący glon. Yves stanął obok mnie, ale patrzył nie w rzekę, tylko na moją twarz.

- Phee?

Nie chciałam odpowiadać na jego pytanie. Chciałam jedynie stać tak przez kilka skradzionych minut z moim Przeznaczonym, ciesząc się słońcem i poczuciem cichego szczęścia, które dawało mi bycie z nim, mimo wszystko, co stało nam na drodze.

- Wiesz, Yves, jesteś naprawdę cudownym człowiekiem.

- Czemu to brzmi, jakbyś znowu mówiła mi „żegnaj”? Bo mówiłam.

- I z tego, co widziałam, masz wspaniałą rodzinę. Dasz sobie radę.

Skrzyżował ręce na piersi.

- Co próbujesz mi powiedzieć?

- Myślę, że gdybyś ze mną został, źle by się to dla ciebie skończyło.

Potrząsnął głową.

- Przeznaczeni nie mogą być dla siebie źli, bo się dopełniają. Kiedy nie są razem, nie są kompletni.

- Widzisz, Yves... - zaczęłam skubać farbę na balustradzie - ...chodzi o to, że zostałam wychowana w... złym towarzystwie i nie mogę go opuścić.

- Ja cię wydostanę. - Zdecydowana linia jego ust powiedziała mi, że nie zadowolili się niczym innym.

- Mój lider nas kontroluje. - Czułam nerwowy dreszcz wzdłuż kręgosłupa, ale do tej pory nie złamałam zasad ustalonych przez Widzącego; zabronił mi mówić tylko o tym, co wczoraj usłyszałam. - Próbowałam ci powiedzieć, jak to wygląda, o tym, co się dzieje tam, skąd pochodzę. Mój przyjaciel został... bardzo skrzywdzony zamiast mnie, bo mnie z tobą widziano.

Na te słowa natychmiast złagodniał, zbliżył się do mnie i objął mnie ramieniem.

- Przykro mi, Phee. Jak on się czuje?

- Nie wiem - odparłam cienkim głosem. - A potem, wczoraj, spotkałam nowych... pewnie nazwałbyś ich „sojusznikami” mojego lidera. Nie mogę ci powiedzieć, o czym rozmawiali, ale nie było to nic dobrego dla ciebie. -Ból w czaszce, jakby

wwiercano mi w nią wiertło, ostrzegł mnie, żebym nie mówiła nic więcej. Wzięłam głęboki oddech. - To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Phee? - Jego głos był łagodny.

Spojrzałam na niego, żałując, że nie mogę utonąć w jego ciepłych, brązowych oczach. Pogłaskał mnie palcem w policzek.

- Nie musisz martwić się o nas wszystkich, wiesz? Martwisz się o swojego przyjaciela, o mnie, a kiedy pozwolisz, żeby ktoś zaopiekował się tobą?

Przełknęłam ślinę, bliska łez. Nikt nigdy nie stawiał mnie na pierwszym miejscu. Nie spodziewałam się tego.

- I wydaje mi się, że nie do końca rozumiesz, o co chodzi z Przeznaczonymi. - Jego palce wywoływały pożar na mojej nadwrażliwej skórze, głaskały mnie po brodzie i po niezwykle wrażliwym miejscu za uchem. - Na pewno znasz teorię, ale nie widziałaś tego w praktyce. Moi rodzice są Przeznaczonymi; poza tym od miesięcy patrzę na mojego brata Zeda i na jego Przeznaczoną Sky. Wybacz, ale myślę, że wiem na ten temat więcej od ciebie.

- Naprawdę? - Czemu dostałam chrypki?

- Mhmmm. - Pochylił się nieco bliżej. Czulałam, że lekko drży, jakby nie był pewien, czy go

nie odepchnę. Nie zdawał sobie sprawy, że ja też uległam magnetycznemu przyciąganiu. - Widzę, że mi nie uwierzysz, dopóki ci nie pokażę. - Uśmiechnął się nieśmiało.

-Nie?

- Nie. - Przesunął rękę na mój kark i przyciągnął mnie do siebie, aż nasze ciała się zetknęły. Jego śmiałość rosła, kiedy nie wykonałam żadnego gestu, żeby go zniechęcić. - Wiesz, nawet lubiłem Wendy, chociaż ubiera się jak starsza pani i ma śmieszne podejście do nauk o Ziemi, ale naprawdę lubię Phee: jest piękna, zdecydowana i opiekuńcza. Wczoraj bardzo się pomyliłem, kiedy powiedziałem, że jestem rozczarowany, bo jesteś złodziejką. Nie pochwalam cię za to, że robisz to, co robisz, żeby przeżyć. Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie mogłabyś mnie zawieść. - Czułam jego oddech na moim policzku; powieki same mi się zamknęły, kiedy zbliżył się jeszcze bardziej. Jego usta rozpoczęły powolne odkrywanie moich ust, zostawiając drobne pocałunki w obu kącikach. - Spokojnie- nie gryzę - szepnął, głaszcząc mnie po twarzy, żebym się rozluźniła.

Przestałam zaciskać zęby i zaczęłam odwzajemniać pocałunki. Językiem połaskotał mnie w wargi, po czym wsunął go do środka, żeby

głaskać moje usta. Kolana miałam jak z waty; przed upadkiem powstrzymywała mnie tylko jego ręka na plecach, którą mocno trzymał mnie przy sobie. Czułam ciepło jego dłoni na kręgosłupie i palce ostrożnie zaciskające się na moich napiętych mięśniach, kiedy zachęcał mnie, żebym mu zaufała. Nigdy wcześniej nie czułam się dla nikogo tak cenna - i tak przez kogoś szanowana. A ja myślałam, że Yves nie był pewny siebie w towarzystwie dziewczyn; oj, udowodnił, że nie miałam racji! Zaliczył ten test celująco, tak jak wszystkie inne.

On pierwszy przerwał pocałunek. Obudziłam się z cudownego snu z jego czołem przyciśniętym do mojego. Starszy przechodzień obdarzył nas pobłażliwym uśmiechem, przypominając mi, że wokół nas jest tłum ludzi.

- Młodość - wymamrotał mężczyzna do swojej towarzyszki, klepiąc ją po ramieniu. - Pamiętaj, jak to było?

- Poszli dalej, z czułością pochylając ku sobie głowy. Yves z uśmiechem spojrzał za nimi, po czym odwrócił się do mnie z bardzo męskim uśmiechem, zdradzającym zadowolenie z siebie.

- Teraz rozumiesz? - spytał.

Nie byłam pewna. Zapalił mnie, a ja nie mogłam ugasić ognia. Moje ciało zdawało się tryskać nową energią, jakbym po miesiącach działania na rozładowujących się bateriach została podłączona do ładowarki. Przesunęłam palcami po wargach.

- A ja myślałam, że niewiele wiesz o dziewczynach.

Zmarszczył brwi.

- Czemu? Zrobiłem coś nie tak? Roześmiałam się drżąco.

- Nie. Ale twój brat powiedział...

- A, słyszałaś to? - Zaśmiał się Yves i odgarnął kosmyk z mojego policzka. - Nie przyznaję się do takiego doświadczenia jak on, ale pocałowałem w życiu trochę dziewczyn.

Poirytowana na samą myśl o dziewczynach doświadczających takich samych fajerwerków, chciałam się odsunąć, co tylko go rozbawiło.

- Nie rób tego. To było, zanim cię poznałem. Z tobą jestem zupełnie inny. Potrzebuję cię, jak potrzebuję tlenu. Żaden pocałunek nigdy nie podziałał na mnie tak jak ten. No wiesz, ten rzucił mnie na kolana. - Wyszczrzył zęby, a ja nie mogłam się nie uśmiechnąć. - Pierwszy pocałunek z wielu, mam nadzieję. Słuchaj, Phee, nie mamy

wyboru, musimy być razem, trzeba tylko wymyślić, jak usunąć przeszkody. - Wymamrotał przekleństwo. - To źle zabrzmiało. Chciałem powiedzieć, że chcę z tobą być - nie chodzi tylko o to, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Wiem, myślisz, że bez ciebie nic mi nie będzie; może to była prawda w zeszłym tygodniu, zanim cię poznałem, ale nie dzisiaj. Jeśli zależy ci na mnie chociaż troszkę, musisz dać mi szansę udowodnić, że mogę ci pomóc.

- Nikt nie może mi pomóc. - Ale zaczęłam mieć nadzieję, modlić się, żebym nie miała racji.

- To nieprawda. Przynajmniej pozwól mi spróbować.

11

Zostaliśmy tak przez kilka minut - on obejmował mnie i przytulał do siebie, przeczesując palcami moje włosy i masując mi kark. Całe napięcie zgromadzone we mnie zaczęło opadać. Nie mogłam zaprzeczyć temu, co mówił, bo ja też to poczułam. Z nim już nie byłam zrozpaczona i samotna. Zbyt często doświadczałam życia jak pacjent po przeszczepie serca, który przeszedł operację i czuje w piersi sprawiającą ból pustkę; w ramionach Yvesa ta pustka była wypełniona, a ja czułam się ważna i kompletna. Jak mogłam myśleć o tym, żeby z tego zrezygnować, jeśli istniał choć cień szansy na naszą wspólną przyszłość?

- Lepiej ci teraz? - spytał, odczytując sygnały nadawane przez moje ciało, które przestało w napięciu gotować się do ucieczki.

- Tak. Dużo lepiej.

- Powiedz mi, czemu tu jesteśmy.

Czubkiem palca odrysowałam nadruk na jego koszulce.

- Przysłano mnie po ciebie. Jestem przynęta. Nie odsunął się.

- Mów dalej.

Wirus Widzącego powstrzymał mnie przed powiedzeniem, że wiem o Sieci Sawantów i o groźbach, jakie usłyszałam.

- Mój lider chce z tobą porozmawiać. Będzie w Tate. -Wskazałam na przypominający fabrykę budynek po południowej stronie mostu. - Nie będzie sam.

- Po co chce mnie zobaczyć?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie możesz czy nie chcesz? Bystry był.

- Nie mogę.

- Co by się stało, gdybyś powiedziała?

Czy mogłam mu to powiedzieć? Widzący nie kazał mi milczeć na temat swoich umiejętności; pewnie nie wyobrażał sobie, że mogłabym podzielić się tym z Yvesem.

- Bolałoby mnie to. Bardzo.

Yves pocałował mnie w czubek głowy.

- OK, rozumiem. Spotkałem już takich ludzi jak on -potrafili robić chore, złe rzeczy z mózgiem

innych, jakby wpuszczali tam jakiegoś wirusa. Nie chcę, żebyś cierpiała. Jak dużo mamy czasu?

- Około godziny. Galeria otwiera się o dziesiątej.

- Jadłaś śniadanie?

W perspektywie mieliśmy spotkanie z Widzącym, a on myślał o śniadaniu?

- Yyy... nie. Ale czy nie powinniśmy, no nie wiem, zrobić jakichś planów?

- Możemy planować, jedząc. - Odsunął się o krok, ale wciąż trzymał mnie za rękę i pociągnął mnie na południowy koniec mostu. - Chodźmy.

- Co takiego? - Potykając się, poszłam za nim, niepewna, czy mam się śmiać, czy płakać.

- Mam swoją Przeznaczoną dla siebie przez godzinę; zamierzam wykorzystać ten czas.

Znaleźliśmy małą kawiarenkę na wybrzeżu i usiedliśmy przy metalowym stoliku. Czerwono-białe parasole łopotały na lekkim wietrze jak świąteczne chorągiewki. Na czubku latarni balansowała mewa niczym władczyni wszystkiego, co obserwowała swoimi czarnymi jak kamyki oczami.

- Co zamawiasz? - Yves otworzył zalaminowane menu.

- Kawa, kawa, więcej kawy, herbata, herbata, inny rodzaj herbaty. Bułeczki. Och, musisz zamówić bułeczki, to brzmi tak angielsko. - Miał zachwycony wyraz twarzy kogoś, kto odkrył żyłę złota.

Uśmiechnęłam się, słysząc te zachwyty nad bułeczkami, i spróbowałam zapanować nad zbłąkanymi myślami.

- OK, wezmę herbatę i gorącą kanapkę. Yves mrugnął.

- Ja też. Spełniam właśnie moje marzenie. - Odłożył menu na stół i przytrzasnął cukiernicą.

- Marzysz o gorących bułeczkach? - zażartowałam. Wziął mnie za rękę i pocałował w palce.

- Nie, marzę, żeby mieć moją Przeznaczoną dla siebie, gdzieś w słońcu. Nie wiedziałem, że to będzie w Londynie, ale zgadzam się na to.

- No dobra, kochany, co podać? - Starsza kelnerka podeszła do nas cicho jak ninja, sprawiając, że oboje podskoczyliśmy.

Yves puścił moją rękę i szybko podał zamówienie.

- Podać do tego konfiturę? - spytała, stukając w notes.

- Czy jesteś wystarczająco słodki?

Yves uśmiechnął się do niej nieśmiało i powiedział, że tak, poprosimy o konfiturę. Uznałam, że to urocze, jak łatwo uwielbienie kobiet w każdym wieku wpędza go w zakłopotanie.

- Lubię Amerykanów - oznajmiła mi kelnerka. - Są zawsze tacy uprzejmi.

Kiedy odmaszerowała, dotknęłam policzka Yvesa.

- Rumienisz się. O co chodzi z tobą i starszymi kobietami? Wszystkie z tobą flirtują.

Yves przycisnął moją rękę do policzka.

- Naprawdę? Nie zauważyłem. Interesuje mnie flirtowanie tylko z jedną dziewczyną.

Uśmiechnęłam się.

- Dochodzisz do siebie.

- Cieszę się, że nie straciłem umiejętności. - Yves zerknął na zegarek. - OK, Phee, masz godzinę, żeby powiedzieć mi wszystko o sobie.

Wycofałam rękę, zawstydzona moim nędznym życiem.

- Co dokładnie?

- Wiem, że jest dużo rzeczy, których nie możesz mi powiedzieć, ale tak mało o tobie wiem, że z pewnością możesz się czymś podzielić? Jesteś wegetarianką. Dlaczego? Lubisz czytać. Masz ulubionego autora? Co cię rozśmiesza? Co

doprowadza do płaczu? Wolisz stare Gwiezdne wojny czy te, które nakręcono później? Jakiej muzyki słuchasz?

Uniosłam rękę, z ulgą stwierdziwszy, że żadne z tych pytań nie dotyczy bezpośrednio mojej sytuacji.

- OK, OK, zrozumiałam. No dobrze... nie lubię zabijać zwierząt, więc nie będę ich jeść. Zabijanie zwierząt doprowadza mnie do płaczu.

Yves skinął głową.

- Rozumiem.

- Lubię różnych pisarzy. Nikt nigdy nie mówił mi, co mam czytać, więc moja lista jest pewnie dość dziwna. Po prostu biorę książki z półki w bibliotece.

- To powiedz mi, co wybrałaś.

- Isaaca Asimova i Jane Austen - widzisz, w bibliotekach książki zaczynają się od A.

Yves poklepał się palcem wskazującym w policzek, z iskrą w oku.

- Interesujące - Duma i uprzedzenie w kosmosie - to stwarza możliwości.

Urwaliśmy, kiedy kelnerka wróciła z zamówieniem. Kiedy odeszła, zaczęłam mówić dalej.

- Wiła Cather, Agatha Christie, George Eliot. Jest ich tak dużo, że mogłabym ich wymieniać przez godzinę.

- W porządku. - Yves rozciął bułeczkę i posmarował ją dżemem truskawkowym z malutkiego słoiczka, który przyniosła nam kelnerka. - Jedz.

Posłusznie ugryzłam kęs z połówki, którą mi podał.

- Wiesz, będę miał mnóstwo przyjemności z dokarmiania ciebie. Xav uważa, że jesteś niedożywiona. - Ugryzł kawałek w tym samym miejscu, co ja, przez cały czas patrząc mi w oczy. Uważałam, że to słodkie, że ze mną flirtował - do tej pory nikomu się nie chciało.

Zmieniłam temat - nie spodobało mi się przypomnienie o tym, skąd pochodzę.

- Nie widziałam.

- Nie rozumiem.

- Gwiezdnych wojen. Nie puszczali ich w kinie, kiedy akurat mogłam się tam wślizgnąć.

Yves przewrócił oczami w żartobliwym przerażeniu.

- Trzeba to będzie natychmiast naprawić. Mnóstwo popcornu i wieczór filmowy. - Urwał,

zakłopotany. - Nie myśl tylko, że jestem fanem Gwiezdnych wojen.

Zachichotałam.

- Jasne. Założę się, że jeździsz przebrany na te wszystkie konwenty.

- W takim razie lepiej schowam mój miecz świetlny, zanim wpuszczę cię do domu, albo moja wiarygodność zostanie podkopana.

- Za późno: wszystko wyszło na jaw. Jakie było ostatnie pytanie?

- O muzykę.

- No tak. Nie wiem. Nie mam niczego, na czym mogłabym słuchać muzyki.

Yves odstawił kubek z herbatą.

- Yyy... Nie nabyłaś MP3 ani iPoda?

- Nie zatrzymuję rzeczy, które kradnę, poza ubraniami od czasu do czasu. To zabronione.

Yves pogładził mnie po nadgarstku, w geście, który miał pokazać, że rozumie, ale tak naprawdę nie rozumiał. Czy Pan Przyzwoity i Porządny naprawdę zrozumiałby, że lubiłam być dobrym złodziejem?

- Słyszę różne piosenki w sklepach, nie jestem zupełnie nie na czasie. No a co z tobą? - spytałam z fałszywym entuzjazmem.

Yves zamieszał herbatę.

- Opinia tej absolutnie niedziwnej osoby na temat Gwiezdnych wojen jest taka, że nowsze filmy są lepsze - lubię mnogość efektów specjalnych, a gra aktorska mi nie przeszkadza. Za bardzo nie mogłem znieść fryzury księżniczki Lei i tych niedźwiedziowatych stworów, żeby polubić pierwsze trzy, chociaż muszę przyznać, że Harrison Ford jest fantastyczny. - Zaczął odliczać swoje odpowiedzi machaniem łyżeczką do herbaty. - Jem mięso, ale będzie mi przyjemnie spróbować dla ciebie wegetariańskiego jedzenia i to będzie lepsze dla środowiska, więc może i tak powinienem to zrobić. Czytam głównie literaturę faktu. Moja ulubiona powieść to Nazywam się Asher Lev Chaima Potoka.

- Wow, brzmi poważnie. - Byłam zadowolona, że nie przyznałam się do mojej słabości do romantycznej literatury popularnej.

Yves roześmiał się.

- To świetna historia - bardzo głęboka. Ale lubię też dobre kryminały i science fiction. A jeśli chodzi o muzykę, słucham klasycznej, ale też innych stylów.

- Na przykład?

- Przede wszystkim R&B. No wiesz, piosenki takie jak „Billonaire” - świetne słowa, bardzo

zabawne. - Ochrypłym głosem zaśpiewał kilka pierwszych linijek.

Uśmiechnęłam się.

- Ty, bilionerem?

- Nie bierz tego dosłownie. Ale nie uważasz, że dobry ze mnie wokalista?

- Przykro mi to mówić, kochany, może masz odpowiedni wygląd, ale głos niezupełnie. - Poklepałam go pocieszająco po rękę.

- I tak prysnął mój sen o byciu gwiazdą. Będę musiał się zadowolić naukami o Ziemi i karierą naukową.

Zachichotałam.

- Świat nauk o Ziemi bardzo się na tym wzbogaci.

- A wszyscy inni odetchną z ulgą?

- Ty to powiedziałaś.

I roześmialiśmy się oboje. Nie mogłam w to uwierzyć: mieliśmy godzinę poza naszym zwyczajnym życiem, a jemu udało się zrobić z niej cudowny czas. Prawie nie pamiętałam o tym wszystkim, co na nas czekało - po prostu cieszyłam się jego towarzystwem, a przeszłość i przyszłość nie psuły mi nastroju.

- Co z twoją rodziną? - spytałam, upijając łyk herbaty.

- Mam nadzieję, że wkrótce ich poznasz. -
Skrzywił się, kiedy spróbował swojej herbaty.
Muszę przyznać, że nawet dla mnie była trochę za
mocna.

- Powinieneś był zamówić kawę.

- Ale jestem w Londynie...

- Londyńczycy w dzisiejszych czasach też
piją kawę. Nie wszyscy mówimy „ja piórkuje, stary,
może filizaneczkę Rosie Lee”.

Yves parsknął śmiechem.

- O czym ty mówisz?

- No wiesz, mieszkańcy East Endu, cockney.
To taki slang.

Yves ujął dłonią mój policzek i pogłaskał mnie
kciukiem ponosie.

- Nie wiem; w Kolorado nie mamy „Rosie
Lee”, ale nie mogę się doczekać, kiedy mnie tego
nauczysz.

Zarumieniłam się, obawiając się, że zrobiłam z
siebie głupka.

- Nie, nie zrobiłaś. Jesteś słodka.
Zmarszczyłam brwi.

- Przestań podsłuchiwać moje myśli.

- Nie muszę. Miałaś to wypisane na twarzy. -
Yves pożarł ostatni kawałek bułeczki i zaczął
smarować następną. - Moja rodzina. Jak już

mówiłem, mam sześciu braci. Spotkałaś drugiego i piątego.

- Lubicie być określani numerami?

Yves spojrzał na mnie, zaciekawiony, że go na tym przyłapałam.

- Nie. Właściwie to tego nie lubimy, ale w ten sposób łatwiej wszystko wyjaśnić. Myślę, że każdy z nas chce być po prostu sobą, a nie być określonym w odniesieniu do pozostałych. To naturalne w tak dużych rodzinach jak moja.

- Rozumiem. Dla mnie zawsze będziesz Yvesem - nie numerem szóstym.

- Dobrze wiedzieć. Wiedziałem, że z jakiegoś powodu cię lubię. - Uśmiechnęliśmy się do siebie. - Najstarszy jest Trace. Jest gliniarzem w Denver i ma dar wyczuwania pochodzenia przedmiotów, kiedy ich dotyka. Jest świetnym tropicielem i nigdy, przenigdy nie oszukuje, w przeciwieństwie do kilku innych moich braci. Uriel jest najbardziej podobny do mnie, to znaczy jest naukowcem. W porównaniu do reszty jest cichy i refleksyjny. Robi studia podyplomowe z kryminalistyki w college'u i potrafi łączyć się z przeszłością - coś jak dostrzeganie obrazów z przyszłości, ale w drugą stronę.

Nie mogłam powstrzymać sceptycznego prychnięcia.

- Rozumiem widzenie przeszłości, ale nikt naprawdę nie potrafi przewidzieć przyszłości. Spotkałam takich, którzy twierdzili, że potrafią, ale kłamali, nawet sawanci, nie mówię o Cyganach czytających z dłoni na jarmarkach.

Yves podał mi następny kawałek bułeczki.

- W takim razie nie poznałaś mojej mamy i najmłodszego brata, Zeda. Oboje widzą przebłyski tego, co ma się wydarzyć. I mają niezwykły dar słyszenia, co myślisz. -Mrugnął.

- Ty też.

- W mniejszym stopniu. Nie tak jak oni. Ja jestem lepszy w energii. - Strzelił palcami i na jego dłoni pojawił się płomień.

Przykryłam go ręką, żeby go zgasić, zanim ktokolwiek zauważy. Yves złapał mnie za rękę i przytrzymał.

- Will potrafi wyczuwać niebezpieczeństwo, tak jak mój tata. Jest bardzo wyluzowany, ale dobrze go mieć u boku, kiedy przychodzi do walki.

Słysząc było wielkie przywiązanie w jego głosie - domyśliłam się, że miał szczególną słabość do tego starszego brata.

- Szczęściarz z ciebie, że masz tyle osób do kochania.

- To prawda. - Poglaskał mnie w zamyśleniu po rękę. - Kocham ich wszystkich, chociaż Zed i Xav potrafią działać na nerwy.

Wyczułam, że tak nie myśli. Wyraźnie był do nich przy - wiązany.

- Wydają się myśleć, że nie jestem dość męski, bo wolę naukę od sportu i rozmawiam z dziewczynami o książkach i ideach. A ja ich uważam za głupich sportowców, więc dobrze się dogadujemy.

- Ale zrobilibyście dla siebie wszystko.

- To się chyba rozumie samo przez się. - Yves dał znak, że prosimy o rachunek.

- Nie tam, skąd pochodzę. Rodziny tak nie funkcjonują.

- Phee, od długiego czasu nie miałaś rodziny. Z tego, co słyszałem, nie miałaś nikogo. - Przybrał zdeterminowany wyraz twarzy. - Ale wczoraj to się zmieniło. Teraz masz rodzinę denerwujących braci, którzy będą o ciebie dbać - i siostrę, Sky, Przeznaczoną mojego brata. A niech no tylko moja mama dowie się, że nie masz własnej matki. Zawsze pragnęła córki i myślę, że to słowo doskonale do ciebie pasuje. Będzie cię zabierać na

zakupy i wciągnie cię w babskie pogaduszki, zanim się zorientujesz.

Uśmiechnęłam się smutno.

- Brzmi uroczo.

- Tak będzie, zobaczysz. - Yves podał kelnerce kieszonkę z rachunkiem i dziesięciofuntowym banknotem, znowu nie czekając na resztę. Tym razem nie protestowałam. - Porozmawiajmy o naszym planie.

Wstaliśmy od stołu, a ja wzięłam go pod rękę. Zaczęliśmy powoli iść wzdłuż szerokiego chodnika na wybrzeżu Tamizy. Przesunęliśmy się na bok, żeby przepuścić jadącego na deskorolce chłopaka.

- Masz silną tarczę? - spytałam. Teraz, kiedy szliśmy w stronę Tate, zrobiło mi się trochę niedobrze.

- Oczywiście. Jeśli żyjesz w rodzinie sawantów, którzy potrafią czytać w myślach, rozwijasz tę umiejętność szczególnie szybko.

- Nie pozwól naszemu liderowi wejść do twojej głowy. Potrafi bawić się przełącznikami w umyśle. Nie jestem pewna, co zasiał w mojej głowie, ale domyślałam się, że ochronił się przed możliwością zdrady ze strony któregoś z nas.

- OK. Upewnię się, że się do mnie nie dostanie. Mogę pomóc też tobie, jeśli mi pozwolisz.

Jak na mój gust był zbyt pewny siebie. Zastanawiałam się, czy zdawał sobie sprawę, że jego zdolności intelektualne, które zapewniały mu pierwsze miejsce w większości środowisk, w których się obracał, w moim świecie były bezużyteczne. Patrzyłam na taksówkę wodną torującą sobie drogę w kierunku Greenwich, która wzburzała wodę i zostawiała za sobą biały ślad. Huk miasta zagłuszał wszelkie inne hałasy; ledwie słyszałam ryk silnika łódki.

- Jak miałbyś to zrobić?

- Mogę zaczerpnąć energię z otoczenia i przekazać ci ją, żebyś mogła wzmocnić swoją tarczę.

- Naprawdę? Brzmi fantastycznie. Ale moja tarcza zawsze szybko opadała, kiedy przed nim stawałam.

- Tym razem będzie inaczej. Już w dzieciństwie musiałem nauczyć się kontrolować mój dar, żeby przestać wysadzać w powietrze rzeczy, które mnie denerwowały, więc jestem naprawdę dobry, gdy muszę działać pod presją.

- Chyba że w moim towarzystwie.

- No tak, pracuję nad tym. Daj mi szansę, znamy się jeden dzień.

Westchnęłam.

- Nie spodoba mu się, że stawiam mu opór. Może lepiej nie próbuj robić nic dzisiaj, bo znajdzie sposób, żeby mnie ukarać, jeśli zacznę z nim walczyć publicznie. - Dotknęłam zadrapania na moim ręku, przypominając sobie wczorajszą demonstrację siły.

Mój ruch zwrócił uwagę Yvesa na nacięcie.

- On to zrobił? Wzruszyłam ramionami.

- Niebezpośrednio. Nie kłamałam, kiedy mówiłam, że nie waha się nas krzywdzić, żebyśmy byli mu posłuszni.

Yves walczył z oburzeniem, aż uspokoił się i wziął głęboki oddech.

- Dobrze. Nie śpieszmy się z tym. Kiedy przyjedzie reszta rodziny, będziemy mieli posiłki, żeby pomóc ci stawić opór. Dzisiaj po prostu dowiemy się, co twój lider ma nam do powiedzenia.

- Nie spodoba ci się to.

Yves odwrócił mnie, tak że stanęłam plecami do ściany nabrzeża, i oparł brodę o czubek mojej głowy.

- Nie, chyba nie.

- Więc wchodzimy. Usłyszysz, co ma do powiedzenia, i sobie pójdiesz. - Mówiłam do jego piersi, nie mając ochoty podnosić głowy.

- Tak, tylko jedna mała poprawka: my sobie pójdziemy.

- On na to nie pozwoli.

- Zobaczymy.

Bałam się o niego, o mojego uroczego Przeznaczonego intelektualistę. Nie wiedział, z czym się mierzy, a ja musiałam go chronić, bo nie doceniał swoich wrogów. Czułam się, jakbym prowadziła mojego pięknego lamparta prosto pod ostrzał myśliwych.

- Posłuchaj, jeśli wybór będzie między odejściem beze mnie a walką, po prostu odejść. Mnie nic nie będzie.

Yves wyglądał na urażonego, że moim zdaniem nie da rady sam się im przeciwstawić.

- Phee, nie próbuj stawać między mną a niebezpieczeństwem. Nie pozwolę na to.

- Więc co zamierzasz zrobić? Bić się w pierś jak jaskiniowiec, zamachnąć się maczugą na każdego, kto będzie mi groził? Nie jestem małą kobietką, której musisz bronić.

Przybrał zacięty wyraz twarzy.

- Dokładnie tym jesteś: moją małą kobietką, i nie pozwolę, żebyś się dla mnie poświęcała.

- I vice versa, stary, tylko zamiast „mała kobietka” powinnam powiedzieć „mój duży

mężczyzna”. - Zachowywaliśmy się śmiesznie i w głębi podejrzewałam, że oboje o tym wiedzieliśmy. Potrzebowałam chwili na zebranie myśli. - OK, OK, rozumiem, o co ci chodzi, bo mnie chodziło to samo. Zgódźmy się może, że oboje nie będziemy ryzykować, podzielmy się odpowiedzialnością.

- Mam szersze bary niż ty.

- I jesteś zarozumiała. Przestań zachowywać się jak Indianin na wojennej ścieżce i pomyśl rozsądnie. Możemy tam wejść, tylko jeśli zgodzimy się co do planu.

Yves z wyrzutem pstryknął mnie w nos.

- Mój tata jest Indianinem, wiedziałaś o tym? Mógłbym kazać cię aresztować za rozpowszechnianie stereotypów rasowych.

Ups.

- Nie chciałam cię urazić.

- Nic się nie stało. Ale w zamian musisz mi pozwolić to rozegrać. Jeśli oboje będziemy próbowali decydować, skończy się na przepychankach.

Nie podobało mi się to, ale wiedziałam, że jego propozycja ma sens. Kiedy przychodziło do rozmowy z Widzącym, strach często mnie paraliżował; mogłam uznać, że Yves podejdzie do tego bardziej obiektywnie.

- OK, tym razem pozwolę ci decydować, ale tylko jeśli obiecasz, że nie zrobisz niczego głupiego i nie wystawisz się na niebezpieczeństwo. Wchodzimy, wysłuchujemy go i próbujemy wyjść razem.

Na moje burkliwe słowa Yves mnie uściskał.

- Tak, taki jest plan. Nie będę nalegał na to ostatnie za bardzo, żeby nie stała się nam krzywda, ale chcę, żebyś wiedziała, że moim celem jest zabrać cię ze sobą. Wycofaj się i pozwól mi negocjować - będę wiedział, w czym chcę ustąpić, żeby bezpiecznie cię stamtąd wydostać.

Na chwilę przymknęłam oczy.

- Mam złe przeczucia.

Yves pocałował mnie lekko w jedną i drugą powiekę.

- Zaufaj mi, Phee. Uda nam się.

- Nie ma tu gdzieś w pobliżu twoich braci, co? Jako wsparcia?

Yves pokręcił głową.

- Obiecałem ci, że przyjdę sam. Nawet im nie powiedziałem, dokąd idę.

Szkoda. Trochę żałowałam, że jest taki honorowy.

- OK, to idziemy. Miałam się upewnić, że przyszedłeś sam, więc może lepiej, że nie wiedzą, co zamierzasz zrobić.

- Jedyne osoby, które mogą wiedzieć, to mama i Zed, ale oni są w powietrzu w drodze do Londynu. - Uśmiechnął się krzywo. - Jeśli zobaczą przebłysk tego, co się będzie działo, będę miał kłopoty, kiedy wylądują.

Uścisnęłam go także.

- Nie martw się, będę cię przed nimi bronić.

- Na to mogę ci pozwolić.

12

Byliśmy pierwszymi osobami, które weszły do środka, kiedy otwarto galerię. Weszliśmy do pustej Hali Turbin. Ta przestrzeń wystawowa przypominała pieczarę albo brzydką boczną alejkę w zamku olbrzyma. Obecna wystawa jeszcze bardziej podkreślała niepokojącą atmosferę:

ogromne metalowe pająki stały na betonie z rozcapierzonymi nogami, jak najeźdźcy z kosmosu na plakacie filmu klasy B z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Kilka z nich zwisało z sufitu, jakby zaraz miały spaść nam na głowy; małe pająki wdrapywały się po ścianach, żeby odkryć szczeliny w ludzkim systemie obrony.

- Ładne - skomentował Yves ironicznie.

Dla zabicia czasu przechadzaliśmy się po metalowym lesie pajęczych odnóży.

- Dlaczego artysta spędza swoje życie na robieniu czegoś takiego? - spytałam, śmiejąc się odrobinę histerycznie.

- Może chce się uwolnić od koszmarów nocnych?

- I sprawić, żebyśmy myje mieli?

- Phee?

Smok zawołał mnie po imieniu. Odwróciliśmy się ostrożnie. Był sam i stał między odnóżami największego z metalowych pajaków.

- O, cześć... Smoku, poznaj Yvesa. Zmierzyli się wrogimi spojrzeniami.

- Poznaliśmy się wczoraj - powiedział sucho Yves. -Miejmy nadzieję, że sztuka współczesna będzie miała więcej szczęścia. - Rzucił znaczące spojrzenie na wiszące u sufitu pajaki, przypominając nam o losie rzeźby w Barbican.

Smok uśmiechnął się triumfująco.

- Nie podsuwaj mi takich pomysłów, stary.

- Wątpię, żebyś potrzebował mojej sugestii, żeby siać bezsensowne zniszczenie, koleś.

Dość potrząsania szabelkami.

- Smoku, przyprowadziłam go tutaj, jak chcieliście. Co teraz?

Yves ścisnął mnie w talii ręką, którą wcześniej niedbale mnie obejmował, przypominając mi, kto miał kierować tą małą konfrontacją. Ale skoro upierał się, żeby skakać sobie do oczu ze Smokiem,

zanim jeszcze zaczęliśmy negocjacje, to oczywiście, że zamierzałam interweniować!

- Widzący jest tutaj. - Smok skrzyżował ręce na piersi i skinął głową w górę, w kierunku muru dzielącego główną przestrzeń galerii od Hali Turbin. Kilka pięter wyżej było okno, doskonały punkt obserwacyjny, z którego nasz lider mógł na nas patrzeć, zupełnie tak, jak robił to w domu. Oczywiście nie zamierzał ustawiać się nigdzie w pobliżu wroga - był na to zbyt tchórzliwy i zawsze starał się wzbudzać w nas poczucie podporządkowania.

Yves ułożył usta w pogardliwym uśmiechu na widok tego pilnującego nas olbrzyma w białym garniturze.

- To on?

Było mi wstyd, że pozwoliłam mu zobaczyć nawet tak niewiele z mojego środowiska. -Tak.

Za Widzącym dostrzegłam Jednorożca. Kasia prawdopodobnie czaiła się gdzieś w pobliżu, żeby sprawdzić, czy nie korzystamy z telepatii i nie porozumiewamy się z nikim z zewnątrz, ale zapomniałam ostrzec przed tym Yvesa.

- W jaki sposób mamy rozmawiać? - spytał Yves. -Przez megafon?

Powiedz mu, że będę mówił przez ciebie.

Z trudem zaczerpnęłam powietrza, kiedy Widzący przemocą wtłoczył swoją wiadomość do mojej głowy.

- Przeze mnie. Będzie używał mnie.

Yves ze współczuciem pomasował mnie po plecach.

- No dobrze, załatwmy to tak szybko, jak się da. Nie chcemy, żeby skakał sobie po twojej głowie. Spytaj go, czego chce.

Informacji o członkach Sieci Sawantów.

- A co on z tym zrobi, jakbym nie mógł się domyślić?

O tym ja zdecyduję. Twój Przeznaczony ma mi je tylko przekazać. Powiedz mu to.

Nie wyobrażałam sobie, żeby Yves zgodził się na taki układ. To było beznadziejne.

Yves rozważał ofertę, którą mu proponowano.

- A co potem? Będiesz mogła odejść? Pozwoli ci na to? Widzący zaśmiał się na tę zuchwałość.

Phoenix zostaje z tatusiem.

Nie mogłam zmusić się, by powiedzieć to Yvesowi, więc tego nie powtórzyłam, tylko pokręciłam głową.

Wyjaśnij swojemu Przeznaczonemu, że ma pozostać w Sieci i dostarczać mi wszelkich

informacji, których zażądam. Będzie dla nas szpiegował.

- A czemu miałbym to robić?

Bo jeśli tego nie zrobisz, Phoenix będzie cierpieć.

Na jego znak Smok wyrwał miniaturowego pająka z obejmmy na ścianie, a pająk poleciał prosto na mnie. Yves błyskawicznie pociągnął mnie w dół, tak że pająk przeleciał nam nad głowami i rozbił się o przeciwległą ścianę, zostawiając wyżłobienie w betonie.

- Zapominacie, że nie tylko wy macie moc. - Yves spojrział na Widzącego, z którego kieszeni zaczął wydobywać się dym. Kiedy jego portfel stanął w płomieniach, Widzący i Jednorożec gorączkowo rzucili się gasić ogień.

- Yves, przestań! - szepnęłam. Yves niechętnie ugasił pożar.

- Celowałem w jego serce, ale u niego nie mogłem znaleźć nic bliższego sercu - wyjaśnił mi Yves z chytrym uśmiechem.

Będziemy musieli za to zapłacić - ale musiałam przyznać, że tym widokiem będę rozkoszować się przez resztę mojego prawdopodobnie od teraz już bardzo krótkiego życia.

Powiedz swojemu jankesowi, żeby lepiej zrobił to, o co proszę, albo to ty się spalisz! - wrzasnął Widzący w mojej głowie. Jego głos brzmiał jak zgrzyt metalu o metal.

- Nie jest szczęśliwy - przekazałam Yvesowi.
- Założę się, że nie tak to ujął.
- Nie. Niezupełnie. Jestem zakładnikiem, który ma gwarantować twoje dobre zachowanie. Tak jak się spodziewaliśmy.

-1 ty dawałaś temu czemuś decydować o swoim życiu?

- zdumiał się Yves. Jego odraza do Widzącego była aż nadto widoczna. Z całą pewnością zacznie mną gardzić, jeśli kiedykolwiek dowie się, że ten mężczyzna może być moim ojcem. Miałam nadzieję, że nigdy tego nie odkryje; i tak miałam aż za dużo wad.

Smok, który widać otrzymał własne rozkazy, podszedł do nas i spróbował odciągnąć mnie od Yvesa.

- Czas wracać.

Tak jak przewidziałam, mój Przeznaczony nie chciał mnie puścić. Z wściekłością w oczach Yves przyciągnął mnie z powrotem i stanął Smokowi na drodze.

- Jeśli jej dotkniesz, spalę każdy włos na twojej głowie.

- Zrobiłby to. Widziałam determinację w jego twarzy. -Od tej chwili ona zostanie ze mną.

- Nie ma mowy. Ona należy do Wspólnoty.

- Należy do swojego Przeznaczonego.

- Słuchaj, stary, do tej pory byłem miły. Jest nas trzech, ty jesteś jeden. Jak dokładnie planujesz się stąd z nią wydostać?

Yves wzruszył ramionami.

- Powiedz swojemu liderowi, że jeśli chce dostać te informacje, musi pozwolić jej ze mną pójść, inaczej nie ma umowy. Nie wierzę, że nie zrobicie jej krzywdy, kiedy będzie z wami, a dla mnie nie ma to żadnego sensu, jeśli ona nie będzie bezpieczna. Wszystko, co robię, robię dla niej.

- Jakie wzruszające. Myślę, że zaraz zwymiotuję. - Smok przewrócił oczami na wyzywającą mowę Yvesa.

Chciałam się wtrącić i zabronić Yvesowi obiecywania czegokolwiek, co wystawiłoby na niebezpieczeństwo jego rodzinę i Sieć Sawantów, ale w porę przypomniałam sobie, że obiecałam mu, iż pozwolę mu prowadzić rozmowy. Byłam przerażona, że zamierzył się na coś znacznie

powyżej swoich możliwości, ale dałam mu słowo. Yves nie ustępował.

- Jestem pewien, że wasz Widzący jest w stanie zabezpieczyć się przed tym, żeby zdradzała wasze sekrety, ale moje interesy są chronione tylko wtedy, kiedy ją widzę. To jest moja granica.

Smok musiał powtarzać jego słowa, bo Widzący szybko przedstawił swoją ofertę.

Powiedz mu, że może cię mieć na czterdzieści osiem godzin. Potem musi przyprowadzić cię do mnie i dać mi informacje.

- Dokąd mamy przyjść?

Do Londyńskiego Oka.

Ustępstwo Widzącego przekraczało moje oczekiwania.

Przekazałam tę wiadomość Yvesowi.

- Zgadzasz się? - To dałoby nam czas, żeby jakoś rozwiązać tę sytuację.

- Niech będzie. - Zerknął na zegarek. - Mamy czas do dziesiątej trzydzieści w piątek.

Ale, Phoenix, wejdź jeszcze tu na górę. Mam wiadomość tylko dla ciebie.

To będzie to zabezpieczenie.

- Muszę wejść na górę. Inaczej nie pozwoli mi odejść.

- Pójdę z tobą.

- Nie - przerwał Smok. - My zostajemy tutaj.
- Potem zmienił taktykę; zamiast szarpać się z Yvesem, użył swojej mocy, żeby uwolnić mnie z jego uścisku. Yves musiał mnie puścić, jeśli nie chciał, żeby stała mi się krzywda. Zachwiałam się, ale zanim upadłam, zdążyłam złapać się nogi pająka. - Na górę, Phee. Przypilnuję twojego Przeznaczonego.

Nie podobało mi się bardzo, że zostają sami we dwóch nawet przez krótki czas. Martwiłam się, że Yves straci nad sobą panowanie i coś podpali - prawdopodobnie Smoka.

- Wrócę szybko.

Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebować.
Yves nie wyglądał na szczęśliwego, że traci mnie z oczu.

Nie odpowiedziałam, bojąc się podsłuchu, ale skinęłam głową. Im szybciej to załatwię, tym lepiej. Pobiełam po schodach na piętro, gdzie czekał na mnie Widzący. Zajął sam całą wnękę okienną. Jednorożec zawracał wszystkich turystów, którzy chcieli także przyjrzeć się eksponatom z góry. Nieskalany garnitur Widzącego był teraz oszpecony - na kieszeni widniało wielkie czarne koło. Ukryłam radosny uśmiech, który mógłby zdradzić moją satysfakcję z tego małego upokorzenia zadanego

mu przez Yvesa. Nie przypominałam sobie, by komukolwiek wcześniej się to udało.

Widzący odwracał się do mnie plecami, wciąż obserwując Yvesa i Smoka, którzy krążyli wokół siebie jak dwa dzikie koty, zamierzające rozerwać jeden drugiego pazurami.

- A więc to jest twój Przeznaczony. Interesujące. Jest głupi i zuchwały, że przyszedł tu dla ciebie. Więż musi być tak silna, jak mówi legenda, że zaryzykował dla ciebie swoje życie. I dla czego? Dla dziewczyny, którą spotkał dzień wcześniej.

Niewiele mogłam na to odpowiedzieć.

- Jeśli chodzi o zabezpieczenie, wiem, jak zapewnić, żeby dotrzymał słowa. Podejdź tutaj. - Widzący skinął na mnie palcem. W miejscu publicznym nie żądał, żebym uklękła; zamiast tego wziął mnie za rękę i przykrył ją swoją. Każdy, kto na nas spojrzał, mógł pomyśleć, że to czuły ojciec klepie mnie po nadgarstku, przypatrując się wraz ze mną galerii.

Jeśli nie dotrzyma umowy i nie przyniesie nam informacji, jeśli zdradzi nas komukolwiek w Sieci Sawantów, ukarzesz go, krzywdząc kogoś, kogo kocha. I wrócisz do nas po czterdziestu

ośmiu godzinach - nic cię nie powstrzyma, nawet jeśli będziesz musiała umrzeć, żeby wrócić.

Puścił moją rękę i poklepał mnie po zszokowanej twarzy.

- Nie bądź taka przerażona, Phoenix. Gdybyś była wobec nas lojalna, z radością zgodziłabyś się to zrobić bez przymusu. Jesteś nam wierna czy powinienem jeszcze to przemyśleć, zanim pozwolę ci z nim odejść?

Proszę, nie.

- Może pan na mnie polegać.

- Grzeczna dziewczynka. Spodziewam się pełnego raportu, kiedy wrócisz. Dowiedz się tak dużo, jak możesz, na temat Sieci Sawantów. A teraz biegnij, zanim twój Przeznaczony i Smok ściągną na siebie uwagę. Już widzę, że zbierają się ochroniarze. Chyba spodziewają się kłopotów.

Skinęłam głową Jednorożcowi i zbiegłam w dół po schodach. Dotarłam do Yvesa w samą porę. Musiał obrazić Smoka, bo ten właśnie się na niego zamierzał.

- OK, gotowe! - obwieściłam radośnie, skacząc w środek gotującej się bójki. Rzuciłam się na Smoka, łapiąc go za rękę i ściskając go żartobliwie, żeby odepchnąć go z dala od Yvesa. - Cieszę się, że tak dobrze się dogadujecie, ale

musimy już iść. - Stałam na czubkach palców i przysunęłam usta do ucha Smoka. - Widzący mówi: „zachowuj się”. Nie chce kłopotów.

Gęganie przejętych strażników zgromadzonych przy głównym wejściu wyraźnie osłabło, kiedy rozładowałam sytuację. Jeden z nich powiedział coś do krótkofalówki, odwołując prośbę o posiłki.

Smok odwzajemnił mi się niedźwiedzim uściskiem.

- Powiedz swojemu przystojniaczkowi, że to nie koniec.

- Do zobaczenia. - Wyciągnęłam rękę do Yvesa. - Spadamy stąd.

Nie trzeba było go dwa razy prosić. Posłał Smokowi ostatnie wyzywające spojrzenie i wziął mnie za rękę. Natychmiast zrobiło mi się sto razy lepiej, a jego ciepło przegnało dreszcze, które czułam po moim spotkaniu na górze.

- Jak źle było? - wyszeptał, kiedy uciekliśmy bocznym wyjściem na słońce.

- Zle - przyznałam.

- Możesz mi powiedzieć?

- Tak. Myślę, że on chce, żebyś wiedział. Jeśli wycofasz się z umowy, mam skrzywdzić kogoś, kogo kochasz. Jeśli mnie nie oddasz, mam walczyć na śmierć i życie, żeby do nich wrócić.

Yves zaklął.

Przypomniałam sobie, jak niezwykle uprzejmy był dla mnie wczoraj, mimo że go prowokowałam i kilkakrotnie próbowałam go okraść. Zastanawiałam się, co robię mojemu Przeznaczonemu, że używa słownictwa, z którym zazwyczaj nie czuje się komfortowo?

- Mam na ciebie zły wpływ, prawda?

Yves otoczył mnie ramieniem. Jego znajomy ciężar był już dla mnie czymś oczywistym.

- Nie wiem dokładnie, jak to z tobą jest, Phee, ale z pewnością kilka razy podnosiło mi się ciśnienie. Wszyscy ludzie, wśród których się wychowałam, zachowują się jak potwory.

- OK. Zostałam wychowana przez wilki, przyznaję. Ale pamiętaj o tym, dobrze? Nie możesz spodziewać się, że będę zachowywać się lepiej od nich, kiedy przyjdzie co do czego.

Yves pokręcił głową.

- Nie jesteś taka jak oni.

Byłam dokładnie taka jak oni, a może nawet dzieliłam z nimi ten sam skażony kod genetyczny.

- Miło, że tak myślisz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. Nie warto na mnie stawiać.

- A jednak zaryzykuję. - Pomasował mnie po ramieniu. - Teraz jesteś dla mnie najważniejsza. Żadne potwory już nas nie rozdziela.

Wróciliśmy do mieszkania Yvesa, nie rozwiązawszy naszych najważniejszych problemów. Ja nie zamierzałam mu pozwolić, żeby dla mnie zdradził rodzinę i przyjaciół; on nie chciał mówić, co planuje zrobić. Mogłam to zrozumieć: gdyby powiedział, że nie ma zamiaru dotrzymać umowy, musiałabym kogoś skrzywdzić - nie zrobiłabym najlepszego pierwszego wrażenia na jego rodzinie. Mimo to podkreślał, że jestem dla niego najważniejsza i że mnie nie zawiedzie.

- Zaufaj mi, Phee. Wszystko się ułoży - powiedział, kiedy jechaliśmy windą.

Pokręciłam lekko głową, nie odrywając oczu od zmieniających się numerów pięter na wyświetlaczu.

- Prościej niż schodami, co? Skrzywiłam się.

- Tak. Przepraszam za tamto. Myślałam, że muszę wrócić do domu.

- Domyśliliśmy się.

- To chyba nie była dobra decyzja. Uśmiechnął się.

- Tak, mnie też się tak wydaje.

- Powinnam była zniknąć - po prostu sobie pójść. Wtedy nie znalazłbyś się w tym potrzasku.

Yves zmarszczył brwi.

- A to byłaby już bardzo zła decyzja.

Wysiedliśmy na dwudziestym piętrze i podeszliśmy do drzwi mieszkania. Yves wsadził klucz w drzwi i popchnął ciężkie skrzydło, przepuszczając mnie przed sobą. Powitał nas widok sterty bagaży w przedpokoju.

- O-o. - Yves uśmiechnął się do mnie przepraszająco.

- Przyjechali?

- Tak. Niesamowicie szybko. Musieli wskoczyć do pierwszego samolotu.

- Dopiero przyjechaliśmy. - Wysoki mężczyzna w średnim wieku wyszedł zza najbliższych drzwi z wyciągniętymi rękoma. Myślałam, że idzie do swojego syna, ale on podszedł do mnie. Omal się nie odsunęłam, ale ręka Yvesa na moim ramieniu mnie przed tym powstrzymała. Zostałam obdarzona uściskiem, który miał w sobie siłę Gór Skalistych - kamieni, lasu i rzeki. I pachniał drzewami -sosnowym płynem po goleniu. Yves już mi mówił, że jego ojciec, Saul Benedict, urodził się i wychował w Kolorado. Miał gęste, czarne, przyprószone siwizną

włosy swoich przodków i skórę ogorzałą od spędzania większości czasu na zewnątrz. Już rozumiałam, po kim jego synowie odziedziczyli wzrost: Saul miał na pewno ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Znalazłeś ją.

Yves odchrząknął, nie mogąc opanować emocji na widok szczerzej radości swojego ojca.

- Tak, tato, znalazłem.

- To wspaniała wiadomość, Yves.

Ledwie Saul mnie puścił, kiedy podbiegła do nas mała kobieta. Była nieco niższa ode mnie. Przycisnęła mnie do piersi i pocałowała w czubek mojej pochylonej głowy.

- Sprytny Yves! - zawołała gardłowym głosem.

- Miałem szczęście, mamó.

- Karla, daj biednej dziewczynie oddychać! - roześmiał się Saul.

Karla odsunęła mnie lekko od siebie, po czym tknęła swojego syna w żołądek.

- Ale gdzie ty się podziewałeś, ty niedobry chłopaku? Twoi bracia odchodzili od zmysłów - nie wiedzieli, co robić, dopóki nie przyjechaliśmy! Zed powiedział im, że wszystko będzie w porządku, i

tylko to ich powstrzymało przed powiadomieniem policji!

- Też cię kocham, mamó - odparł Yves, ściskając ją przepraszająco. - Więc wiedzieliście, że przyjdziemy?

Karla zamachała ręką, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Tak, tak, widziałam, jak przychodzisz tutaj z Phoenix, cały i zdrowy, chociaż nie wiem, co zrobiłeś, żeby ją tu sprowadzić.

Całe to rodzinne zamieszanie było jednocześnie przyjemne i nieznośne. Miałam ochotę schować się gdzieś głęboko, żeby ochronić się przed tą burzą emocji, do której nie byłam przyzwyczajona.

Do przedpokoju wszedł trzeci Benedict; to musiał być najmłodszy z nich, Zed, bo trzymał za rękę blondynkę, wyglądającą na nieśmiałą, a już wiedziałam, że jeszcze tylko on miał swoją Przeznaczoną.

- Hej, Einsteinie, widzę, że wreszcie znalazłeś swoje magiczne zaklęcie.

Zza Zeda wyskoczył Xav.

- Tak, Phee równa się ty razy ona do kwadratu. Podoba się? Długo nad tym myślałem.

Blondynka jęknęła.

- To beznadziejne, Xav.

- Ej, Sky, jesteś okrutna! Nie wiem, jak Zed z tobą wytrzyma. - Xav pociągnął ją za długi warkocz.

- Ręce precz od mojej dziewczyny! - warknął Zed, żartem odpychając brata od swojej chichoczącej Przeznaczonej.

Yves śmiał się z tej bójki, a ja zachwycałam się Zedem. Miał zmierzwione włosy, ale robił wrażenie. Ktoś przesadził z dobrym wyglądem, jeśli chodzi o tę rodzinę: żaden z nich nie był chuchrem.

Zed przerwał szamotaninę tak szybko, jak ją zaczął, i przeniósł wzrok na mnie. Roześmiał się i klepnął Xava w plecy.

- Ona się właśnie zastanawiała, czy to ja jestem najślabszy z miotu!

- Prawda zawsze wyjdzie na jaw - stwierdził Xav, szczerząc zęby.

Zarumieniłam się.

- Nieprawda! - wyszeptałam, przyciskając ręce do policzków. Jak Yves mógł żyć w rodzinie, w której kilka osób potrafiło podsłuchiwać cudze myśli?

Sky trąciła Zeda pod żebro.

- Cii, Zed, wpędzasz ją w zakłopotanie. Jej aura zrobiła się różowo-purpurowa.

- Przepraszam, Phoenix - powiedział Zed z uroczym uśmiechem.

Zmieniłam zdanie - dziewczyna nie była nieśmiała. Wydawała się mieć tego olbrzyma pod kontrolą, a poza tym miała niepokojącą zdolność dostrzegania moich uczuć.

Yves wprowadził mnie w głąb mieszkania, puszczał moją rękę, żeby uściskać Sky, a potem Zeda, i dziękując im, że przyjechali tak szybko. Nerwowo zaplotłam ręce. Czułam się zagubiona.

- Chodź do kuchni, Phoenix - odezwała się radośnie Karla. - Właśnie jedliśmy śniadanie - a może lunch? Mój zegar biologiczny kompletnie się rozregulował!

Victor czekał na mnie przy kontuarze. Zdałam sobie sprawę, że nie zostałam mu właściwie przedstawiona -naszej konfrontacji w Barbican nie można uznać za prawdziwe spotkanie. Wyciągnął do mnie rękę.

- Phoenix, jestem Victor. Starszy brat Yvesa. Jak się masz?

- Dobrze. - Mój głos zanikł razem z moją pewnością siebie. Gdzie podziewał się Yves? Ten rodzinny sprawdzian mnie przerastał.

Ciepła dłoń na moim karku uspokoiła mnie, zanim ziarno paniki zdążyło zakiełkować.

- Cześć, Vick. Przepraszam, że nie powiedziałem wam, dokąd idę. Nie mogłem. - Oczywiście Yvesa napotkały badawczy wzrok jego brata.

Victor odczytał jego wiadomość i skinął głową.

- Jasne. Rozumiem. Po prostu w przyszłości jakaś kartka z wiadomością „Nie zamierzam dać się zabić” byłaby mile widziana. Poza tym, Yves, musisz pamiętać, że masz tendencję do brania na siebie więcej, niż jesteś w stanie unieść. Następnym razem weź wsparcie.

Xav klepnął Yvesa lekko w czubek głowy.

- Odważniaczku!

To wystarczyło, żeby uciąć ich narzekania, że zamartwiali się o niego i nie wiedzieli, co się z nim dzieje. Nie byłam pewna, czy potrafiłabym być tak wyrozumiała.

- A więc odzyskałaś Phoenix - stwierdziła Karla, w zachwycie klaszcząc w ręce. - To cudownie.

- Raczej mnie wypożyczył - mruknęłam.

- Tak, to moja mała książka z biblioteki. - Yves zaprowadził mnie na stółek barowy przy wyspie kuchennej. Pomógł mi usiąść, po czym stanął za mną, podczas gdy reszta rodziny zajmowała miejsca. Przerwaliśmy im śniadanie:

kubki na wpeł wypitej kawy czekały przy talerzach z tostami posmarowanymi masłem.

Pomyślałam, że powinnam postarać się być uprzejma i wypełnić lukę w konwersacji grzecznym pytaniem.

- Yyy... Jak wam minął lot?

- Bardzo przyjemnie. Victor ma tylu pożytecznych przyjaciół. - Karla uśmiechnęła się do swojego poważnego syna. Była jedyną kobietą na ziemi, której nie onieśmielała otaczająca go aura niebezpieczeństwa. - Mieliśmy wspaniałe miejsca w pierwszej klasie. Spałam jak dziecko.

Saul przewrócił oczami.

- Dopiero kiedy przekonałem cię, żebyś wzięła pigułkę nasenną. Martwiła się o ciebie, Yves.

Mądra kobieta.

- Wyobrażam sobie. - Yves nalał nam obojgu kawy z ekspresu.

- Phoenix, powiedz nam, jak się poznaliście - powiedziała Karla, zwracając na mnie jasnobrązowe oczy. Ze swoimi długimi, rozpuszczonymi czarnymi włosami wyglądała na zbyt młodą, żeby mieć siedmiu dorosłych synów.

Zakrztusiłam się kawą. Yves wtrącił się.

- Mamo, Phee jest z trudnego środowiska. Nie jest jej łatwo o tym mówić.

Karla zmarszczyła brwi. Kiedy sprawdziłam jej wzorce myślowe, zobaczyłam, że mnie przeszukuje jak pies węszący w poszukiwaniu narkotyków.

- Karla - Sky uderzyła nożem w kubek, żeby odwrócić ode mnie uwagę. Jej angielski akcent wyróżniał ją spośród tych Amerykanów. - Znowu to robisz.

Karla wstrząsnęła się i oprzytomniała.

- Naprawdę? Przepraszam, muszę być bardziej zmęczona, niż myślałam. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Ja się przestraszyłam, kiedy zrobiłaś mi to pierwszy raz - może powinnaś dać Phoenix więcej przestrzeni?

Ta Sky była bystrą obserwatorką. A może po prostu wiedziała, jak to jest być wrzuconą w tę rodzinę bez żadnego przygotowania? Złapała mój wzrok i skinęła głową, żeby dodać mi otuchy i dać znać bez słowa, że miałam przynajmniej jednego sojusznika przy tym stole.

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł, Sky - odezwał się Saul dudniącym głosem, obdarzając Przeznaczoną swojego syna czułym spojrzeniem. - Przyjechaliśmy tu, żeby pomóc Yvesowi i Phoenix, a nie ją wystraszyć. - Czule pogładził swoją żonę po

ramieniu. - A ja czuję, że zagrożenie nie minęło. Mam rację?

Yves skinął głową.

Zamknęłam oczy, mając nadzieję, że jeśli nie zobaczę, jak zdradzam Widzącego, nie uruchomi się we mnie rozkaz Widzącego. *Powstrzymaj mnie, jeśli zaatakuję któregoś z nich*, błagałam Yvesa.

Nie wycofam się z umowy - obiecał.

Saul zmrużył oczy.

- I wyczuwam coś od ciebie, Yves. Rejestrujesz się jako zagrożenie dla nas. Mógłbyś to wyjaśnić?

Lepiej nie, pomyślałam.

- Jak mogę być dla was zagrożeniem? - spytał Yves niewinnie.

- Bardziej kimś ryzykownym - poprawił się Saul. Yves wzruszył ramionami, ale zapadła dziwna cisza.

- Co się dzieje? - Zed strącił Sky z krzesła, usiadł i posadził ją sobie na kolanach.

- Nie możemy wam powiedzieć. Żadne z nas nie może pomóc wam zrozumieć.

Na słowa Yvesa nie zareagowano oburzeniem, jak się spodziewałam, ale kolejną ciszą. Potem rodzina zdała się podjąć wspólną decyzję, by policzyć się później.

- OK... - powiedział powoli Xav po kilku pełnych napięcia sekundach. - Podajcie mi sok pomarańczowy.

Zed podał mu karton soku skinieniem ręki.

- Sky, pokażesz mi swoje ulubione miejsca w Londynie?

Benedictowie po prostu przyjęli stwierdzenie Yvesa i zmienili temat. Byli niesamowici. Gdybym była na ich miejscu, domagałabym się odpowiedzi.

Ufają mi - przeważnie - to Yves. - Chciałbym, żebyś też potrafiła.

Wytarłam dłonie w dzinsy. *Pracuję nad tym* - przyznałam. Ale nie wiedziałam, jak mógł pogodzić swoją lojalność wobec nich z tym, co mi obiecywał.

To dobrze. Pozostali członkowie rodziny byli doskonale świadomi, że rozmawiamy telepatycznie, ale uprzejmie udawali, że tego nie widzą. Yves uśmiechnął się do nich z czułością.

- A teraz powinniśmy pozwolić im się przespać. Karla wyciągnęła rękę i poklepała mnie po ramieniu.

- Dzisiaj zrób sobie wolne od zmartwień, Phoenix. Jesteś teraz wśród swoich.

Nie martw się - łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

13

Przyjazd licznej rodziny Yvesa spowodował reorganizację miejsc do spania. Państwo Benedict przejęli pokój w Victora, Sky i ja dostałyśmy dwójkę Yvesa, a chłopcy mieli dzielić królewskie łóżce Xava i kanapy w salonie. Yves zasugerował, żebym razem ze Sky poszła zdrzemnąć się na kilka godzin. Stres ostatnich dwóch dni dał mi się we znaki, a poza tym było to mniej traumatyczne niż siedzenie w kuchni i rozmawianie. Jeśli Yves zamierzał powiedzieć swoim braciom prawdę, nie chciałam tego słyszeć. Miałam nadzieję, że niewiedza ochroni mnie przed spełnieniem rozkazów Widzącego.

Sky zrzuciła buty i położyła się po prawej stronie łóżka.

- Jak dobrze. W samolocie prawie nie spałam. Wszyscy byliśmy przejęci wieściami od Yvesa.

Stałam przy drugiej krawędzi łóżka, zastanawiając się, czy będzie jej przeszkadzać, jeśli się położę obok, czy powinnam spać na podłodze.

- Co dokładnie wam powiedział? Sky poklepała materac.

- Jest mnóstwo miejsca. Połóż się.

Ochoczo rozwiązałam sznurówki, zdjęłam je i wyciągnęłam się na materacu. Sky uśmiechnęła się.

- Yves nie powiedział wiele. Wiemy, że spotkał cię na konferencji, ale masz jakieś kłopoty, bo wplątałaś się w towarzystwo złych sawantów. Powiedział, że potrzebuje pomocy, żeby wydostać cię z kraju. Saul i Victor postarają się zorganizować ci paszport. Yves myślał, że mnie może się udać lepiej zrozumieć to, skąd pochodzisz, skoro też jestem Brytyjką.

Wątpiłam w to. Jak wielu ludzi pochodzi z tak chorego środowiska jak moje?

Sky nie odstraszyło moje milczenie.

- Ile masz lat, Phee? Musisz mieć prawie osiemnaście, skoro jesteś Przeznaczoną Yvesa.

- Naprawdę?

- Ma urodziny pierwszego lipca. Nie wiesz, kiedy są twoje?

Wpatrywałam się w biały sufit. Żadnych rys, jak w moim pokoju w domu.

- Urodziny nie znaczą wiele tam, skąd pochodzę. Myślę, że pamiętam, jak moja mama robiła wokół mnie zamieszanie każdego lata, ale zmarła dawno temu, a ja nie znam szczegółów, daty ani nic takiego.

- Ja też nie wiedziałam, kiedy się urodziłam. Moi rodzice i ja wybraliśmy na urodziny dzień mojej adopcji, więc byłam trochę zszokowana, kiedy dowiedziałam się, że jestem chyba młodszą, niż sądziłam.

Jej dziwny komentarz mnie zainteresował.

- Jak to się stało?

- Zed ma urodziny piątego sierpnia, a ze względu na więź między Przeznaczonymi, moje też powinny wypadać mniej więcej wtedy. - Obróciła się na bok, żeby na mnie spojrzeć. - Ale nadal obchodzę urodziny pierwszego marca i lubię dokuczać Zedowi, że umawia się ze starszą kobietą. A moi rodzice nie zrozumieliby, gdybym powiedziała o więzi Przeznaczonych i próbowała zmienić datę.

- Nie wiedzą?

- No cóż, myślę, że wyczuwają, że między mną i Zedem istnieje coś specjalnego, ale nie jestem pewna, jak miałabym zacząć wyjaśniać to nie sawantom. Nie byłam w siódmym niebie, kiedy

Zed opowiedział mi o tym po raz pierwszy. - Uśmiechnęła się szerzej i wyczułam, że za tym zdaniem kryje się jakaś historia.

- Co zrobiłaś?

- Walnęłam go torbą z zakupami i powiedziałam, że jest głupkiem.

-Au.

- A jak to było z tobą i Yvesem? Miłość od pierwszego wejrzenia?

- Niezupełnie. Ukradłam jego rzeczy, a on sprawił, że wybuchły.

Sky uniosła w zdumieniu jasne brwi.

- O rany! To brzmi ekscytująco. A potem? Wyczułam, że mogę jej się zwierzyć, nie ryzykując, że ją

do siebie zrażę. Przez chwilę obserwowałam kalejdoskop jej myśli i zobaczyłam, że jej dar daje jej podobny wgląd w ludzi, co mnie, z tym że ona dostrzegała nastroje, a ja myśli. W tej chwili obserwowała moją aurę - moja twarz otoczona była blad różowo-szarą barwą, podobną do tej, która zwiastuje wschód słońca na horyzoncie.

- Jakiego koloru jest kłamstwo? Sky szybko zrozumiała.

- Widzisz, co robię? Skinęłam głową.

- Ostatnio trudno mi to kontrolować. Tyle czasu spędzanego z sawantami włącza moją antenę odbierającą emocje. Przeszkadza ci to?

Wzruszyłam ramionami.

- Ja widzę wzorce myślowe, więc pewnie nie powinnam mieć nic przeciwko.

Sky odgarnęła kosmyk długich kręconych włosów z twarzy.

- Żółte.

- Słucham?

- Kłamstwo jest żółte. Ty też potrafisz je dostrzec? Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

- Nie jestem pewna. Widzę, jak ludzie myślą, więc jeśli są świadomi kłamstwa, mogą się z tym zdradzić sprzecznymi obrazami przepływającymi przez ich umysł. Twoje podejście jest dużo bardziej bezpośrednie.

- Czy tylko na tym polega twój dar - to znaczy wedle twojej wiedzy?

- Nie, ja... potrafię zamrazać myśli - to działa tak, jakbym na kilka chwil wstrzymywała bieg czasu.

Sky zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Super. Może się okazać, że z Yvesem będziesz w stanie zrobić znacznie więcej. To, co się mówi o Przeznaczonych - że wzajemnie się

uzupełniają - to prawda. Kiedy pracuję z Zedem, odkrywam w sobie nowe umiejętności. Moja telekineza stała się naprawdę dobra - czasem go pokonuję, co oczywiście go denerwuje.

- Nigdy tego nie próbowałam. Myślisz, że mogę być w stanie robić inne rzeczy? We Wspólnocie... - urwałam, zmartwiona, że zdradzam zbyt wiele informacji na mój temat.

Sky spojrzała na mnie poważnie.

- Mów dalej. Myśl o mnie jak o przyjaciółce.
- Westchnęła, kiedy popatrzyłam na nią skonsternowana. - To znaczy, że nikomu nie powtórzę tego, co mi powiesz, nawet Yvesowi.

Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki; to byłoby miłe - nie żebym była gotowa przyjąć jej ofertę ledwie po kilku minutach rozmowy. Byłam na to zbyt cwana.

- Tam, skąd pochodzę, koncentrujemy się na rozwijaniu naszej głównej umiejętności. Nawet z telepatii niezbyt często korzystamy. Widzący...

- Kto to jest? - Sky zakręciła sobie kosmyk włosów wokół palca.

- Nasz lider. Korzysta z niej najczęściej, żeby przekazywać nam instrukcje. Nie chciałabym, żeby ktoś inny siedział w mojej głowie. Myślę, że wszyscy tak uważają.

- To nie brzmi, jakbyś chciała, żeby on w niej siedział.

- Tak, to prawda. - Staralam się wyrównać oddech. Samo mówienie o Widzącym sprawiało, że byłam bliska paniki.

Sky puściła kosmyk.

- Wiesz, że on nadużywa swojej władzy, prawda? Masz prawo do prywatności. Wtłaczanie swojego głosu do twojej głowy jest równie złe, co więzienie kogoś wbrew jego woli albo bicie.

Zaśmiałam się krótko.

- Tego też jest tam dużo.

Sky wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni.

- Wiem, jak to jest.

- Skąd? - szepnęłam. Była taka doskonała - filigranowa postać prosto z baśni, słodka i urocza, unosząca się w bańce miłości nad skażoną codziennością. Obok niej czułam się jak brzydki gnom, wiodący swoje życie wśród najgorszych mętów społecznych.

- Nie jestem taka, jak myślisz. Jako dziecko zostałam porzucona na stacji benzynowej po latach maltretowania - połamane kości, siniaki, wszystko. Przez wiele lat nie mówiłam, nawet zapomniałam swojego imienia.

- Co...? Jak?

- To prawda. Najpierw uratowali mnie moi rodzice, a Zed dokończył dzieła z pomocą swojej rodziny. Myślałam, że miałam ciężkie przejścia, ale teraz widzę, że miałam więcej szczęścia niż ty. Jak długo jesteś sama?

Jej zrozumienie uruchomiło lawinę emocji. Wbrew rozkazom mojego umysłu, który nie chciał okazywać słabości, łzy popłynęły mi po policzkach i spłynęły na poduszkę.

- Wydaje mi się, że od zawsze. Mama próbowała, ale była pod kontrolą Widzącego, tak jak ja teraz. Nie znam innego życia, Sky. Bardzo się martwię, że nie jestem odpowiednia dla Yvesa - ja go zniszczę. Jestem toksyczna.

Sky potrząsnęła moim ramieniem.

- Bzdura. Wszystko z tobą w porządku. To cud, że wciąż troszczysz się tak o innych.

-Ale Yves...

- Nie martw się o niego. Jest silny i potrafi o siebie zadbać, mimo to, co mówią jego bracia. Nie daj się oszukać jego wyglądowi pilnego studenta; on ma w sobie ogień.

Pomyślałam o konfrontacji w Tate.

- Myślę, że to widziałam.

- Zaufaj mu. Zasługuje, by mieć szansę wszystko wyprostować. I możesz polegać na reszcie rodziny.

Chciałam jej uwierzyć, chociaż mnie nie przekonała. Uśmiechnęłam się i ułożyłam głowę na poduszce.

- Jest cudowny, prawda? Sky się roześmiała.

-Wszyscy są. Oczywiście Zed najbardziej. - Nie zgadzałam się z tym. Wolałam mojego gładkiego lamparta od tygrysa, z którym była ona. - To dość wyczerpujące, jeśli należysz do osób zazdrosnych.

Przygryzłam wargę, zastanawiając się, jak mogę chcieć się uśmiechać zaraz po tym, jak płakałam. Moje emocje były kompletnie rozhuśtane.

- Yves podoba się starszym kobietom - wszystkie z nim flirtują.

Sky zachichotała.

- O kurczę, nie wiedziałam. Nie mogę powiedzieć Zedowi - dokuczałby mu bez litości. Jak on sobie z tym radzi?

- Wpada w zakłopotanie. To przeurocze.

- Tak, wszystkie moje przyjaciółki uważają, że on jest... no cóż, pewnie nie chcesz tego słyszeć. Ale mówiły mi - te szczęściary, z którymi się umawiał - że jest dżentelmenem w każdym calu.

Nie byłam pewna, czy tak zachowywał się przy mnie; zdaje się, że za bardzo go prowokowałam, żeby mógł zachować zimną krew.

- A Zed też przyciąga kobiety w kwiecie wieku? Sky parsknęła śmiechem.

- Nie, wszystkie przechodzą na drugą stronę ulicy, kiedy widzą, że nadchodzi. Kiedy nie myśli, potrafi wydzielać dość przerażającą aurę. To bardzo zabawne, bo jego dar nie jest ani trochę tak niebezpieczny jak dar Yvesa.

- To na tych cichych trzeba uważać.

- Na to wygląda. - Sky ziewnęła. - Gotowa na drzemkę?

Skinęłam głową, spokojna, jak nie byłam od wielu dni. -Tak.

- Jeśli wstaniesz przede mną, obudź mnie o czwartej. Obiecałam rodzicom, że zadzwonię do nich i dam znać, że bezpiecznie dolecieliśmy.

Zazdrościłam jej tylu osób, które obchodziło, co się z nią dzieje.

- Nie myśl tak - powiedziała cicho, znów domyślając się moich emocji, a może je odczytując.
- Nas obchodzisz. Nie jesteś już sama.

Tak powiedziała mi Karla. Problem w tym, że bardzo trudno było mi przezwyciężyć to, co wpajano mi od dzieciństwa. Pierwszą lekcją w tym

nowym życiu było zaakceptować, że kiedy deklarują, że ich obchodzę, jest w tym jakaś prawda.

Obudziłam się kilka godzin później. Sky wciąż spała, oddychając lekko. Zakręcone rzęsy dotykały jej bladej skóry. Wyglądała jak księżniczka z bajki czekająca, aż jej księżę zbudzi ją pocałunkiem. Sprawdziłam godzinę na zegarku przy łóżku i stwierdziłam, że wciąż ma kilka godzin do umówionej rozmowy, więc wyslizgnęłam się z łóżka i na bosaka wyszłam z sypialni.

Zerknęłam przez otwarte drzwi do pokoju Xava, zobaczyłam Zeda wyciągniętego na królewskim materacu. Ręką obejmował poduszkę, jakby odczuwał brak Sky u swego boku. Domyśliłam się, że zostawił uchylone drzwi, żeby móc usłyszeć, gdyby w naszym pokoju działo się coś złego. Ten bardziej normalny poziom podejrzliwości w stosunku do obcej osoby mnie uspokoił. Zed nie musiał wiedzieć, że nie zwrócę się przeciwko jego Przeznaczonej, a ja pochwalałam jego ostrożność. Na palcach poszłam do kuchni, gdzie znalazłam Yvesa, Xava i Victora pracujących przy laptopach.

- Cześć. - Zatrzymałam się w drzwiach, zastanawiając się, czy im nie przeszkadzam.

- Phee. - Yves wyglądał na szczerze uradowanego, że mnie widzi. - Jesteś głodna? - Odkrył talerz z kanapkami, które dla mnie przygotował. - Wszystkie są wegetariańskie.

- Dzięki. - Usiadłam na stołku obok niego, pilnie unikając zerkania w ekrany laptopów. Im mniej wiedziałam o czymkolwiek, tym lepiej.

Victor z trzaskiem zamknął swój komputer i otworzył notes.

- Phoenix, czy mogłabyś w tym czasie powiedzieć mi, co wiesz o swoich rodzicach?

Kanapka w ustach zamieniła mi się w trociny.

- Po co?

- Chcę znaleźć twój akt urodzenia, żebyśmy mogli wyrobić ci paszport. Bez tego będzie bardzo trudno wywieźć cię z kraju.

Yves trącił mnie łokciem.

- Coś nie tak z kanapką? Mogę zrobić ci inną. Myślę, że na prośbę Sky mamy nawet pewien obrzydliwy produkt o nazwie „Marmite”.

Przełknęłam kęs kanapki.

- Nie, kanapka jest w porządku. - Oczywiście, że potrzebowali dla mnie papierów, ale

czy ktoś pytał mnie, czy chcę wyjechać z kraju? - I nie gardź Marmite - to pożywienie bogów.

- Dziwnych brytyjskich bogów z akcentem cockney, którzy piją Rosie Lee?

- Tak. - Sięgnęłam po chrupek z miski stojącej pośrodku kontuaru.

- Uderzam się w piersi.

- Phoenix? - powtórzył cierpliwie Victor, wyczuwając mój unik.

- Mów do mnie „Phee”. OK, powiem ci, co wiem. Urodziłam się w Newcastle. Moja matka nazywała się Sadie Corrigan. Nie wiem, kim był mój ojciec. - Co oznaczało, że bardzo, bardzo nie chcę tego wiedzieć. Co będzie, jeśli w akcie urodzenia będzie podany Widzący? Z drugiej strony, nawet nie znałam jego prawdziwego imienia, więc może nikt go nie znał? A on na pewno nie życzyłby sobie, żeby jego nazwisko znalazło się w jakichś urzędowych papierach. - Mama zawsze mówiła, że moim ojcem był ktoś, kogo poznała na wakacjach w Grecji. Mój przyjaciel z grupy, z którą mieszkam, pamięta, jak się urodziłam. Nie jestem pewna, czy to było w szpitalu. Nie pytałam.

Victor obdarzył mnie krzepiącym spojrzeniem.

- W porządku. Jeśli twój akt urodzenia istnieje, na podstawie tych informacji uda mi się go

znaleźć. Zaczniemy od założenia, że urodziłaś się mniej więcej wtedy, co Yves. Jeśli nic nie znajdę, sprawdzę też wcześniejsze miesiące. Na szczęście masz niezwykle imię.

- Hmm - odparłam wymijająco.

Yves podrapał mnie po karku.

- Nie spytałaś, jaki jest plan. Wzruszyłam ramionami.

- Może lepiej, żebym nie wiedziała?

Xav złapał pomarańczę z miski z owocami; najpierw wyrzucił ją w powietrze, gdzie sprawił, że zawisła, a potem okrążyła stół, zanim ją złapał.

- Teraz jesteś członkiem rodziny, Phee. Wszystkich informujemy na bieżąco.

- Ale to niebezpieczne. Czy Yves wam nie wyjaśnił?

- Niebezpieczne, niebezpieczne - prychnął Xav. -W naszej rodzinie zjadamy złych sawantów na śniadanie.

Victor trzepnął go w głowę.

- Przestań żartować, Xav. Phee pomyśli, że nie bierzemy tego poważnie, jeśli będziesz się wygłupiał.

- Wyluzuj, braciszku. Phee wie, że w głębi serca jestem wrażliwy.

- Wiem?

Xav zaczął obierać pomarańczę.

- Nie bądź taka sceptyczna. Podkopujesz moją pewność siebie.

- Wątpię. Nawet przejazd śmieciarki nie podkopie twojej pewności siebie.

Yves uściskał mnie.

- Cieszę się, że tak szybko potrafisz rozpoznawać charaktery. Prawidłowo zaklasyfikowałaś go.

- Tak, przypięła mi karteczkę do palca u nogi i zamknęła w chłodni, a potem zakopła sześć stóp pod ziemią. -Xav złapał się za pierś i spadł ze stołka. - Nigdy nie dojdę do siebie po tej zbrodni na moim charakterze.

Pan Benedict pojawił się w drzwiach i stanął za swoim synem.

- Xav, jak ty się zachowujesz? Mam nadzieję, że nie dokuczysz Phoenix.

Xav natychmiast podniósł się z podłogi, starając się przybrać wygląd strony poszkodowanej. Nie udało mu się.

- Jakbym mógł? Jego bracia prychnęli.

- OK, OK, może czasami. Ale powinieneś być usłyszeć, co mi powiedziała.

Pan Benedict pokręcił głową z uśmiechem.

- Na pewno nic, na co nie zasługiwałeś. -
Wszedł do środka, żeby napić się kawy. Nalał mu
Victor. - Jak się czujesz, Phoenix? Lepiej po
drzemce?

- Tak, dziękuję - odparłam nieśmiało.
Dziwnie było widzieć wśród dorosłych synów ich
ojca. Trudno było mi zrozumieć tę relację: pan
Benedict wyraźnie był dla nich wciąż autorytetem,
w wersji złagodzonej przez czułość i szacunek.
Gdyby chciać opisać kogoś będącego dokładnym
przeciwieństwem Widzącego, jeśli chodzi o
przewodzenie ludziom, można by wskazać kogoś
takiego jak pan Benedict.

-Yves, może wyjdziecie z Phoenix na kilka
godzin, kiedy my będziemy się zajmować jej
papierami? Idźcie się rozerwać. Poznajcie się. - Pan
Benedict uśmiechnął się do nas radośnie. -
Usprawiedliwię cię przed organizatorami
konferencji, żeby się ciebie nie spodziewali. Ważne
sprawy rodzinne.

Yves podskoczył na tę propozycję.

- To świetny pomysł. Dziękuję, że się tym
zajmiesz, tato.

Powoli dotarło do mnie, że Yves zamierzał
zostawić swoją rodzinę, kiedy mieliśmy tyle decyzji
do podjęcia i tyle zagrożeń do omówienia.

-Ale...

- Bez ale, Phee. - Yves ściągnął mnie ze stołka. - Chcę, żebyś się odprężyła i rozerwała ten jeden raz.

Victor sięgnął do kieszeni i wyciągnął białą kopertę.

- Proszę, weźcie to. Yves uniósł brew.

- Miejsca w pierwszym rzędzie na Wicked - podobno świetny musical. Kupiłem je dla siebie i dla... yyy... mojej koleżanki ze Scotland Yardu, ale wygląda na to, że nie będę miał czasu z nich skorzystać.

- Mówisz może o tej eterycznej brunetce? - szepnął Xav.

Victor wzruszył ramionami.

- *C'est la vie.*

- Nasz młodszy brat niszczy nasze życie miłosne, podczas gdy sam wzbogaca swoje - poskarżył się Xav, śmiejąc się dobrodusznie. - Cieszę się, że nie tylko ja cierpię.

Pan Benedict usiadł na zwolnionym stołku.

- Kiedy spotkacie swoje Przeznaczone, dla was też będziemy stawać na głowie.

Xav przeciągnął się.

- Świetnie. Chciałbym zobaczyć, jak Yves staje dla mnie na głowie. Wszystko zwróci mi się z nawiązką.

Pan Benedict zamrugał, jakby usłyszał coś, czego nie słyszało żadne z nas.

- Yves, na twoim miejscu bym wychodził. Twoja mama niedługo wstanie, a wątpię, żeby pozwoliła wam się wymknąć bez kolejnej serii pytań.

Yves splótł swoje palce z moimi.

- Wiadomość otrzymana. Na razie. Nie czekajcie na nas.

- Oczywiście, że będziemy! - zawołał pan Benedict do naszych oddalających się pleców.

14

W foyer Shakespeare Tower Yves zatrzymał się, żeby zajrzeć do przewodnika po Londynie. Zatupałam nogą, poirytowana, że Benedictowie postanowili o mojej przyszłości, a potem zorganizowali mi popołudnie, nie pytając mnie o zdanie. Będę musiała coś z tym zrobić.

- Nie potrzebujesz mapy. - Odsunęłam mu ją sprzed nosa. - Po prostu powiedz mi, dokąd chcesz iść.

Yves uśmiechnął się i schował plan do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Zapomniałem, że jestem z miejscową.

- Tak, powiedzmy. - Zapięłam kasztanową bluzę, którą pożyczyłam od Sky. Pasowała do koszulki Yvesa, którą miał na sobie pierwszego dnia: też miała na plecach napis Rafting Górski Wickenridge. Nie mogłam utrzymać, że Londyn to moje miejsce, jak to było z nim i jego małym miasteczkiem, ale wiedziałam, jak mam się tu

poruszać. Przynajmniej w tym wypadku to ja będę prowadzić.

Yves spojrział na bilety.

- OK. Sprawdźmy, jaka jesteś dobra: Apollo Theatre? Wiele razy zdarzało mi się kraść w okolicach VictoriaStation, wieczorami, kiedy otwierały się teatry. Zastanawiałam się, czy Yvesowi przyszło do głowy, skąd się wzięła moja znajomość miasta.

- Powinniśmy pojechać na Victorię.

Yves otworzył drzwi, żeby mnie przepuścić, i ukłonił mi się żartobliwie.

- Myślałem, że najpierw zjemy coś na Piccadilly, ale oddaję się w twoje ręce. - W jego ustach ten komentarz zabrzmiał jakoś kokieteryjnie.

- Naprawdę? - Zatrzymałam się i poruszyłam palcami. - Ufasz im?

Yves wziął mnie za nadgarstki i przycisnął moje palce do ust, po czym ze śmiechem popchnął mnie za róg, skąd nie było widać wind.

- Och tak. - Ustami delikatnie musnął każdy palec, powodując, że dreszcz przeszedł mnie po rękach, kręgosłupie, a stamtąd dotarł do każdego nerwu w moim ciele.

-Yves... - Tylko dotykał moich opuszków, a ja już się rozpływałam i brakowało mi tchu.

- Hmm? - Nie przerwał swoich delikatnych zabiegów, więc jego „hmm” wpadło w rezonans z moją wrażliwą skórą. Odwrócił moją rękę i zaczął całować jej wnętrze.

- Jesteś pewien, że powinienes to robić? - Absolutnie. - Przesunął ustami po mojej dłoni, wzdłuż ręki, aż wreszcie pocałował mnie w szyję. - Nie mogę cię całować przy moich braciach, więc muszę tutaj. Od kilku godzin marzę o tym, żeby cię dotknąć - umierałem z niecierpliwości.

- Dotknąć mnie? - Spytałam piskliwym głosem.

- Mhm. Chodzisz z taką malutką zmarszczką między brwiami, wiesz o tym? - Pogłaskał mnie w tym miejscu kciukiem. - To znak, że się czymś martwisz. Chciałem ci to wybić z głowy.

Zakrztusiłam się.

- Jakbym nie miała się czym martwić!

- Ale nie teraz. Nie tutaj. - Przesunął usta w kierunku moich ust. - Masz dzień wolny od zmartwień.

Kiedy nasze usta się spotkały, nie byłam w stanie myśleć o niczym innym poza tym, że mój Przeznaczony dotyka mnie i całuje. Ten łagodny

chłopak z ogniem w sercu przełamał mój opór i sprawił, że zakochałam się w nim tak bardzo, że nie chciałam myśleć, co będzie, kiedy wrócimy do rzeczywistości. Dla mnie mogło się to skończyć śmiertelnie.

Jego ręka przesunęła się z moich łopatek na talię.

Odsunęłam się, żeby oprzeć głowę o jego pierś.

- To cudowne.

- Tak dobrze całuję? -Nie.

-Co?

Ups, znowu zadrasnęłam jego pewność siebie - a przecież to też szło mu świetnie. Myślałam o byciu przytulaną - od lat nikt mnie nie przytulał.

- Oczywiście, że cudownie całujesz. Fuknął w moje włosy.

- Powiedz mi, że jestem najlepszy ze wszystkich, a moja posiniaczona próżność może dojdzie do siebie.

Pocieszająco pomasowałam go po plecach.

- Jesteś. Jesteś jedynym chłopakiem, z którym się całowałam.

- Naprawdę? Czy Anglicy są ślepi? - przyciągnął mnie do siebie.

- Chyba nie. Po prostu nie poznałam żadnych miłych, a od złych trzymam się z daleka.

Widzący nie pozwala chłopcom zbliżyć się do mnie
- nie tym, którzy mu nie odpowiadają.

- Więc mógłbym całować okropnie, a ty i tak byś o tym nie wiedziała?

- Uwierz mi, myślę, że bym wiedziała. Gdyby jakiś pocałunek tak na mnie podziałał, zostałby zakazany.

- Masz rację. W takim razie złammy zasady.

- Przechylił moją głowę, żeby zbadać nowe możliwości.

Wreszcie odsunęliśmy się od siebie i luźno oplekliśmy ramionami.

- Będziemy tu tak stać cały dzień? - spytałam w jego splot słoneczny.

- Tak. - Przesuwał palcami po moich włosach, tak że zmierzwione końcówki sterczały we wszystkie strony. -Dla mnie bomba. Kto by chciał oglądać nudny, stary, nagrodzony musical?

Jeśli tak to ująć...

- Ja? - Nigdy nie byłam w teatrze. Nie mogłam powstrzymać dreszczu podniecenia na myśl, że zobaczę przedstawienie na żywo.

Yves jęknął.

- Ja też. W takim razie chodźmy. Ale ten deszcz nie przeszkodzi nam w całowaniu.

- Jaki deszcz? - Przyglądałam włosy, żeby były choć trochę ułożone.

- Amerykańskie powiedzenie - znaczy, że przekładamy coś na później, a nie odwołujemy.

Uśmiechnęłam się.

- OK. Zgadza się.

W metrze wpadliśmy w wir miejskiego życia. Wysiedliśmy na Piccadilly i dołączyliśmy do tłumów wjeżdżających schodami na plac z rozpoznawalną wszędzie rzeźbą Kupidyna, otoczoną budynkami z kolorowymi reklamami. Yves nalegał, żebyśmy się zatrzymali i złożyli wyrazy uszanowania strzelającemu z łuku bożkowi, i okrążył postument, aż stanęliśmy na linii ognia. Mrugnawszy do mnie, Yves udał, że strzała trafiła go prosto w serce.

- Teraz twoja kolej. - Czekał, aż pokażę to co on. Nerwowo zerknęłam za siebie, nie chcąc być przyłapana na sentymentalnych wygłupach.

- To jakaś tradycja czy coś?

W jego oczach pojawiły się błyski.

- Teraz już tak.

Szybko przycisnęłam ręce do piersi.

- Zadowolony? - Czułam się głupio. Yves skrzyżował ręce na piersi. -Nie.

Zwracaliśmy uwagę turystów na schodach. Para Koreańczyków zrobiła zdjęcia Yvesowi chwiejącemu się dramatycznie od udawanej rany postrzałowej. Wyglądali na bardzo rozczarowanych moim słabym występem.

- Możemy już iść?

- Nie, dopóki porządnie nie pokażesz trafienia strzałą. - Pochylił się bliżej. - Jego strzały to nic w porównaniu z siłą, jaka łączy Przeznaczonych.

Zdałam sobie sprawę, że będę musiała wykonać prawdziwe przedstawienie, żeby się stąd wydostać, więc wybrałam przesadę - przyjęłam cios, zakręciłam się, potknęłam i upadłam prosto w ramiona Yvesa. Turyści zaczęli klaskać.

- A teraz?

Objął mnie ramieniem.

- Wspaniale. Lepiej ode mnie. - Zatrzymał się. - Może powinienem zrobić to jeszcze raz?

Odciągnęłam go stamtąd.

- Nie, tumanie. Idźmy coś zjeść przed przedstawieniem.

- Kto to jest tuman?

- Zajrzyj do słownika i będzie tam twoje zdjęcie. -Au.

Uśmiechnęłam się złośliwie, ale w głębi ducha zastanawiałam się, czy jego żarty ze strzałą Amora coś znaczą. Wiedziałam, że się w nim zakochałam, ale nie spodziewałam się, żeby on mógł czuć do mnie coś głębszego. Jakim cudem? Rozumiałam, że więź Przeznaczonych może sprawić, że fizyczna część naszej relacji będzie bardziej intensywna niż na zwykłej randce, ale takie z góry zaprogramowane instynkty nie oznaczały miłości. Najbardziej bałam się tego, że Yves tylko udaje, że mnie lubi, bo wie, że jesteśmy na siebie skazani, a jest zbyt uprzejmy, żeby sprawić mi przykrość. Nie zniosłabym, gdyby udawał to, co czuje.

Torturowałam się tak przez całą kolację i spacer pod drzwi teatru. Z przyjemnością zauważyłam, że chociaż niektórzy ludzie ubrali się elegancko, Yves i ja nie wyróżnialiśmy się w naszych niezobowiązujących strojach, nawet na najdroższych miejscach. Bileter przepuścił nas dalej, a potem następny członek obsługi przekonał Yvesa, żeby zapłacił piątką za program z mnóstwem reklam.

- Powinni ci zapłacić za to, że to przeczytasz
- szepnęłam, kiedy zajmowaliśmy miejsca.

Yves odmówił komentowania moich uwag, godnych Scrooge'a z Opowieści wigilijnej, ograniczając się do przewrócenia oczami.

- Za piątkę można dużo kupić. - Skrzyżowałam ręce w obronnym geście. Czułam się skąpcem. Czułam się jak jedna z tych zabawkowych nagród, którą dzieci mogą wygrać na stoiskach targowych i która psuje się po pięciu minutach. Dla porównania, wokół mnie siedziały ręcznie wykonane cudeńka z działu z zabawkami w Hamleys. Dziewczyna dwa siedzenia ode mnie zdjęła skórzany płaszcz, ukazując obcisłą, czerwoną sukienkę i cudowne buty Nicole Farhi na wysokich obcasach. Zerkała na Yvesa, kręcąc zalotnie włosami, jak ja nigdy nie próbowałam, i wiedziałam, że gdybym to zrobiła, zupełnie by mi to nie wyszło. Zmierzyłam ją wzrokiem. Yves, pochylony nad obsadą, nic nie zauważył, ale to uspokoiło mnie tylko trochę. Fakt, iż ona uznała mnie za tak przeciętną, żeby nie uważać mnie za poważną rywalkę, odebrałam jako zniewagę.

- Czytałem książkę, ale nie wyobrażam sobie, jak zaadaptowali ją na potrzeby musicalu - powiedział Yves, przeglądając program.

- Co? - Odwróciłam wzrok od mojej rywalki. Była zdecydowanie w typie diamentowej Barbie.

- Wicked. To historia Czarnoksiężnika z Oz opowiedziana z punktu widzenia Złej Czarownicy z Zachodu - rodzaj prequela do książki. - Oczywiście, że mój geniusz ją przeczytał, podobnie jak każdą inną ważną książkę na tej ziemi, bez wątpienia.

- Aha. - Mimo mojego dysfunkcjonalnego dzieciństwa, ten film widziałam - Dorotka, wybrukowana żółtą kostką droga, czerwone buciki. Dzięki moim polowaniom w bibliotekach czytałam nawet książkę L. Franka Bauma. - To może być inny punkt widzenia?

Yves położył rękę na oparciu mojego krzesła i zsunął mi ją na ramiona. Uniosłam brew, na co on odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

- Płynny ruch, co?

- Nie nazwałabym go płynnym. Raczej oczywistym. -Uszczypnęłam go w kciuk.

Roześmiał się jeszcze głośniej. Widziałam niepokój na twarzy Diamentowej Laleczki. Pewnie zastanawiała się, co taki miły chłopak robi z dziewczyną o takim ostrym języku.

Yves zmierzwił mi włosy.

- Pyskata - to w tobie lubię.

Moja następna kwaśna uwaga została udaremniiona przygaszeniem świateł. Yves

delikatnie ścisnął mnie za rękę i pochylił się, żeby szepnąć mi do ucha:

- Po prostu się odpręż. Od tej pory wszystko będzie dobrze.

Przedstawienie skończyło się o dziesiątej. Wyszliśmy, kiedy ciemność połknęła niebo i pograżyła w mroku boczne uliczki.

Światło neonów trzymało noc z daleka od głównych arterii, kąpiąc nas w zimnym świetle całodobowych reklam. Trudno mi było uwierzyć, że czas tak szybko minął. Scenografia i kostiumy we wszystkich kolorach tęczy, muzyka wykonywana przez orkiestrę, aktorzy ledwie kilka metrów ode mnie: wszystko zapierało dech w piersiach. Przez cały czas siedziałam na brzegu krzesła, napawając się każdym szczegółem przedstawienia. Chciało mi się płakać z powodu niesprawiedliwości wyrządzonej Złej Czarownicy; nie miała szans w świecie, w którym standardem piękności była różowa skóra i blond włosy. My, poczwary, przegrywałyśmy w walce z Diamentowymi Barbie.

Potrzebowałam wychodzić złość, więc ruszyłam Victoria Street w kierunku podświetlonego nocą

Big Bena. Wciąż gotowało się we mnie od emocji; chciałam protestować przeciwko niesprawiedliwości, jak próbowała to robić czarownica. Yves musiał biec, żeby dotrzymać mi kroku, bo poszłam przed siebie, kiedy on zatrzymał się, żeby zamienić kilka przyjaznych słów z bileterem.

- Phee, zaczekaj! - Złapał mnie za kurtkę. - Co się stało? Myślałem, że spektakl był świetny, a ty nie?

- Tak, był wspaniały. Ale bardzo, bardzo rozzłościło mnie zakończenie.

Przyciągnął mnie do boku.

- Życie nie jest sprawiedliwe, nawet w baśniach.

- Mam ochotę przyłożyć Czarnoksiężnikowi.

Yves przygryzł wargę. Śmieszyla go moja złość z powodu fikcyjnej postaci.

- Wiem, o co ci chodzi.

- Bycie zieloną i niezrozumianą jest czymś, z czym mogę się utożsamiać - poza byciem zieloną. - Nie zniosłabym, gdyby Yves się ze mnie śmiał - i nie zamierzałam tego robić - chociaż w głębi byłam świadoma, że zachowuję się śmiesznie. - Chodziło mi o bycie niedopasowaną.

Yves skinął głową, mężnie nie naśmiewając się z mojej irytacji. Nie zrozumiał, że to, co widziałam na scenie, splotło się z moimi własnymi wątpliwościami i obawami jak bluszcz z sypiącym się murem. Jeśli żartem za niego pociągnie, cały mur może na niego runąć.

- Próbowała robić dobrze, ale okazało się, że to jednak było niewłaściwe - ciągnęłam, myśląc teraz o mojej własnej sytuacji, kiedy chciałam ochronić kogoś, kogo kochałam, i naraziłam całą rodzinę niewinnych obcych ludzi na niebezpieczeństwo.

Yves zatrzymał mnie przed kawiarnią.

- Phee, wydajesz się bardzo wzburzona jak na kogoś, kto miał spędzić przyjemny wieczór na musicalu. Myślę, że nie powinnaś podchodzić do tego tak poważnie. Może napijesz się czegoś dla uspokojenia? Gorącej czekolady? Sky mówi, że to zawsze na nią działa.

Odepchnęłam go. Miałam dosyć tego, że się nade mną trzęsie i mówi mi, co mam robić. Nie chciałam gorącego mleka i przytulania, kiedy ledwie mogłam się powstrzymać, żeby nie krzyczeć i nie rzucić cegłą w jakieś okno. Na szczęście dla Yvesa, w zasięgu wzroku nie było żadnego celu - ani Widzącego, ani żadnego z sawantów, których

spotkałam wczoraj wieczorem. Inaczej pewnie wylądowalibyśmy w areszcie.

- Nie, dzięki. Nie chcę, żebyś mnie uspokajał. Chcę... -Oddychałam płytko i boleśnie. - Chcę, żebyś mnie rozumiał!

Yves uniósł obie ręce do góry i cofnął się jak poskramiacz lwów przed atakiem niezadowolonego dzikiego kota.

- OK, OK. Czy mogę cię zrozumieć w mniej publicznym miejscu?

- Nie obchodzi mnie, co myślą inni.

- Może nie, ale ja bardzo chciałbym nie robić tego na ulicy. Przyciągaliśmy zaciekawione spojrzenia, nocni imprezowicze zaczęli obserwować toczącą się kłótnię - a właściwie jednostronną dyskusję, w której ja wyrzucałam z siebie całą moją złość i wszystkie emocje przy jego pełnej zrównowazenia akceptacji, jak fale morskie bijące w mur przystani. Przez to oczywiście poczułam się jeszcze gorzej. Yves po prostu stał w miejscu i pozwalał mi wylewać na siebie moją wściekłość.

Obrzuciłam go przekleństwem.

Yves skrzywił się, ale nie zmienił postawy.

- Phee, proszę.

Wyrzuciłam rękę w jego kierunku.

- Czemu pozwalasz mi to robić? Właśnie cię obraziłam, a ty, zamiast jak normalna osoba oddać mi i powiedzieć, żebym przestała się tak zachowywać, stoisz tutaj jak jakiś... Nelson Mandela.

Yves w zakłopotaniu przeczesał ręką włosy.

- Chcesz, żebym... żebym się z tobą kłócił? Myślałem, że chcesz, żebym cię zrozumiał.

W tej chwili nic nie potrafił zrobić dobrze. -Ty mnie nie rozumiesz. Ty mnie tolerujesz. Litujesz się nade mną. Nienawidzę tego.

- OK. Hmm... słuchaj, chodźmy gdzieś i porozmawiajmy o tym.

Zacisnęłam ręce w pięści. Miałam ochotę go uderzyć, ale wiedziałam, że tak naprawdę chcę ukarać samą siebie.

Zadzwoił telefon Yvesa. Odsunął się ode mnie, wyjął go i odebrał.

-Tak, skończyło się. Było... było dobre. Dzięki za bilety. - Zerknął na mnie. - Chyba jej się podobało. Mhm. Naprawdę? Dobra. Jasne, rozumiem. Na razie. - Wsunął telefon z powrotem do kieszeni kurtki.

Skrzyżowałam ręce na piersi, próbując wydostać się z tego nastroju, jak ktoś, kto próbuje wyciągnąć stopy z kałuży lepkiej smoły.

- Jeden z twoich braci sprawdza, jak się mamy? - spytałam zimno.

- Yyy... tak. - Zerknął przez ramię na kawiarnię. - Muszę się napić. Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Wszedł do środka i stanął w kolejce do kasy, nastroszony i napięty. Jego nowa taktyka zadziałała i poczułam się w obowiązku pójść za nim. Gdzie indziej miałabym pójść?

- Czego się napijesz? - spytał.

- Czegoś bezkofeinowego. - Byłam wystarczająco podminowana i nie potrzebowałam dodawać sobie kofeiny do krwiobiegu.

Yves zamówił dwie bezkofeinowe latte i zaproponował, żebym zajęła stolik. Usiadłam przy stoliku na tyłach kawiarni, w ciemnym kącie, w którym mogłam się nad sobą po rozczulać. Boże, byłam potworem. Yves próbował spędzić ze mną miły wieczór, a ja to udaremniłam moim chaotycznym, emocjonalnym rodeo i przejechałam go po drodze.

Ławka zaskrzypiała, kiedy usiadł. Podsunął mi wysoką szklanę jak propozycję pokoju.

- Dziękuję. - Przesunęłam palcami po gorącej szklanej powierzchni.

- Muszę cię ostrzec: Zed zobaczył, jak uciekasz. Vick zadzwonił, żeby mi powiedzieć, żebym nie zachowywał się jak osioł.

- To nie twoja wina. - Nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam. Straciłam nad sobą panowanie.

- Ten spektakl nie jest prawdziwy, wiesz? Trzask! Przez tę iskrę znowu zapłonęłam gniewem.

- Oczywiście, że wiem! Nie jestem głupia!

- Żałuję, że nie poszliśmy na Upiora w operze - stwierdził płaczliwie.

Uspokój się, Phee, uspokój się.

- Ale chociaż Wicked to fikcja, to opowiada o prawdziwym doświadczeniu - przynajmniej dla mnie. Najlepsze intencje kończą się źle. - A potem wyrzuciłam wreszcie z siebie to, co naprawdę mnie dręczyło. - Musisz mi powiedzieć, czy zamierzasz zdradzić swoją rodzinę - i Sieć Sawantów? Nie wytrzymam, muszę wiedzieć.

Yves zacisnął ręce na szklance, aż zbieleły mu czubki palców.

- Musisz mi zaufać. Wciąż unikał odpowiedzi.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobisz - więc zastanawiam się, co się stanie pojutrze. Ja ich nie

skrzywdzę. Nie możesz mnie zabrać z powrotem do tego mieszkania. - Zmiałam torebkę cukru i rozsypałam brązowy cukier na stole.

- Nie możesz im tego zrobić - ani mnie.
- Jeśli mi nie ufasz, przynajmniej zaufaj, że moja rodzina zrobi to, co potrafi najlepiej.

Palcem wskazującym pstrykałam w drobinki cukru.

- Czyli co?
- Zadba o siebie - i o nas.

Wciąż nie rozumiał.

- Ale to jest ich słaby punkt. Nie zdają sobie sprawy, że zaprosiłeś węża do ich gniazda. Nie chcę zacząć ich gryźć, ale tak się stanie, a ty o tym wiesz. Powiedziałaś Widzącemu, że dotrzymasz umowy, ale nie możesz - po prostu nie możesz. Nie pozwolę ci ich zdradzić.

Yves napił się kawy, kontrolując swoją reakcję na moje ciosy.

- Phee, nie zdajesz sobie sprawy, co naprawdę potrafię zrobić - i co potrafi moja rodzina.

Wzięłam głęboki oddech. Dotarło do mnie, że po prostu odkładałam chwilę, w której będę musiała od niego odejść. Jeśli naprawdę go

kochałam - wiedziałam już, że tak - musiałam wybrać za niego.

- Nie, nie zdaję sobie sprawy. Ale wiem, co potrafią zrobić ci ludzie, jeśli was dorwą. Myślisz, że jesteś bezpieczny - masz kochającą rodzinę, dom w Stanach - ale twoi wrogowie są wszędzie. Zabiorą ci wszystko - zerwą każdy płatek z kwiatka. Idziesz prosto w pułapkę.

- Z otwartymi oczami.

- Otwartymi, zamkniętymi, to bez znaczenia.

- Przesunęłam się na krawędź ławki. - Słuchaj, wiem, że myślisz, że uda ci się sprytnie z tego wybrnąć, ale tak nie jest. Zostałam zaprogramowana, żeby skrzywdzić twoją rodzinę i wrócić - jestem bronią, której używają przeciw tobie. Próbowaleś decydować o mojej przyszłości - bez pytania mnie o zdanie, nie myśl, że nie zauważyłam. - Trochę się zawstydził, kiedy dotarło do niego, że mam rację, co pozwoliło mi dokończyć przemówienie. - Próbowалам ignorować oczywistość. Możesz sobie planować, co chcesz, ale nie mogę z tobą zostać. Popatrz na mnie - jestem złodziejką, Yves. I nawet to lubię. - Widziałam, że to go zszokowało. Przekonywał się, że byłam bardziej ofiarą, niż przestępczynią.

- Ale nigdy nie zatrzymujesz tych rzeczy - robiłaś to, bo musiałaś.

- Dobra, dobra, powtarzaj to sobie, kochasiu. Nie jestem dobrym człowiekiem. Lubię to, bo to jedyna cholerna rzecz, w której jestem dobra. Po złej stronie jest wszystko inne, w tym związki. - Czułam, jak coś we mnie pęka. - Och, to bez sensu. Było mi... miło cię poznać. Lepiej już pójdę.

Zanim mnie dogonił, już byłam za drzwiami.

- Znowu uciekasz? Myślałem, że to już za nami. - Był wyraźnie dotknięty.

- No tak, może moja pierwsza reakcja była właściwa. - Nie zatrzymywałam się. Szłam wzdłuż Whitehall w kierunku Trafalgar Square. Yves nadal szedł za mną. Przepychając się przez tłum przy fontannach, przeszłam przez ulicę przy National Gallery i skręciłam w Strand. Słyszałam, że Yves idzie tuż koło mnie, ale nie próbował mnie zatrzymać.

- Może zobaczy pani menu? - Kelner opłacany, żeby zaganiać turystów do restauracji, stanął mi na drodze.

Zgarbiłam się.

- Nie, dziękuję. - I szybko przemaszerowałam obok. Yves nadal szedł za mną.

Kiedy dotarłam do Strand, spróbowałam go zgubić, wsiadając do przypadkowego autobusu, który właśnie zamykał drzwi. Yves wcisnął się w szparę i wsiadł za mną.

- Potrzebujesz biletu, kochana? - spytał kierowca, stukając w maszynę.

- Tak, poproszę. - Nie miałam zielonego pojęcia, dokąd jedzie ten autobus. - Jaki jest następny przystanek?

Kierowca spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Embankment.

- W porządku. - Sięgnęłam do kieszeni w poszukiwaniu drobnych.

- Nie trzeba. Ma karnet. - Yves pokazał bilety, które kupiliśmy wcześniej w metrze i które zawierały przejazdy autobusami na powierzchni.

Kierowca postanowił nie pytać, czemu obdarzyłam mojego uczynnego towarzysza wrogim spojrzeniem. Pokręcił głową i ruszył.

Opadłam na fotel obok tylnych drzwi. Yves usiadł w rzędzie za mną.

- To głupie - wymamrotałam pod nosem.

- Tak. Cieszę się, że to do ciebie dociera. - Yves pogłaskał mnie po plecach, ale ja wstałam i odsunęłam się od niego. Autobus zatrzymał się na przystanku Embankment i zadzwonił. Drzwi

otworzyły się z sykiem, a ja wyskoczyłam. Yves był znów o krok za mną. Prawie krzycząc z frustracji, wykonałam samobójczy skok przez ruchliwą jezdnię i dotarłam do wału nad Tamizą. Obok siebie miałam Iglę Kleopatry, a przed sobą, po drugiej stronie rzeki, Waterloo Station. Był to bardzo ruchliwy odcinek Tamizy. Łodzie restauracyjne unosiły się na ciemnych wodach, szklane kabiny kryły jedzących gości niczym przezroczyste krokodyle przepływające ze swoim ostatnim posiłkiem w brzuchu, a goście nawet nie zdawali sobie sprawy, że zostali połknięci w całości.

Podeszłam na sam brzeg i wskoczyłam na murek.

- Phee, co ty wyprawiasz? - Yves był zaniepokojony. Nareszcie załapał, że mówiłam poważnie.

- Wybieram. Jeśli nie odejdziesz, skoczę. - Zerknęłam ponad krawędzią. Nie miałam zamiaru się zabijać, ale nie miałam też ochoty nurkować w błotnistej wodzie pode mną. Chodziło mi o to, żeby wreszcie zostawił mnie w spokoju.

- Zejdź stamtąd!

- Kiedy sobie pójdiesz.

Yves zaklął cicho i odwrócił ode mnie wzrok, po czym uniósł ręce do góry.

- OK, wygrałaś. Pójdę. Miłego życia. - Po tych słowach obrócił się na pięcie i odszedł w kierunku stacji metra, po czym zniknął w środku.

Moje niespodziewane zwycięstwo mnie zaskoczyło. To wszystko? Tak łatwo się poddawał? Oczywiście, że tego chciałam, ale nie bardzo się starał przekonać mnie, że bym z nim została.

Czułam się głupio, stojąc tak na parapecie, więc zeskokczyłam i usiadłam na schodkach przy Igle, przyciskając kolana do piersi.

Czemu to zwycięstwo przypominało przegraną?

15

Nad Tower Bridge rozległ się grzmot. Nadpłynęły burzowe chmury i zaczęło padać. I nie było to wytworne, delikatne popłakiwanie, ale morze łez spływające z nieba, płacz bez namysłu nad tym, jak się wygląda, z ciekącym nosem i ustami otwartymi w wielkie, nieszczęśliwe „O”. Wiedziałam, jak to jest. W ciągu minuty byłam przemoczona, woda kapiała mi z rękawów bluzy i ściekała po plecach. Wstałam, chlupocząc butami. Objęłam się ramionami i zadygotałam, zamykając oczy. Mózg miałam zbyt zmarznięty, żeby pomyśleć, co robić dalej.

Złapały mnie czyjeś ręce i przytuliły do ciepłej, mokrej piersi.

- Jak mogłaś pomyśleć, że odszedłem? - spytał gorzko.

- Yves. - Pustka nagle się zapełniła, a protest przeszedł w krzyk radości.

- Widziałem, jak tu siedzisz - naprawdę myślałaś, że sobie poszedłem. Nie zaufałaś mi nawet na tyle, żeby sprawdzić jeszcze raz, prawda?
- Rozpędził się, bo wreszcie puściły mu nerwy. - A kiedy stałaś tam na krawędzi i groziłaś, że skoczysz - nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś mi coś takiego! -Ja...

- Nie chcę tego słuchać. Za każdym razem, kiedy otwierasz usta, mówisz coś głupiego, co mnie denerwuje, więc powstrzymam cię tak, jak umiem.
- Jego usta przywarły do moich w gorącym, mocnym pocałunku przyprawionym złością i frustracją. Pod moimi powiekami wystrzeliły sztuczne ognie, a w moim żołądku iskry. Czułam napięte mięśnie jego piersi, kiedy przesunął mnie pod lepszym kątem i wsunął palce pod moją koszulkę, żeby złapać mnie w talii. Dostosowując się do jego nowego oblicza, wsunęłam rękę pod pasek u jego dzinsów i dotknęłam jego pleców, opierając rękę o wgłębienie u nasady kręgosłupa. Jego skóra była ciepła i doskonała.

Yves uniósł głowę i odetchnął głęboko.

- Nie waż się mówić, że do siebie nie pasujemy. Mamy to - i o wiele więcej. Nie pozwolę ci tego odrzucić.

Proszę, nie pozwól mi, powtórzyłam w głowie. Przycisnęłam ucho do jego piersi w poszukiwaniu uspokajającego bicia jego serca.

- Obiecałem, że to załatwię, i musisz mi pozwolić dotrzymać słowa. Chociaż raz w życiu zdobądź się na to, żeby komuś zaufać - wyszeptał zawzięcie w moje włosy. - Informację, której chciał Widzący, mam już na kluczu USB. Pojutrze idziemy na to spotkanie razem. Nawet jeśli teraz uciekniesz, oboje musimy tam być, pamiętasz?

Skinęłam głową.

- Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli będziesz się trzymać planu. To moja następna obietnica.

- Ale oni wezmą te informacje i wykorzystają je, żeby zniszczyć waszą Sieć.

- Myślisz, że Sieć Sawantów nie ma swoich zabezpieczeń? Nie jesteśmy nowicjuszami w tej grze, Phee. Już od pewnego czasu walczymy z tymi ludźmi.

-Ale Widzący chce zrobić tak, żebyś stał się jednym z nich. Zmusi cię do usunięcia tych zabezpieczeń. Yves wzruszył ramionami.

- Przejście jednego z nas na ciemną stronę mocy nie sprawi, że Sieć się rozpadnie. Jest na to za silna.

- Ale mnie obchodzisz ty.

Yves zadygotał, po czym dłonią pomasował mnie po gołych plecach, próbując odwrócić moją uwagę od faktu, że nie zamierzał udzielić mi bezpośredniej odpowiedzi.

- Jesteś przemoczona.

- Ty też.

- Chodźmy do domu.

Nie ruszyłam się z miejsca.

- Nikomu nie stanie się krzywda? To kwadratura koła. Yves uniósł moją brodę do góry, żebym spojrzała mu w oczy, po czym starł mi krople deszczu z policzków.

- Twój Przeznaczony jest geniuszem, czy Sky ci o tym nie mówiła? Kwadraturę koła rozwiązuję we śnie.

Westchnęłam. Yves nie zamierzał zdradzić mi - i pewnie nie mógł - jak zamierza pogodzić zdradę swojej rodziny z tym, co wiedziałam o jego charakterze. Miał jakiegoś asa w rękawie; musiałam wierzyć, że będzie on na tyle mocny, żeby wydostać nas oboje z tego potrzasku. Mimo to nie mogłam zapomnieć, co powiedział jego ojciec: decyzja Yvesa, by się mnie trzymać, sprawiła, że stał się zagrożeniem. Nawet geniusze mogli się mylić - choćby Einstein, który wyraźnie nie trafił z

fryzjerem. Ale co mogłam zrobić? Nie mogłam się już cofnąć. -OK.

Yves uniósł brew.

- Co OK?

- Chodźmy do domu. - Odsunęłam się, żeby kichnąć. -Szybko. Zamarzam.

Yves spojrzał na ulicę w strumień nadjeżdżających pojazdów i uniósł rękę.

- Znowu taksówka?! - jęknęłam, kiedy jedna z nich zatrzymała się przy krawężniku. - Mamy bilety na metro.

Yves pokazał mi dwa przemoknięte kawałki kartonu.

- Mieliśmy bilety. A jeśli myślisz, że wejdem do metra z tobą w tych przemoczonych ubraniach, żeby mogli się na ciebie gapić wszyscy podchmieleni pasażerowie, to się mylisz.

Och. Skrzyżowałam ręce na piersiach.

- Masz rację. Taksówka to świetny pomysł. Zmarznięta i rozdygotana, ale jakoś oczyszczona tym burzliwym spotkaniem przy Embankment, skuliłam się na tylnym siedzeniu. Yves obejmował mnie ramionami, tak że mogłam oprzeć się o jego pierś. Wreszcie zaczynałam wierzyć, że nigdy mnie nie opuści, nawet jeśli oznaczałoby to, że oboje znajdziemy się po stronie ciemności.

Następnego ranka Karla i Sky koniecznie chciały zabrać mnie na zakupy ubraniowe. Moje mokre dzinsy potrzebowały prania, a żadna z nich nie miała spodni, które by na mnie pasowały. Obie były ode mnie kilka cali niższe. Włożyłam w końcu dres pożyczony od Sky - nie wyglądałam w nim najpiękniej, bo spodnie kończyły się znacznie ponad moimi kostkami. Na moją propozycję wyruszyłyśmy - same kobiety - do nowego sklepu obok katedry Świętego Pawła, by tam poddać się poważnej terapii zakupowej. Yves dał mi sto funtów, mówiąc, że będę mogła mu je oddać, ale tylko jeśli zdobędę pieniądze legalnie. Nie zapomniał mojego wyznania, że lubiłam swój zawód, i wyraźnie nadal zamierzał mnie zreformować. Wymacałam w torbie portmonetkę z nowymi, szeleszczącymi banknotami, zachwycona, że mam tyle pieniędzy i mogę wydać je na siebie.

Zanurkowałyśmy w centrum handlowym, aż znalazłyśmy sklep, który przypadł do gustu nam wszystkim. Przejrzałam wieszaki z tańszymi modelami dzinsów, z nadzieją, że któreś z nich będą na mnie pasowały. Nigdy nie pomyślałabym,

żeby poprosić o pomoc obsługę, ale kiedy tylko mama Yvesa zobaczyła, że podoba mi się jedna para, poprosiła o więcej rozmiarów tych „majtek”, które wybrałam². Sky i ja zachichotałyśmy - dziecinne, to prawda, ale Sky doskonale mnie rozumiała, bo ze swoim brytyjskim angielskim sporo się w Stanach nacierpiała. Kiedy w magazynie znalazł się właściwy rozmiar, Sky złapała bluzę z wieszaka i poszła ze mną do przymierzalni.

Wcisnęłam się w parę szarych dżinsów, po czym wyszłam z przymierzalni, żeby przejrzeć się w dużym lustrze na korytarzu.

- Co o tym myślisz?

Sky podziwiała swoją bluzę.

- To był impuls, ale myślę, że ją wezmę.

Pasowała do niej - jasny, turkusowy kolor podkreślał blask jej oczu.

- Zrób to.

Sky przyjrzała się moim spodniom.

- Wyglądają świetnie. Jesteś bardzo szczupła, a one podkreślają twoje nogi.

Wykręciłam się i przeczytałam metkę.

²Spodnie w amerykańskiej odmianie angielskiego to „pants”, co w brytyjskiej odmianie angielskiego oznacza „majtki”.

- Wiesz, nigdy wcześniej tego nie kupowałam. Sky zaczęła rozpinać bluzę.

- Nigdy nie miałaś szarych dżinsów? Są bardzo praktyczne - pasują prawie do wszystkiego. Mam ich kilka par.

- Nie, chodziło mi o to, że nigdy nie kupowałam niczego w sklepie.

To sprawiło, że zamarła.

- Jak to, nigdy?

- Kiedy nie ma się własnych pieniędzy i potrafi się zamrozić personel, żeby nie zauważył, kiedy wychodzisz, co innego można zrobić? - Zniknęłam w mojej kabinie i rozpięłam dżinsy, żeby je zdjąć. Przez szparę w zasłonie widziałam zszokowaną twarz Sky w lustrze. - Przecież nie będę chodzić na golasa.

- Ale... - Sky pokręciła głową.

- Tak, wiem, to nie fair wobec innych klientów. Złodzieje sklepowi to szumowiny społeczne. Wiem, że to samolubne i że wszyscy inni płacą, ale nigdy tego tak nie odbieram. To zbyt uzależniające. - Naprawdę była zszokowana. Może nie należało być zbyt szczerym, jeśli chciało się zdobyć przyjaciela.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będziesz musiała kraść. Przykro mi, Phee, ale to okropny sposób na życie.

- Tak, ale to wszystko, co mam.

- Co miałaś, chcesz powiedzieć - odparła z uśmiechem Sky. - Niedługo już nie będziesz musiała martwić się o pieniądze.

Włożyłam moje pożyczone dresy i wyszłam z dzinsami przewieszonymi przez rękę.

- Oczywiście, że będę się martwić o pieniądze. Nie mam nic i nie zamierzam żyć na koszt Benedictów.

Sky spojrzała na mnie spod rzęs, pochylona nad sznurówkami tenisówek.

- To ty nic nie wiesz?

- Jak widać. - Przeczesałam ręką włosy, próbując choć trochę doprowadzić je do porządku.

- Yves jest obrzydliwie bogaty.

- Chcesz powiedzieć, że Benedictowie są bogaci. Sky pokręciła głową.

- Nie, tylko Yves.

- Jak to?

Sky odwiesiła bluzę na wieszak.

- Zauważyłaś, że jest sprytny?

- Tak. Trudno nie zauważyć.

- Wymyślił aplikację zabezpieczającą na iPhone'a - wyszło mu przypadkiem, kiedy robił coś innego dla Sieci. Ludzie z Apple'a ją kupili - jest dziwaczna i sprawia, że ochrona informacji staje się zabawna - więc teraz ma mnóstwo pieniędzy na college i stał się kimś w rodzaju ich nieoficjalnego konsultanta. Chciał podzielić się pieniędzmi z resztą rodziny, ale wszyscy powiedzieli mu, żeby dał im spokój. Więc są jego. Nie znosi tego. Żartuję, że wydaje pieniądze, jak pies strząsa z siebie wodę po kąpieli w sadzawce. - Udała, że się otrząsa. - Brrr, i kolejne sto dolarów wydane!

- Miło mieć takie problemy. Sky uśmiechnęła się.

- Wiem. Spodziewam się, że mu ulżyło, że będzie miał się z kim tym podzielić. Przygotuj się, że obsypie cię dolarami. Mam nadzieję, że czujesz się teraz mniej winna, że kupujesz džinsy za jego pieniądze.

Przypięłam džinsy z powrotem do wieszaka.

- Zwrócę mu je. Nie jestem... no wiesz... naciągaczką czy jak to się nazywa.

- Nigdy tak o tobie nie myśleliśmy.

W tym momencie Karla wpadła do przymierzalni z górą ubrań przewieszoną przez ramię.

- Kochane, mam coś dla was. Nie mogłam się oprzeć! Ku mojemu zaskoczeniu, Sky zbladła.

- O nie - szepnęła do mnie.

- Mój Yves kupi ci dzinsy, ale ja sprezentuję wam obu po sukience. - Karla przycisnęła ręce do piersi. - Nigdy nie miałam córek - wy mi je zastępujecie.

- Yyy... dziękuję - wymamrotałam, zakłopotana entu-zjazmem, z jakim chciała przygarnąć nas do swojej matczynej piersi.

Karla poklepała mnie po policzku.

- Po siedmiu chłopcach to dla mnie wielka przyjemność. Włóżcie je, koniecznie!

Przeniosłam uwagę na ubrania, które ze sobą przyniosła. Oho.

Sky uśmiechnęła się słodko do Karli.

- Może zaczekasz na zewnątrz, żebyśmy mogły się przebrać i pokazać ci się w pełnej krasie?

Karla spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- I może znalazłabyś coś dla siebie? - ciągnęła Sky. Karla pojaśniała na twarzy.

- Masz rację! Zobaczę, czy mają takie w zielonym kolorze. - Obróciła się i wyszła za zasłonę, przenosząc swoją nieposkromioną energię na teren sklepu.

- O mój Boże - jęknęła Sky. - Co tym razem wybrała? - Sięgnęła po ubrania i podniosła różową suknię z falbanami. - To twoja czy moja, jak myślisz? - spytała, parszając histerycznym śmiechem.

- Co... to jest? - Podrapałam się po głowie, zastanawiając się, jak Karli udało się znaleźć coś tak okropnego. Sukienka wyglądała jak połączenie sukni ślubnej i takiej, którą nosi się na przyjęciach. Kiedy ma się pięć lat. - Myślisz, że to miał być żart?

Sky zmarszczyła brwi.

- W tym sklepie? Tak. Może zadziałałoby w komplecie z emu. Ale nie na mnie. Kate Moss mogłoby to ująć na sucho, ale ja wyglądałabym na słodką ośmiolatkę. Ale uprzedzam cię, w przypadku Karli to wcale nie jest żart. Ona chciałaby, żeby każda dziewczyna ubierała się jak księżniczka z Disneya. Ja zazwyczaj chodzę z nią na zakupy tylko wtedy, kiedy mam dla ochrony swoją mamę. Ona jest dobra w przekonywaniu Karli, żeby zrezygnowała ze swoich najgorszych wyborów.

Ostrożnie podniosłam pudrowo-niebieską wersję tej samej sukienki.

- To co robimy?

Sky schowała się za zasłoną i zaczęła przebierać się w różową suknię, z mojej miny wnioskując, że nigdy nie brałabym pod uwagę tego koloru.

- No cóż, możemy albo obrazić kogoś, kto tylko chce nam sprawić przyjemność, albo przełknąć to i cierpieć.

Zrezygnowana, zdjęłam bluzkę.

- W tym drugim jestem dobra.

Sky, z głową w sukience, zaczęła chichotać.

- Właściwie, Phee, mam cudowny pomysł. Zostańmy w nich i wypróbujmy je na naszych chłopcach - zobaczymy, jak zareagują. To ich postawi w bardzo trudnej sytuacji - my w ubraniach wybranych przez ich matkę. Umrą, próbując nikogo nie obrazić.

- Jesteś pewna?

- O tak, jestem pewna.

Wzajemnie zapięłyśmy sobie suwaki na plecach, kiedy wróciła Karla, tym razem z pustymi rękoma. Zakryła sobie usta ręką.

- O mój Boże, jak pięknie wyglądacie! Wyglądałyśmy jak osoby odrzucone po przesłuchaniu do Dźwięków muzyki.

- Muszę je kupić - one muszą być wasze! - Karla pomachała kartą kredytową jak różdżką. - Jaka szkoda, że nie mieli takiej zielonej dla mnie. Z

drugiej strony to raczej styl dziewczęcy. Ja wyglądałabym głupio.

A my nie wyglądałyśmy?

- Karla, Phee spytała mnie, czy możemy w nich zostać, bo moje spodnie i tak na nią nie pasują. - Sky trąciła mnie łokciem, kiedy otworzyłam usta, żeby zaprotestować.

- Oczywiście! Dajcie mi tylko metki i nowe spodnie, a ja za wszystko zapłacę. Będziemy musiały znaleźć dla was buty do sukienek, zanim wrócimy do domu.

Zniknęła, zanim zdążyłam przekazać jej pieniądze, które dał mi Yves.

Sky zaczęła składać swoje ubrania.

- Dzięki Bogu moi dawni koledzy mieszkają w zachodnim Londynie.

- Czy to nie trochę drogi żart? - Poprawiłam dekolt w serduszko.

Sky uśmiechnęła się.

- Nie. Nie wyszłybyśmy stąd bez jakiejś wątpliwej urody sukienki, a tak będziemy mogły mieć z tego zabawę. Poza tym - zrobiła zeza w moim kierunku - styl księżniczki z Disneya bardzo do ciebie pasuje.

Rzuciłam w nią dressem.

Kiedy zbliżyliśmy się do mieszkania, Sky zatrzymała mnie i zamknęła oczy.

- Przygotowuję grunt - wyjaśniła. - Chcę, żeby Zed i Yves przyszli do nas sami.

Karla pożeglowała do kuchni, rozdając całusy zgromadzonym tam starszym Benedictom i częstując ich opowieściami o naszych przygodach w sklepie. Telepatyczna wiadomość, którą Sky wysłała Zedowi i Yvesowi, sprowadziła ich do salonu. Widziałam ich odbicia w szybie okna naprzeciw drzwi. Obaj stali przy kanapie i zastanawiali się, czego chcemy.

Sky wyszczerzyła zęby i złapała mnie za nadgarstek.

- Bądź poważna. W ten sposób będzie im trudniej -szepnęła.

Potem weszliśmy do pokoju.

- Cześć, kochanie. Zakupy z twoją mamą były fantastyczne. - Sky puściła moją rękę i pocałowała Zeda w policzek. Wyciągnęła ręce i obróciła się na palcach. - Co o tym myślisz?

Uśmiechnęłam się nieśmiało do Yvesa.

- Twoja mama koniecznie chciała je nam kupić. To moja pierwsza sukienka.

Dobre. - Głos Sky rozbrzmiał w mojej głowie - nie jak najeźdźca, ale jak miły gość. - Podręcz go jeszcze.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na świecący materiał.

- Nie byłam pewna, ale pomyślałam, że do mnie pasuje. Z odpowiednimi butami i dodatkami.
- Pokazałam moje nowe niebieskie czółenka. - No wiesz, chciałam wyglądać ładnie.

Yves wytrzeszczył oczy. Było mi go trochę żal.

- Mmm... Phee, nie wiem, co powiedzieć. Moja radosna mina przygasła.

- Myślisz... myślisz, że wyglądam w niej okropnie? - Spytałam przekonująco zaniepokojonym, cienkim głosem.

Yves położył mi ręce na ramionach.

- Nie, wyglądasz świetnie. Zawsze wyglądasz świetnie, niezależnie od tego, co na siebie włożysz.

Zed się roześmiał.

- Au. Tego nie należy mówić.

- Chcesz powiedzieć, że wyglądam w tym, tak jak w normalnym ubraniu? - spytałam, marszcząc czoło.

- Tak, to znaczy, nie, wyglądasz w niej uroczo. Naprawdę. - Yves spiorunował wzrokiem brata, który pękał ze śmiechu na jego próby bycia

uprzejmym. Szybko przyjrzałam się wzorcom myślowym Yvesa i zobaczyłam gorączkowy wir myśli, kiedy próbował znaleźć właściwe słowa. Jego zdaniem sukienka była okropna.

Sky zwróciła ich uwagę z powrotem na siebie.

- Zed, czy to nie jest zabójczy strój?

- Stanowczo zabójczy, kochanie -
odpowiedział z żartobliwą powagą.

- To dobrze, bo kupiłam jeszcze pięć identycznych. Zed podniósł ją do góry i okręcił dookoła.

- Jesteś okropna, ty złośliwa wróżko. Jeśli naprawdę masz więcej tych modowych katastrof w twoich torbach, w grudniu powieszę cię na czubku choinki.

Sky zmarszczyła nos, wciąż dyndając stopami nad podłogą.

- Nie dałeś się nabrać?

Zed pocałował ją w czubek nosa.

-Ani na sekundę. Znam moją matkę. I znam ciebie. Przy Phee nie byłbym taki pewien. Yves wyglądał na zbitego z tropu.

- O co chodzi?

- Dziewczyny chciały cię nabrać, braciszku. Przyzwyczajaj się do tego.

- Chcesz powiedzieć, że to żart? - Yves westchnął z ulgą. - Dzięki Bogu. - Pochylił głowę ku mojej. - Wyglądasz, jakbyś miała stanąć z parasolką na pudełku z ciastkami.

Dygnęłam.

- Dziękuję panu.

Xav wybrał tę chwilę, żeby wejść do pokoju. Kiedy zobaczył mnie i Sky w ramionach swoich braci, przez sekundę wyglądał, jakby dostał w twarz, ale potem uśmiechnął się, odzyskując dobry humor.

- Obie wyglądacie okropnie - powiedział pogodnie, wycofując się. - Przepraszam, że przeszkodziłem.

Sky odsunęła się od Zeda.

- Xav, nie wychodź. My się tylko wygłupiamy.

- W porządku. Wygłupiajcie się dalej. - Wrócił do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

- Niech to szlag - mruknęła Sky. Zed pogładził ją po ramieniu.

- Nie martw się o niego. Yves, jak tam lokalizator sawantów? Wciąż mamy pięciu braci do sparowania.

- Pracuję nad tym. - Yves puścił mnie. -
Prawie skończyłem pisać program. Powiedz mi,
Phee, że masz inne ubrania.

Skinęłam głową.

- Tak. Zaraz wracam.

Kiedy wychodziłam, usłyszałam, jak Zed
szepcze do Yvesa:

- O mały włos, braciszku, o mały włos.

16

Godzinę później pan Benedict dyskretnie zapukał do drzwi i pojawił się na progu mojej tymczasowej sypialni. Po dekadenccko długim, ciepłym prysznicu byłam zajęta malowaniem paznokci u stóp, z pomocą Sky. Nalegała, żebyśmy dla zabawy pomalowały każdy na inny kolor. Byłyśmy otoczone naszymi zakupami, które wysypywały się z toreb jak prezenty na dziecięcym przyjęciu urodzinowym.

- Nie przeszkadzam? - spytał uprzejmie. Wyczułam, że będąc ojcem samych synów, nie wiedział, jak się zachować w takiej sytuacji.

- Absolutnie nie. Już prawie wyschły. - Czułam się trochę dziwnie przyłapana z uniesionymi do góry tęczowymi palcami, a on był wyraźnie zakłopotany, że przerywa nam dziewczynskie zajęcia.

Pan Benedict wycofał się.

- Przyjdź do kuchni, kiedy będziesz gotowa.

- Brzmi poważnie. - Sky schowała buteleczki z lakierem z powrotem do kosmetyczki. - Lepiej pójdę z tobą, udzielenie ci wsparcia moralnego.

Poszłam do kuchni. Towarzystwo Sky dodawało mi otuchy. Yves, pan Benedict i Victor siedzieli wokół laptopa.

- Hej, Phee, wszystko w porządku? - spytał Yves. Sądząc z jego mokrych, sterczących włosów, on też wziął prysznic.

- Hmm - odpowiedziałam, nie chcąc decydować, zanim nie dowiem się, o co chodzi.

Victor spojrzał na mnie, zarejestrował barwne paznokcie i uśmiechnął się.

- Widzę, że Sky już ma na ciebie wpływ, co? Poruszyłam palcami.

- No... tak.

- Nie bój się, kochanie. - Pan Benedict uśmiechnął się ciepło i skinął na mnie, żebym podeszła bliżej. Wzruszyło mnie to zwyczajne użycie czułego słowa. Wiedział, że przeze mnie jego syn stał się zagrożeniem dla ich szczęścia rodzinnego, a jednak wciąż byłam mile widziana.

- No cóż, wszyscy jesteście tacy poważni, co ona ma sobie pomyśleć? - Sky minęła mnie i zerknęła na ekran komputera. - Och, rozumiem.

- Co się dzieje? - Oparłam się o kontuar, próbując przybrać niedbałą pozę, ale spodziewałam się, że w każdej chwili mogą mnie stąd wyrzucić. Czy odkryli, kim jest mój ojciec? Może dlatego zachowywali się z rezerwą? Yves nawet na mnie nie spojrzał.

- Myślę, że znaleźliśmy cię w rejestrze - wyjaśnił Victor. - Sprawdź sama.

O Boże, miałam rację. Zmusiłam się, by przejść odległość do komputera, gdzie Victor wyświetlił kopię mojego aktu urodzenia. Było na nim nazwisko mojej matki oraz data i miejsce mojego urodzenia - 2 lipca w szpitalu w Newcastle. W rubryce „ojciec” urzędnik wpisał „nieznany”. Yves objął mnie ramieniem.

- Przykro mi. Szkoda, że nie udało nam się więcej dowiedzieć.

Poczułam ulgę i cały mój strach uleciał. Zostałam ułaskawiona. Martwili się, że będzie mi przykro, że nie mam ojca, podczas gdy było odwrotnie. Moja tajemnica była wciąż bezpieczna.

- Nieważne. Nic się nie stało.

Victor obdarzył mnie uważnym spojrzeniem; myślę, że wiedział, iż coś ukrywam.

- Nie powiedziałbym, że to nieważne. Na tej podstawie powinnaś być w stanie znaleźć rodzinę

twojej matki. Mamy też jej datę urodzenia. Możesz mieć dziadków, ciotki i wujków - nigdy nic nie wiadomo. - Wybrał opcję „wydrukuj”.

- No tak. - W tej chwili nie miałam ochoty się tym zajmować. Pozwalałam sobie na prywatne świętowanie faktu, że oficjalnie nie miałam ojca.

- Dobra wiadomość to taka, że będzie nam łatwiej wywieźć cię z kraju, bo nikt z rodziny się temu nie sprzeciwi. Porozmawiam ze znajomymi w Home Office, poproszę ich o przysługę i zobaczymy, czy na tej podstawie uda nam się wyrobić ci paszport. Jesteś prawie pełnoletnia, więc nie powinni się tym przejmować. Będę potrzebował twojego zdjęcia.

- Pewnie. Na Liverpool Street jest miejsce, gdzie można je zrobić. - Staralam się przybrać ton oficjalny i zostawić za sobą skomplikowane kwestie pokrewieństwa.

- Najlepiej idźcie teraz - zwrócił się Victor do Yvesa, chowając kopię aktu urodzenia do pokrowca na laptop. - Kiedy wszystko się skończy, nie będziemy chcieli długo zostawać w Londynie.

Byłoby miło, gdyby spytali, czy zamierzam z nimi pojechać. To mi coś przypomniało. Zatrzymałam się w drzwiach.

- Zapomniałam, ci źli mają dane Yvesa z paszportu. Widziałam kopię strony ze zdjęciem - w ten sposób mogłam go zidentyfikować pierwszego dnia. Nie wiem, jak ją zdobyli. Żaden z nich nie powiedział.

- Naprawdę? - To zainteresowało Victora. - Jeden z nich musi przeszukiwać nasz system. Ciekawe, czy to znaczy, że wiedzą, ilu nas tu teraz jest. Mieliśmy nadzieję, że nie dotarło do nich, że posłaliśmy po posiłki.

- Mogli to mieć ze Stanów - tę kopię paszportu. - Przycisnęłam palce do czoła, bo poczułam ból za lewym okiem. - Widziałam kogoś z Nowego Jorku, kto wiedział o was. - Starłam się oszukać mój mózg, że nie łamałam żadnych reguł, tylko powtarzałam, co widziałam, a nie to, co usłyszałam. - Byli też inni - z Moskwy, Pekinu i Sydney. - Zemsta Widzącego przyprawiała mnie o ból głowy, ale musiałam powiedzieć Benedictom tak dużo, jak się da. Nie mogłam znieść myśli, że będą nieprzygotowani. Nie tylko o Widzącego powinni się martwić. - Wszyscy spotkali się na naradę.

- Phee, zamknij się. - Yves wyjął chusteczkę i wytarł mi twarz. - Zaczynasz krwawić z nosa.

Victor rzucił mi zaniepokojone spojrzenie.

- Doceniam, że nam to mówisz, Phee, ale już wiemy, że w Londynie jest teraz grupa złych sawantów. Dlatego tu jesteśmy.

- Rozumiem. - To wszystko zmieniało. Miałam nagłą wizję siebie wpadającej pomiędzy taksówkę wodną a nabrzeże Tamizy, złapaną między dwie nieubłagane siły. Sawanci doskonale wiedzieli o istnieniu drugiej grupy; tylko ja byłam tak głupia, by nie zdawać sobie z tego sprawy, i znalazłam się w pułapce między nimi.

Yves pokierował mnie na krzesło, żeby mogła opuścić głowę.

- Nie mów jej nic więcej, Vick. To nam nie pomaga. Nie byłam tego taka pewna. Niewiedza doprowadziłaby mnie do popełnienia błędów, na przykład migreny i krwawienia z nosa, kiedy próbowałabym im powiedzieć coś, co już wiedzieli.

Vick, przechodząc, ścisnął mnie za ramię.

- Myślę, że możemy zrezygnować dziś ze zdjęcia. Powinnaś odpocząć.

Krwawienie ustało, kiedy tylko przestałam zdradzać tajemnice Widzącego.

- W porządku. Zaraz poczuję się lepiej.

- Zgadza się z Victorem - odezwał się pan Benedict, jakby wydawał rozkaz niczym łaskawy sędzia pokoju przewodzący rodzinie. - Dopiero co

cię znaleźliśmy, Phoenix, i z tego, co powiedział mi Xav, musimy o ciebie dbać. Polecam spędzenie dnia na kanapie i oglądaniu filmów. Jestem pewien, że Yves z radością odda się do twojej dyspozycji. - Z jego słów domyśliłam się, że chcieli trzymać mnie z dala od niebezpieczeństwa. Nie mogło umknąć ich uwadze, że za każdym razem, kiedy wychodziłam, próbowałam uciekać.

Usiadłam. W głowie mi się kręciło, ale postanowiłam udawać, że o niczym nie wiem.

- Brzmi fantastycznie. Chyba nigdy nie miałam dnia wolnego.

- Więc odpocznij sobie. Do zobaczenia później. - Pan Benedict zatrzymał się, żeby po ojcowsku pocałować Sky na do widzenia. Zawahał się, po czym zrobił to samo ze mną. - Przyślę Zeda z powrotem, kiedy Xav go zmieni.

Oparłam się o Yvesa.

- Dokąd wszyscy idą? Yves wzruszył ramionami.

- Chyba lepiej, żebyśmy nie pytali.

Miał rację. Benedictowie podzielili się na grupy, z których każda zajmowała się innymi sprawami. Jedną z nich było uczynienie mnie „legalną”. Nie chciałam zgadywać, co robili pozostali.

- To co obejrzymy?

Yves wziął mnie na ręce, ignorując moje piski i śmiech Sky, i zaniósł mnie na kanapę w salonie.

- Tylko nie Czarnoksiężnika z Oz. Nie dam rady znowu kłócić się o prawa zielonoskórych czarownic.

Prawie się uśmiechnęłam, ale wciąż za bardzo przeżywałam wczorajszy wieczór, żeby mieć do niego dystans i uznać moje zachowanie za zabawne. Byłam tak rozchwiana emocjonalnie, że wstyd mi było to wspominać.

Sky weszła do salonu i rzuciła mi płytę na kolana.

- Proszę. Zakochana złoźnica, klasyka. Yves?

Yves wyjął płytę z opakowania i przykucnął przy odtwarzaczu, żeby uruchomić film. -Tak?

- Nie będziesz psuł nam rozrywki, okraszając ten film przemądrzałymi komentarzami na temat historii kinematografii...

- Sky, no coś ty, jakbym mógł?

- Mógłbyś. Nie będziesz nam też opowiadał, że intryga przypomina Poskromienie złoźnicy pod każdym względem: scenariusz, charakter postaci itd., itp., ani podsumowywał seansu recenzją wszystkich innych filmów bazujących na sztukach Szekspira.

- A więc nie chcesz usłyszeć mojej analizy porównawczej Hamleta i Króla Lwa?

Sky skrzyżowała ręce na piersi. -Nie.

Yves westchnął z rezygnacją.

- Tak, szefowo.

- Zrobisz nam za to popcorn w mikrofalówce.

Yves wstał i zasalutował. Potem pochylił się nade mną i szepnął:

- Jest mała, ale niebezpieczna - pomyślałem, że powinnaś to wiedzieć, jeśli macie się zaprzyjaźnić.

- Już się przyjaźnimy - odparła Sky stanowczo. - A ty zasłaniasz mi ekran.

- Tak, psze pani. - Yves uciekł do kuchni.

- Dobrze do nich pasujesz - skomentowałam, opierając wysoko nogi i przykrywając się kocem.

Sky prychnęła.

- Na początku nie tak bardzo. Celowali do mnie z broni. Nie uwierzyłam jej.

- Jesteście jak rodzina. Yves uważa cię za siostrę. Jej niebieskie oczy przybrały poważny wyraz.

- Oni są moją rodziną, Phee. A teraz ty także. Potrzeba nam trochę czasu, ale się dopasujemy.

- Hmm.

Sky przykryła mi stopy kocem.

- Nauczyłam się jednego: rodzina biologiczna potrafi być pułapką; tylko ta, którą sama sobie tworzysz, daje ci dom i ludzi do kochania. - Zanim zdążyłam skomentować, Sky odrzuciła głowę w tył i roześmiała się, wyrzucając ręce w górę. - Tylko mnie posłuchaj: taka młoda, a taka mądra. Już nic nie mówię. Wciśnij „play” i przygotuj się na mnóstwo śmiechu.

Potem dzień minął szybko. Zdałam sobie sprawę, że Yves i Sky mnie pilnują, podczas gdy pozostali członkowie rodziny przychodzili i wychodzili. Późnym popołudniem dołączył do nas Zed. Spędził je, grając w karty z Yvesem, podczas gdy Sky i ja oglądałyśmy łzawe filmy. Połowę gry zajęła im kłótnia: Yves twierdził, że Zed oszukiwał, korzystając ze swojego daru widzenia przyszłości, a Zed bronił się, że to nic dziwnego, skoro jego brat ma zamiast głowy cholerny komputer. Nie było jasne, kto w końcu wygrał - myślę, że żaden z nich, bo skończyli, okładając się na podłozie wśród fruujących kart. Martwiłam się, że zrobią sobie krzywdę, ale Sky roześmiała się i powiedziała tylko, żeby byli ciszej.

Po bójce Yves przyszedł do mnie - zgrzany i rozczochrany.

- Nic ci nie jest? - spytałam.

Yves wcisnął się pomiędzy mnie i oparcie kanapy, tak że częściowo siedziałam mu na kolanach.

- Nie. Ale Zedowi tak - to mięczak.

Zed rzucił w niego poduszką, którą Yves spokojnie odbił przy użyciu telekinezy. Poduszka spadła na podłogę jak ustrzelony gołąb.

- Chłopcy, chłopcy, zachowujcie się - skarciła ich żartobliwie Sky. - Phee, wyglądasz na dogłębnie zszokowaną.

- To w ten sposób zachowują się rodziny? - spytałam.

- Dużo z nich - potwierdziła. - Przykro mi.

- Nie, nie, podoba mi się to.

- Podoba ci się, że mój starszy brat właśnie zbił mnie na kwaśne jabłko? - Zed, kuśtykając, podszedł do fotela. - To chuligan.

Ta skarga brzmiała podejrzenie w ustach chłopaka, który wyglądał, jakby potrafił unieść samochód, nawet się przy tym nie pocąc.

Yves wyprodukował deszcz iskier nad głową Zeda, który przepędził je jak chmurę irytujących komarów.

- Przestań, Brains, albo opowiem Phee o twoich poprzednich żonach.

- Co takiego? - spytałam ze śmiechem. Yves jęknął.

Zed wyszczerzył zęby, wiedząc, że znalazł doskonały sposób, by zawstydzić swojego brata.

- O tak, Yves żenił się przynajmniej trzy razy, za każdym razem z uroczą małą dziewczynką.

- W przedszkolu - warknął Yves.

- Tak. Nie sposób było mu się oprzeć. Podzieliły się nim między sobą: Mary-Jo grała rolę żony w poniedziałki, Cheryl w środy, a Monica w piątki.

- Spalisz się za to - wymamrotał Yves.

- A co się działo we wtorki i czwartki?

- Mama zatrzymywała go w domu. Przecież nasz kochaś musiał trochę odpocząć, prawda?

Sky przysiadła na oparciu fotela Zeda.

- Och, podoba mi się ta historia. A jak to było z tobą? Zed uśmiechnął się ironicznie.

- Nie wolno mi się było bawić, bo byłem niegrzeczny i złośliwy. Yves zawsze był rodzinnym dżentelmenem- doskonały materiał na męża dla małolat. Mama musi gdzieś mieć ich zdjęcia, pewnie zachowała je na jego wielki dzień. Phee, nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Uśmiechnęłam się do niego niepewnie. Miło było po-żartować, ale Zed mówił tak, jakby było

pewne, że się z Yvesem pobierzemy - ja nawet sobie tego nie wyobrażałam.

- Nie musisz się martwić. Przecież nie mogę wyjść za bigamistę.

- Och, on jest wolnym człowiekiem. - Zed nie dostrzegł, że poczuliśmy się z Yvesem niezręcznie. - Rozwody były brutalne - łzy, rozbite zabawki - a to tylko ze strony Yvesa. Myślę, że teraz się przyjaźnią - czy w tym roku nie pracowałeś z Mary-Jo nad projektem?

- Tak. Ona będzie studiować w Princeton. Ze swoim chłopakiem. - Yves wstał, sygnalizując zmianę tematu. -Zjadłabyś coś, Phee?

- Chętnie.

- Zrobię dla nas makaron - co wy na to?

- Świetnie. Zostanę asystentką kucharza.

Yves wziął mnie za rękę i zaprowadził do kuchni.

- Możesz mi asystować, siedząc na stołku i dotrzymując mi towarzystwa. Chcę, żebyś mi obiecała, że nie będziesz wysłuchiwać kolejnych głupich historyjek mojego brata. - Zmarszczył czoło. - Braci - poprawił się.

- Nie jestem pewna, czy mogę ci to obiecać.

- To nie fair. - Wyciągnął ciężką patelnię z szafki i postawił na kuchence.

Było coś niezwykle pociągającego w Yvesie, kiedy gotował, ta mała zmarszczka, oznaczająca skupienie, kiedy planował atak na nasze kubki smakowe. Nie wrzucił po prostu mnóstwa makaronu na patelnię, jak ja bym to zrobiła, ale przyrządził sos od początku, krojąc i szatkując, rozgniatając i mieszając z taką uwagą, z jaką wykonywał pewnie swoje naukowe eksperymenty. Gotował, jakby tworzył nową formułę, wypróbowywał smak, prosił, żebym spróbowała i stwierdziła, czy dobrze przyprawił, a wszystko po to, by osiągnąć idealną równowagę. Pozwolił mi zetrzeć parmezan, ale to był jedyny kawałek terytorium, jaki zamierzał mi odstąpić. A kiedy przyszło do podawania, nie nabrał po prostu makaronu na talerze; nie - zaserwował nam porcje posypane serem i udekorowane bazylią.

- Obiad podano - powiedział żartobliwie, ze ścierką przerzuconą przez ramię jak u kelnera.

Zed i Sky dołączyli do nas przy kontuarze.

- Wow, uwielbiam, kiedy Yves gotuje! - zachwyciła się Sky.

Musiałam się zgodzić: to było najlepsze domowe jedzenie, jakiego kiedykolwiek próbowałam.

- Zdrajczyni. - Zed nalał nam wody z lodem.

- A ty potrafisz tak gotować? - spytałam. -
Tak.

- Nie - odparli jednocześnie Yves i Sky.

- Prawdziwi mężczyźni nie gotują. Prawdziwi mężczyźni grillują. - Zed wyszczerzył zęby w uśmiechu, wiedząc, że jego argument był nie do obronienia. - Mój brat jest taki metroseksualny - ma wszystkie umiejętności chłopca z miasta. Martwię się o niego.

- Martw się o siebie - zadrwiła Sky. - W naszym domu będzie równy podział obowiązków, a ja odmawiam jedzenia przypalonej pizzy. Kiedy wrócimy do domu, zapisuję

cię na kurs. Żadnego całowania, póki nie ugotujesz mi przyzwoitego posiłku. Yves zachichotał.

- Zemsta jest słodka.

Zed przez chwilę wyglądał na zaniepokojonego, ale w końcu się uśmiechnął.

- Nie wytrwasz. - Przyciągnął Sky bliżej i złożył jej pocałunek na ustach. - Proszę. Mówiłem.

- Zero pocałunków, kiedy wrócimy do domu i znajdę dla ciebie kurs - odparła Sky, niespeszona.

Zed skrzyżował ręce na piersi i odsunął pusty talerz.

- Ona nie wytrzyma.

- Zobaczymy. - Przez kilka gorących sekund mierzyli się wzrokiem.

- Podejmę wyzwanie, moja droga. - Zed skłonił się jej uprzejmie.

Patrząc na nich dwoje, miałam przeczucie, że Sky może nie być tak stanowcza, jak myślała. Z drugiej strony, pewnie nie będzie jej przeszkadzało, jeśli przegra.

Victor wrócił późno, długo po tym jak reszta rodziny już się położyła. Usłyszałam jego głos w kuchni, kiedy byłam w łazience, i zastanawiałam się, czy zrobił postępy w załatwianiu paszportu dla mnie albo odkrył, co zamierza zrobić Yves. Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że musiał mieć powód do niezadowolenia, bo wydawał się zły. Zazwyczaj, kiedy słyszę podniesione głosy, uciekam jak najdalej, ale drugą stroną sporu był Yves. Zgasiałam światło i odczekałam, aż wentylator przestanie pracować. Kiedy wszystko ucichło, podkradłam się korytarzem pod drzwi, żeby podsłuchiwać. Nie miałam wyrzutów sumienia - jeśli Yves potrzebował wsparcia, chciałam tam być; jeśli nie potrzebował, lepiej, żeby nie wiedział, że

podsluchuję jego brata. Musiałam zaryzykować, bo do tej pory niewiedza nie przyniosła mi pożytku. Nie ufałam Victorowi. Ze swoimi powiązaniem z organami ścigania musiał mną gardzić, nawet jeśli do tej pory udawało mu się to ukryć.

Victor stał plecami do drzwi, potrząsając stertą papierów w kierunku młodszego brata.

- Słuchaj, Yves, to ja dowodzę tą operacją. Twoim zadaniem było studiowanie gór lodowych czy czegoś takiego. Nie mogę powiedzieć Scotland Yardowi, że moja własna rodzina działa za moimi plecami - napracowałem się nad tą relacją i z ich pomocą jesteśmy bliscy rozpracowania tej grupy sawantów.

- Tak, wiem, ale to się zmieniło, kiedy spotkałem Phee. - Yves musiał być wściekły, bo sprawiał, że świeczka na stole płonęła wysokim na stopę płomieniem i topiła się w ekspresowym tempie, jakby musiał coś zrobić ze swoimi buzującymi emocjami. Zaczynałam już rozumieć, że ze swoim darem miał wybór: albo trzymać swoje emocje na wodzy, albo znaleźć dla nich ujście. Jeśli tego nie robił, komuś mogła stać się krzywda.

Victor zirytowany przemierzał kuchnię.

- Ona jest tylko niewielką częścią tej operacji. Rozumiem, że chcesz ją uratować - musi

być dla ciebie najważniejsza - ale stawka jest dużo większa, dobrze o tym wiesz. Wszystko musi chodzić jak w zegarku. Nie mogę pozwolić, żeby jakiś amator robił coś po swojemu. To prosta droga do tego, żeby któryś z nas stracił życie.

- Nie wystawię nikogo na niebezpieczeństwo.
- Bzdura. Ty nadstawiasz karku - a ja się na to nie zgadzam. Pozwolę ci milczeć przy reszcie, ale ja muszę wiedzieć, co planujesz. Tata cię ostrzegł - możesz popsuć wszystko, zrujnować miesiące pracy organów ścigania na całym świecie. Nie poprowadzę tego występu, jeśli będziemy się o siebie potykać. Po prostu powiedz mi, co chcesz zrobić, do cholery!

Wiedziałam, że powinnam wrócić do swojego pokoju; mogłabym usłyszeć coś, czego naprawdę nie chciałabym być zmuszona powtarzać jutro Widzącemu, ale ciekawość trzymała mnie przykutą w miejscu.

Świeca zmieniła się w jezioro gorącego wosku. Yves zaczął obracać kulę ognia na dłoni.

- Nie mogę.
- Rany, Yves, czy ty nic nie rozumiesz? Tu nie chodzi o twoją Przeznaczoną - chodzi o ciebie i o twoje aroganckie założenie, że ty, siedemnastoletni dzieciak, dasz radę wszystkich

przechytryć. No więc spójrz prawdzie w oczy, braciszku, nie dasz rady.

Yves buntowniczo patrzył w przestrzeń.

- Czy ty mnie słuchasz? Czy mam ci przypomnieć, co przytrafiło się Zedowi i Sky w zeszłym roku? Powiedziałeś nam, że granica bezpieczeństwa wokół naszego domu jest nie do przekroczenia - że twoja robota nie ma sobie równych, a tymczasem para zbirów Kelly'ego przedostała się przez nią i zaczęła do nich strzelać.

- Myślałem, że mi o tym nie przypomnisz. - Kula ognia na jego dłoni zgasła. - Od tamtego czasu wprowadziłem ulepszenia. W tej chwili nikt się przez nią nie przedostanie.

- Posłuchaj siebie - znów robisz to samo. Jesteś bystry, nie mam co do tego wątpliwości - ale zapominasz, że inni ludzie też są. Mogą cię przechytryć.

Yves skrzyżował ręce na piersi.

- Nasz dom jest bezpieczny. Phee nic się ze mną nie stanie.

- Więc trzymasz jej stronę, a nie stronę twojej rodziny?

- Tu nie chodzi o strony, a ona też jest teraz rodziną. Victor uderzył papierami w kontuar, zły na Yvesa i na samego siebie.

- Może. - Yves spojrzał na niego złowrogo. - OK, wiem, że jest, ale ona nas dzieli.

Yves wstał i przyjął bojową pozycję.

- Nie robi tego i nie chcę słyszeć nic, co by sugerowało, że winisz ją za tę sytuację. Sam jestem odpowiedzialny za swoje wybory. Mogę osiągnąć właściwy rezultat, jeśli będziesz robił swoje i pozwolisz na to mnie.

- Prosisz mnie, żebym zaufał ci, że jesteś równie cwany, co inteligentny?

- Chyba tak.

- Yves, ja przez ciebie zwariuję. Patrzę na ciebie i próbuję się przekonać, że wiesz, co robisz, ale w głębi duszy myślę, że zachowasz się równie głupio, jak każdy chłopak, kiedy wchodzi w grę dziewczyna. - Westchnął z irytacją. - Nie chcę się z tobą kłócić. Chcę ci pomóc. Ze wszystkich moich braci jesteś ostatnim, który powinien mieszać się w takie sprawy.

- Dlaczego?

- Jesteś zbyt miły. Nie widzisz w ludziach zła, zbyt łatwo ich tłumaczysz.

Yves pokręcił głową, nie ruszając się ani o cal.

- Mam nadzieję, że nie mówisz o Phee, bo jeśli tak, myślę, że szybko się przekonasz, jak bardzo niemiły potrafię być.

Victor musiał rozpoznać to uparte spojrzenie i przestał naciskać.

- To jej. - Nagle zmienił taktykę i rzucił papiery na kontuar. - Wiesz, że nie mówi ci wszystkiego, prawda?

Yves wzruszył ramionami i przejrzał papiery.

- Mógłbym ją przekonać, żeby wszystko nam powiedziała - wykorzystać mój dar.

- Nie - odparł Yves zwięźle i stanowczo.

- Nie? Nawet się nad tym nie zastanowisz?

- Zbyt wielu ludzi bawiło się nią przez te wszystkie lata, Vick. Jeśli będziemy po prostu kolejną grupą, która nadużyje jej zaufania dla własnych celów, nigdy jej nie odzyskamy. Powiedziała nam tyle, ile mogła. Widziałeś ją dzisiaj - próbowała nas ostrzec, co nas czeka, i dostała migreny i krwawienia z nosa.

Victor zdjął kurtkę i poluzował krawat i kołnierzyk.

- Nie wątpię, że miała dobre intencje, ale mój radar mówi mi, że ukrywa coś więcej - coś, o czym mogłaby nam powiedzieć, gdyby chciała. Coś, co przeszkadza jej tak bardzo, że sama się tego wypiera.

- No i co z tego? W takim razie to sprawa osobista, a nie nasz interes.

- Tak myślisz?

Wzrost napięcia u mnie musiał mnie zdradzić, bo Yves skierował wzrok na ciemny korytarz. No tak, unikalny podpis: zapomniałam, że on wyczuwał energię.

- Jeszcze nie śpisz? - spytał zimno. Teraz miał kolejny powód do złości: podsłuchiwałam.

Niechętnie wyszłam z ciemności. Nie było sensu ukrywać, że podsłuchiwałam ich rozmowę.

- Nie mogłam zasnąć. Wasza rozmowa była zbyt fascynująca. Przecież to o mnie mówiliście, prawda?

- Tak. - Victor usiadł, może żeby wyglądać mniej groźnie, bo górował nade mną wzrostem, ale dostrzegłam spojrzenie, które rzucił Yvesowi. Miało znaczyć „a nie mówiłem” i podkreślić, że nie należy mi ufać. - Przykro mi, że to słyszałaś, ale musiałem wyrazić swoje zdanie.

- W porządku. Mówiłam Yvesowi, że nie powinien dla mnie wystawiać was na niebezpieczeństwo. Nie jestem tego warta.

- Nie powiedziałem, że nie jesteś równie ważna, jak każde z nas, Phee - poprawił Victor. - Po prostu mamy więcej spraw, o których trzeba pomyśleć poza tym, co zrobimy z tobą.

Nie byłam pewna, czy to jakaś różnica; wszystko było kwestią priorytetów, a ja nie byłam dla niego numerem jeden.

- Oczywiście, rozumiem, naprawdę rozumiem.

Yves był teraz zirytowany na nas oboje: na mnie, że tak lekceważę swoją wartość, i na Victora, że tak podkreśla wagę swojej operacji.

- OK, Vick, jutro przestaniemy ci przeszkadzać. Ty rób to, co masz zrobić, a my pójdziemy zwiedzać. - Yves podsunął mi papiery. - Podpisz tutaj, Phee. - Zobaczył moją nieufną minę i westchnął. - To tylko podanie o paszport, nic więcej.

Jutro mieliśmy spotkanie z Widzącym. Nie zamierzał o tym powiedzieć swojemu bratu? -Ale, Yves...

- Nie teraz, Phee. W tej chwili jestem wściekły i nie chcę kolejnej kłótni. Po prostu podpisz te papiery.

Nie chodziło mi o papiery i dobrze o tym wiedział. Przygryzłam wargę i złożyłam podpis pod podaniem. Czułam się dziwnie - po raz pierwszy coś podpisywałam. Moje pismo było dziecinne i pełne zakrętów. Żałowałam, że nie poćwiczyłam podpisu wcześniej.

- Słuchaj, Phoenix, nie chcę, żebyś myślała, że nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. - Victor wsunął papiery z powrotem do skórzanej teczki. - Po prostu mam teraz dużo innych równie ważnych spraw. Jeśli uda ci się przekonać mojego brata, żeby wtajemniczył mnie w swoje zamiary, byłoby mi dużo łatwiej.

Skinęłam głową, wiedząc, że z Yvesem i tak do niczego nie dojdę.

- Pewnie, popracuję nad tym. Urn... dobranoc.

- Tak, słodkich snów - odparł Victor.

Wątpliwe. Spodziewałam się niespokojnej nocy. Byłam przerażona tym, co Yves mógł zaplanować na jutro. Jak powiedział jego brat, może był super inteligentny, ale czy był też wystarczająco przewidujący? To nie było to samo. Yvesa mogło zwieść przekonanie, że jest sprytniejszy od nas wszystkich. Będę musiała opracować własny plan, podczas gdy Yves i Victor zajmowali się swoimi.

17

Nasze spotkanie w Londyńskim Oku nadeszło zbyt szybko. Mimo różnych spięć, ostatnie czterdzieści osiem godzin było jak oaza na pustyni mojego życia. Nie chciałam wracać do zmierzającej donikąd karawany Widzącego, ale jaki miałam wybór? Przy śniadaniu czułam, jak coraz mocniej działa rozkaz dotarcia na spotkanie niczym kij do popędzania bydła. Za każdym razem, kiedy próbowałam wymyślić inne rozwiązanie, w moim mózgu następowało zwarcie i znajdowałam się przy drzwiach, gotowa do wyjścia. Tylko Yves znał powód mojego dziwaczego zachowania; pozostali członkowie rodziny byli zbyt uprzejmi, żeby je komentować, ale musieli pomyśleć, że jestem najbardziej nieuprzejmym gościem, jakiego kiedykolwiek podejmowali - i że jestem okrutna dla Yvesa.

- Uspokój się, Phee - szepnął, opierając moją głowę o swoją pierś po ostatnim nieudanym ataku na drzwi. -Wszystko będzie dobrze.

Nie wierzyłam mu. Przez noc doszłam do wniosku, że jedyny plan, który miał szansę powodzenia, to powstrzy-

mać Yvesa przed przekazaniem im czegokolwiek. Nie mogłam zaatakować Smoka, Jednorożca albo, Boże broń, Widzącego, ale Yves nie będzie się spodziewał, że zwrócę się przeciwko niemu. Okradnę go, kiedy tylko będzie okazja, i upewnię się, że nikt nie zauważył.

Tak więc znaleźliśmy się tu, gdzie wiedziałam, że się znajdziemy: w kolejce do Londyńskiego Oka w wietrzny poranek o dziesiątej piętnaście. Kiedy wiatr wiał pod prąd, na rzece tworzyły się białe grzywy, a przefruwające nad głowami mewy walczyły o utrzymanie kursu. Musiałam poczekać, aż spotkamy się z Widzącym, zanim dokonam próby kradzieży; nie chciałam, żeby Yves anulował spotkanie, jeśli za wcześnie zda sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Nie mieliśmy pojęcia, jak Widzący zaplanował spotkanie, więc po prostu kupiliśmy bilety na ogromny diabelski młyn z widokiem na Westminster, Big Bena i Parlament.

Zblizaliśmy się właśnie do końca kolejki, kiedy za nami pojawili się Smok i Jednorożec.

- Cieszymy się, że dotarliście - przywitał nas Smok, szczerząc zęby. - Zarezerwowaliśmy dla nas prywatną kapsułę.

Wyciągnęli nas z kolejki i zaprowadzili do wejścia dla VIP-ów. Odsunęłam się od Jednorożca.

Nie pozwól, żeby cię dotknął - ostrzegłam Yvesa. - To złodziej życia.

W porządku, kochanie. Osłaniam się.

Tylko upewnij się, że robisz to dobrze, mądralo.

Szybko minęliśmy ochroniarzy i dotarliśmy do Widzącego, który już zajął miejsce w przezroczystej kabinie. Drzwi zamknęły się za nami i kapsuła ruszyła w powolną podróż do góry.

- Doskonale. Cieszę się, że dotarliście na czas. Zresztą Phoenix już by się o to postarała, prawda, kochanie? - Poczułam, jak nienawidzony głos Widzącego osacza mnie niczym mrówki legionistki, które potrafią w kilka minut obleźć i zjeść swoją ofiarę.

Wymamrotałam coś i przysunęłam się bliżej do Yvesa, przesuwając ręką po kieszeni jego dżinsów w geście, który, miałam nadzieję, on uzna za oznakę czułości, a nie działanie rozpoznawcze. Pełen obrót

Londyńskiego Oka trwał trzydzieści minut - nie będzie dla nas ucieczki ani żadnej szansy pomocy, póki nie zjedziemy na dół. Teraz rozumiałam, dlaczego Widzący wybrał to publiczne miejsce na spotkanie. Musiał mieć pewność, że znajdziemy się poza zasięgiem pozostałych Benedictów, a to był doskonały sposób na to, by udaremnić wszelki kontakt - byliśmy odizolowani jak rybki w akwarium. Z drugiej strony, ta sytuacja była dla mnie korzystna; prawdopodobnie uda mi się zamrozić ich wszystkich, jeśli będę ostrożna, ale gdzie Yves trzymał pendrive'a?

Widzący skinął na nas, żebyśmy podeszli bliżej. Smok i Jednorożec zostali po naszej stronie, podczas gdy my podeszliśmy do przodu.

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, czyż nie, panie Benedict? - Widzący poklepał miejsce w okolicach swojego żołądka, które Yves podpalił dwa dni temu. Jego nowa biała marynarka nie nosiła śladów ognia, ale Widzący wyraźnie nie zapomniał o zdarzeniu.

Yves uspokajająco przesunął palcami po mojej ręce.

- Nie, nie miałem przyjemności.
- Dużo o tobie słyszałem. Z tego, co mi mówiono, jesteś cudownym dzieckiem. - Kapsuła

wysunęła się spomiędzy dolnych rozpór podpierających koło i odsłoniła nam widok na wszystkie strony. Zostawialiśmy za nami wszystko, co trzymało nas przy ziemi, i z niewielką tylko ochroną żeglowaliśmy w pustkę. Już miałam mdłości, a przecież zazwyczaj nie miałam lęku wysokości. To musiało być przez towarzystwo. - Moi amerykańscy koledzy obserwowali cię ze szczególnym zainteresowaniem, odkąd twoja inwencja stała się powszechnie znana. A teraz dowiaduję się, że jesteś Przeznaczonym mojej córki. Fascynujące.

Nie, nie mów tego! - krzyknęłam w głowie, ale nie poruszyłam się, przykuta do miejsca moją własną głupotą. Nie przyszło mi na myśl, że Widzący będzie chciał przyznać się do naszego pokrewieństwa. Ale czemu miałby tego nie robić?

Jedyną reakcją Yvesa było wzmocnienie uścisku na moim ręku.

- W takim razie rozumie pan, kim ona dla mnie jest - odparł spokojnie. - I spodziewam się, że skoro jest pan jej ojcem, chce pan dla niej tego, co najlepsze, tak jak ja.

Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? - spytał mnie Yves.

Nigdy. - Byłam zbyt zawstydzona, żeby spojrzeć mu w oczy. - *On nim nie jest. Nie chcę w to wierzyć.*

Widzący uśmiechnął się.

- Ale wyobrażam sobie, że nasze poglądy na to, co jest dla niej najlepsze, są różne. Musisz zrozumieć, Yves -mogę mówić do ciebie po imieniu, prawda?

Yves skinął ostrożnie głową.

- Phoenix należy do bardzo blisko ze sobą związanej społeczności. To jej rodzina. Nie możemy pozwolić, żeby przybysze z zewnątrz dzielili nas dla własnej przyjemności. Nawet Przeznaczeni.

Jakby go to obchodziło!

Yves opuścił rękę na moją talię, zaborczym ruchem broniąc mnie - swojej dziewczyny.

- Ale więź między Przeznaczonymi jest wyjątkowa - na pewno pan o tym wie.

Widzący uśmiechnął się oślizgłe.

- Tak mówi legenda. Zobaczmy, jak dużo jest dla ciebie warta. Masz informacje?

Kryzys zbliżał się nieubłaganie; musiałam działać szybko. Nigdy wcześniej nie miałam czelności zamrozić Widzącego i moja śmiałość mnie przerażała. Sięgnęłam po wzorce myślowe Yvesa, Smoka i Jednorożca. Schwyciłam je prędko.

Wszyscy skupili się na konfrontacji, żaden z nich o mnie nie myślał, więc nie byli przygotowani na to, że znajdę ich od tyłu. A teraz Widzący. Dotknięcie jego umysłu było jak zanurzenie się w ściekach - gęstych, śmierdzących i odrażających. Nie mogłam go schwytać, jego umysł wyslizgiwał się spod mojej kontroli jak olej przeciekający przez ułożone w miseczkę dłonie.

Widzący roześmiał się z ponurym rozbawieniem.

Puść ich, Phoenix. Co właściwie próbowałaś osiągnąć?

Żadnego wytłumaczenia nie uzna za wystarczające. Puściłam. Cała trójka zaczęła się ruszać, nieświadoma, że ich zamroziłam.

Zastanowię się nad karą, moja droga. Ciesz się oczekiwaniem. - Nie zamierzał oznajmić, co zrobiłam.

A potem było za późno. Z lekkim wahaniem Yves wyjął pendrive'a na smyczy, huśtając nim kusząco na kciuku jak hipnotyzer swoim kryształem.

- Wszystko jest tutaj. Co za to kupię? Mówił językiem, który Widzący rozumiał.

- W tej chwili jej zdrowie i szczęście.

W naszej samobójczej podróży, niczym w beczce przez Niagarę, którą Yves koniecznie chciał ze mną zaryzykować, zbliżyliśmy się do krawędzi; jeśli teraz poda im informacje, nie będzie już odwrotu. Szantaż nigdy się nie kończy; chyba Yves jest dość bystry, żeby zdawać sobie z tego sprawę? Nie było warto kupować kilka dni mojego względnego spokoju za cenę bezpieczeństwa jego rodziny. Musiał to zrozumieć, zanim będzie za późno.

-Yves, zapomnij o tym. - Spróbowałam wyrwać mu pendrive'a, zamierzając złamać go na pół, ale on uniósł go tak, że nie mogłam go dosięgnąć.

- Nie wtrącaj się, Phee. - Odsunął mnie na długość ręki. Jednorożec spojrzał na mnie tak, że poczułam się jak robal. Byłam zaskoczona, że są jednak we mnie resztki lojalności wobec Wspólnoty, w przeciwnym wypadku nie obchodziłoby mnie, co o mnie myśli.

- A więc jednak nie jest taka lojalna. Zastanawiałem się nad tym.

Yves stanął pomiędzy nami.

- Jest lojalna wobec mnie. Na tym polega bycie Przeznaczonymi. Tylko nie zdaje sobie sprawy, że reguły gry się zmieniły. Postanowiłem zbiec.

Udając zainteresowanie widokiem Big Bena, Widzący smakował niezwykle słowo, bardzo rzadko słyszane w dzisiejszych czasach.

- Zbiec? - Wyraz jego twarzy przypominał mi ropuchę, która połknęła wyjątkowo soczystą plujkę.

- Tak. Nie chodzi już tylko o mnie i o Phee, panie Widzący, chociaż przyznaję, że to ona mnie zainspirowała. Kiedy ją spotkałem, pomyślałem, że wy możecie zaoferować mi więcej niż Sieć Sawantów. - Uśmiech Yvesa stał się bezczelny i pewny siebie jak uśmiech chłopaka, który ma więcej arogancji niż rozumu. - Wie pan, ktoś z moimi zdolnościami nie może zarobić takich pieniędzy, na jakie zasługuje, pracując dla porządnych ludzi. - Wszyscy musieliśmy mieć sceptyczny wyraz twarzy, bo spróbował wyjaśnić, o co mu chodzi. - Pewnie nie zainteresuje to pana, ale moja rodzina już od pewnego czasu daje mi się we znaki, tłumi mój styl i dokucza mi z powodu pomyłek. Spotkanie z Phee zmotywowało mnie wreszcie, żebym coś z tym zrobił. - Zakręcił pendrivem. - Chcę, żeby to była cena mojego przyjęcia do was. A wy dacie mi Phee. - Wspomniał o tym, jakby dopiero sobie o mnie przypomniał.

Widzący utkwiał wzrok w Yvesie, próbując złamać jego tarczę i oddzielić prawdę od kłamstwa.

Yves musiał kłamać! Przejrzałam jego myśli i znalazłam tylko determinację, żeby dobić targu. Trzymał nas z daleka od wszelkich głębszych poszukiwań. Wątpiłam, żeby Widzący zobaczył więcej niż ja.

Wreszcie Widzący odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

- Dobry żart, Benedict. Prawie uwierzyliśmy, że mówisz szczerze. Ale nie mogę uwierzyć, że dobry chłopak z Sieci Sawantów tak łatwo da się skusić, żeby zdradzić swoją rodzinę.

- Wypróbujcie mnie. - Yves z zaskoczenia rzucił pendrive'a Jednorożcowi. - Domyślam się, że macie laptopa?

Jednorożec skinął głową i z walizeczki wyjął mały komputer. Wsunął klucz do portu USB i poczekał, aż informacje pojawią się na ekranie. Zaniepokojona i zaskoczona tą nagłą zmianą kierunku, krążyłam po mojej stronie kapsuły, nieodstępowana przez Yvesa i Smoka na wypadek, gdybym znowu spróbowała złapać pendrive'a. W jakiś sposób znalazłam się w sytuacji, w której wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie. Czterech na jedną - jak do tego doszło?

- Wygląda na wiarygodne - potwierdził Jednorożec. -Lista sawantów według krajów i

umiejętności. Znam kilka brytyjskich nazwisk - są sprawdzone.

Yves zerknął na ekran ponad jego ramieniem.

- Tylko nie kopiuj tego na komputer.

Jednorożec prychnął, pokazując, że nie ma zamiaru się podporządkować.

- Sprawdzę, czy nie ma wirusów. Yves wzruszył ramionami.

- Sam tego chcesz.

Widzący podrapał się po policzku - zmienił zdanie.

- A więc da się cię skorumpować, rozumiem, Yves. Myślałem, że spróbujesz przekazać nam fałszywe informacje, ale jeśli pozostałe nazwiska się potwierdzą, będę musiał przyznać, że myliłem się co do ciebie.

- Przypisuje mi pan zbyt czyste motywacje, panie Widzący. To naprawdę proste. Chcę zbić fortunę i chcę mojej dziewczyny: pan może dać mi jedną i drugą. Czego więcej potrzebuje mężczyzna do szczęścia? Mam siedemnaście lat - prawie osiemnaście - najwyższy czas, żebym pozbył się man, nie sądzi pan?

- Domyślasz się, że nie mogę zaufać ci na tej podstawie. - Widzący skinął w kierunku ekranu, na którym Jednorożec przeglądał teraz listę nazwisk. -

Muszę skonsultować się z moimi partnerami, a oni pewnie będą chcieli cię poznać. Czy uda ci się to zrobić tak, żeby twoja rodzina się o tym nie dowiedziała? Masz dla nas wartość przede wszystkim jako wewnętrzne źródło informacji; nie chcielibyśmy, żeby kwestionowali twoją lojalność.

- W porządku. Moja rodzina nie uwierzy, że jestem do tego zdolny. Nawet jeśli zobaczą, że z panem dzisiaj rozmawiałem, nadal znajdą wystarczające wytłumaczenie, dlaczego to robię.

Yves, nie! Próbowałam przebić się przez jego tarczę, ale trzymał mnie poza swoją głową, tak jak ja tuż po tym, kiedy się poznaliśmy. Nie rozumiałam, co on wyprawia.

Widzący skinął głową.

- Tak, jesteś przekonujący w swojej uczciwości. Wiem, że dadzą się na to nabrać. W takim wypadku prześlemy informacje moim partnerom, sprawdzimy je, a później wyślemy ci wiadomość, gdzie masz się z nami spotkać?

- OK. A co z Phee? - Yves nie patrzył na mnie, tylko rzucił pytanie, jakbym była psem, którego musi umieścić w budzie, zanim wyjedzie na wakacje.

Widzący pokręcił głową.

- Pokazała, że jest niełojalna, więc nie mogę ci jej znów pożyczyć. Jest jedna rzecz, którą musimy się zająć. Phoenix wraca z nami do domu.

- W takim razie ja także. Sprawa z Przeznaczonymi jest dziwna; jesteśmy zaprogramowani, żebyście zostać razem, nawet jeśli na swoim partnerze nie można polegać. - Mrugnął do mnie, jakby to miało złagodzić obelgę.

Smok prychnął.

Widzący zmarszczył czoło, próbując ocenić ryzyko.

- Możesz to zrobić tak, żeby twoja rodzina nie zaczęła się o ciebie martwić?

Yves wzruszył ramionami.

- Wystarczy, że powiem, że postanowiłem trochę pozwiedzać razem z Phee. Moi rodzice naprawdę przejmują się Przeznaczonymi i rozumieją, jeśli będę chciał mieć Phee tylko dla siebie przez kilka dni. W tej chwili i tak woleliby, żebym nie zawracał im głowy. To da nam przynajmniej dzień, zanim zaczną nas szukać. Czy to wystarczy?

- Powinno.

Zjeżdżaliśmy w dół po drugiej stronie koła. Widzący policzył, że zostało nam tylko kilka minut,

żeby przypieczętować umowę, ale wciąż nie był pewien, co będzie z tego miał.

- Potrzebuję zabezpieczenia, jeśli pójdziesz z nami. Wolę, żeby moja aktywność nie została ujawniona.

- Oczywiście. To zrozumiałe. - Yves przeciągnął się, poruszając wyraźnymi mięśniami i pokazując krawędź bokserek znad nisko wiszących dżinsów. Wyglądał, jakby rozwój sytuacji mu odpowiadał.

Z błysku w oku Widzącego wywnioskowałam, że nie podobał mu się pokaz młodego ciała puszającego się w pobliżu jego wielkiego paskudnego cielska.

- Twoja tarcza jest silna, Yves. Myślę, że zabezpieczenie zasiane w twoim umyśle się nie przyjmie - przynajmniej nie tak, żebym był z tego zadowolony. Znowu wykorzystam Phoenix, bo jest jasne, że nawet jeśli... jak to powiedziałaś? Ach tak, nawet jeśli nie można na niej polegać, w dużej części stanowi twoją motywację.

Yves ledwie na mnie spojrzał.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Pozwolę ci zasiać to w moim mózgu.

Widzący poklepał wargi zgiętymi palcami.

- Nie. Nie ufam ci - jeszcze. Znam umysł Phoenix i wiem, że jest bardzo podatny na mój dotyk. Przyjmie się u niej, a sprawa jest zbyt poważna, żeby ryzykować eksperyment z sawantem w pełni sił, a wyczuwam, że takim jesteś. Phoenix, podejdź tutaj.

Uczepiłam się barierki po drugiej stronie kapsuły, trzęsąc się ze złości. Jak Yves mógł tak mnie oczerniać? Nie mogłam w to uwierzyć.

- Wszyscy jesteście nienormalni! Yves, natychmiast przestań! Nie chcę, żebyś tam ze mną wracał, rozumiesz? Po prostu odejdź!

Smok podniósł mnie tak, że plecami przywierałam do jego piersi i zawlókł mnie do Widzącego. Yves nie zrobił nic, żeby go powstrzymać, tylko stał z założonymi rękoma.

- Od czasu do czasu dostaje napadów hysterii. - Mój cholerny Przeznaczony przeproszał za mnie! Zamachnęłam się nogą, mając nadzieję, że trafię go, ale nie udało mi się. - Phoenix, uspokój się. Nikt cię nie skrzywdzi. To tylko środek ostrożności. - Zwrócił się do Widzącego. - Co zamierzał pan zrobić?

- Zamierzałem zasugerować, żeby cię zabiła, jeśli zdradzisz, gdzie mieszkam, komukolwiek

spoza Wspólnoty, ale wygląda na to, że i tak to zrobi, kiedy Smok ją wypuści.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Tylko fakt, że Widzący uznał moje zachowanie za zabawne, uciał moje protesty. Zawisłam bezwładnie i zwiesiłam głowę. Smok postawił mnie przed Widzącym.

- Nikt nie powiedział, że związek z Przeznaczonym to spokojny rejs. Ale niedługo ją poskromię - stwierdził Yves, zadowolony z siebie, klepiąc mnie po pupie.

Powiedziałam, co może sobie zrobić - coś anatomicznie niemożliwego. Mężczyźni roześmiali się na moją reakcję, nawet Yves. Tak nie przypominał mojego wrażliwego chłopaka z ostatnich kilku dni, że nie mogłam zrozumieć, co to znaczy. Musiał udawać, ale dlaczego? Jeśli naprawdę chciał mnie traktować jak swoją własność, niedługo zacznie śpiewać sopranem.

- W takim razie zostawię dyscyplinę tobie - prychnął Widzący. - Szukałem dla niej silnego partnera, ale zdaje się, że los wybrał już ciebie. Czynię cię odpowiedzialnym za trzymanie jej na wodzy i za dotrzymanie twojej części umowy, rozumiano?

- Tak, to jasne.

- Jak rozumiem, jeśli coś jej się stanie, będzie to gorsze niż cokolwiek, co mogę ci narzucić?

Yves z wahaniem skinął głową.

- Chyba tak.

Widzący wyciągnął rękę i złapał mnie za nadgarstek.

Phoenix, jeśli twój Przeznaczony zdradzi mnie, moją lokalizację albo któregokolwiek członka Wspólnoty, odrzucisz go

Jesteś zadowolony? - warknęłam do Yvesa.

On tylko pokręcił głową jak wychowawca w przedszkolu na widok napadu złości trzylatka.

Resztę podróży odbyliśmy w przeciwległych końcach kapsuły. Smok i Jednorożec pilnowali komputera, Widzący stał z przodu, studiując widok, jakby był właścicielem Westminsteru, Yves opierał się o barierkę pośrodku, a ja, no cóż, wróciłam na drugi koniec, zraniona i zdumiona kierunkiem, który wybrał. Powiedział, że mnie nie zdradzi, i do tej pory dotrzymywał umowy z Widzącym, ale powiedział też, że nie skrzywdzi swojej rodziny. Jak przekazaniem ważnych informacji miało potwierdzić tę przysięgę? I o co chodziło z tym obrzydliwym samczym zachowaniem? Jeśli myślał, że w skrytości marzę o

tym, żeby ktoś mnie zdominował, lepiej niech szybko to sobie przemyśli albo zrobię to za niego.

Drzwi otworzyły się z cichym sykiem.

- Podobała się pani jazda? - spytała asystentka, próbując podać mi kwestionariusz dla klientów.

- Jak cios kołkiem w oko. - Minęłam ją, ignorując papiery.

Yves zatrzymał się, żeby załagodzić sytuację.

- Zawroty głowy - wyjaśnił. - Moja przyjaciółka straciła na chwilę głowę tam na górze.

Nie, nie straciłam. To on ją stracił i teraz oboje byliśmy w pułapce Widzącego, dokładnie w miejscu, od którego próbowałam trzymać go z daleka, odkąd nasze drogi się spotkały.

18

A kiedy wreszcie Yves i ja zostaliśmy sami w moim małym mieszkanku, podczas gdy pozostali weryfikowali informacje na temat Sieci Sawantów, stanęliśmy niezręcznie po dwóch przeciwnych stronach pokoju.

Założyłam ręce na piersi, próbując powstrzymać ryk wściekłości.

- Nie mogę uwierzyć, że się sprzedałeś. Yves spuścił oczy i rozejrzał się po pokoju.

- Ładnie.

- Wiem, że nie.

Musiał zauważyć brak obrazków i innych dekoracji. Wszystko, co miałam, to poduszka, śpiwór, ręcznik i duża torba na resztę moich rzeczy. Druga para butów leżała schowana pod łóżkiem. Podłoga pokryta była przetartym, brązowym linoleum, a stara pikowana narzuta służyła za zasłonę. Przynajmniej pachniało tu czystością, w przeciwieństwie do innych pokoi. Przed rozpakowaniem upewniłam się, że dokładnie zeszkrobałam cały brud.

- To mnie zmusza do pokory: masz mniej rzeczy w miejscu, w którym mieszkasz od jakiegoś czasu, niż jaw walizce spakowanej na tygodniowy pobyt. - Yves podniósł moją szczotkę do włosów i odłożył ją z powrotem na parapet.

-Yves, proszę... - Nie mogłam znieść rozmowy o niczym, po tym jak zrobił coś tak potwornego. Czuję, że zwariuję, jeśli mi tego zaraz nie wyjaśni.

Rozłożył ręce, zapraszając mnie, żebym się do niego przytuliła. Zostałam po mojej stronie pokoju. Może byłoby łatwiej dostosować się i pozwolić mu się przez to przeprowadzić, jak jakieś dziecko przypięte w foteliku na tylnym siedzeniu, podczas gdy on siedział za kierownicą, ale nie mogłabym ze sobą wytrzymać, gdybym tak zrobiła. To po prostu nie byłabym ja.

Yves opuścił ręce na biodra.

- No dobrze. Słuchaj, przepraszam za to, jak cię tak potraktowałem. Zrozumiałem, że Widzący nie lubi, kiedy ludzie, a zwłaszcza kobiety, wyrażają własne zdanie. Pomyślałem, że jeśli stworzę wrażenie, że przeniosłaś lojalność na mnie, nie będzie mu to przeszkadzało, tak długo, jak długo będę w jego drużynie.

- Więc jesteś w jego drużynie. Yves wzruszył ramionami.

- Na to wygląda. W tej chwili. Ale jest tylko jedna drużyna, która się liczy: ty i ja.

-Ale co... jak ty...? - Przeczesałam palcami włosy i szarpnęłam za nie, sfrustrowana. - Nie uciekłeś naprawdę, co?

- Ależ tak. - Usiadł na brzegu mojego łóżka.

- Nie, nie zrobiłeś tego.

- Nie miałem wyboru. Inaczej nie mogę zadbać o twoje bezpieczeństwo.

- To nie ma sensu. Zamiast przechodzić na ciemną stronę do tej zgrai, równie dobrze mógłbyś się poddać lobotomii!

Miał czelność się roześmiać.

- Dobre porównanie. Chodź tu i połóż się obok mnie. I tak nie możemy nic zrobić, dopóki nas nie wezwą.

- Nie rozumiesz? Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, jeśli jesteś taki jak oni. - To była najgorsza obelga, jaka przyszła mi do głowy. - I... i tak ci nie wierzę. Okłamujesz mnie.

Yves zdjął buty i wyciągnął się na łóżku.

- Zapewniam cię, że nie.

- Tym gorzej !

- Wciąż zapominasz o najważniejszym, Phee.

- Tak?

- Prosiłem cię tylko o jedną rzecz. Powiedz mi, o co.

- Żebym... żebym ci zaufała.

- No właśnie. Więc podejdź tutaj i mnie przytul. Potrzebuję tego, nawet jeśli ty nie.

Był dobry czy zły? Nie mogłam stwierdzić, czy kłamał, czy też dokonał katastrofального wyboru, ale niezależnie od tego, jaka była prawda, taki wyciągnięty na moim łóżku był zdecydowanie kuszący. Zdjął okulary, sprawiając, że jego twarz w jakiś sposób wydawała się bardziej podatna na atak. Wiedziałam, że jeśli teraz go odrzucę, naprawdę wyrządę szkody.

- OK. Ale tylko na chwilę. - Zsunęłam buty, dołączyłam do niego i przytuliłam się do jego boku. Yves wsunął mi rękę pod głowę i przysunął mnie bliżej. Oparłam rękę na jego piersi. - Uderzyłeś mnie w pupę.

Poruszył się, żeby pomasować urażoną część mojego ciała.

- Tak, przepraszam, ale chciałem coś pokazać.

- Mnie czy im?

- Czy „i to, i to” będzie niewłaściwą odpowiedzią? Szturchnęłam go w żołądek.

- Hej, to nie moja wina! Grałem moich braci w ich najgorszym wydaniu. To dobrzy nauczyciele.

- Więc to była gra?

- Phee, daj spokój: nie znasz mnie ani trochę? Czy jestem typem chłopaka, który traktuje swoją dziewczynę jak idiotkę?

- Nie wiem. Jesteś?

Yves połaskotał mnie, żeby się zemścić.

- Tylko kiedy mówi takie głupoty. Walnęłam go w odpowiedzi.

- Nie, nie wydaje mi się, żebyś zazwyczaj tak się zachowywał, ale nie zachowujesz się normalnie. Czuję się zagubiona.

- Wiem, kochanie.

- Naprawdę myślisz, że wszystko będzie dobrze?

- Tak, naprawdę tak myślę.

- Jesteś pewien na sto procent? Yves skrzywił się.

- Tego bym nie powiedział. Szczerze mówiąc, bardziej na pięćdziesiąt procent. Tata miał rację, kiedy mówił, że bardzo ryzykuję. Wszystko zależy od tego, czy inni ludzie dobrze wykonają swoją część, a dużo może pójść zle.

To nie brzmiało dobrze.

- Nawet ja?

- Tutaj wchodzi zaufanie.
- Nie pójdę za tobą na ciemną stronę, jeśli tam się wybrałeś.
- Kochanie, ty już tam jesteś. Chodzi o to, żeby cię stąd wydostać.

Kiedy tak mówił, przypominał strażaka, który wszedł do płonącego budynku, żeby kogoś uratować, i sam ginie w płomieniach.

- I jak zamierzasz to zrobić?

Yves pogłaskał mnie palcem po policzku.

- Stałem się przestępcą, pamiętasz? Oczywiście zamierzam cię wykraść.

- Naprawdę?

- Mhm. Ale najpierw skradnę ci pocałunek. - Uniósł się na łokciu, żeby nasze usta mogły się zetknąć. Nie spieszył się, pozwalając nam obojgu odprężyć się i cieszyć chwilą intymności. Gdy tak leżeliśmy blisko siebie, ze splecionymi nogami, a jego szeroka klatka piersiowa dotykała mojej, tak że czułam się całkowicie otulona jego ciepłem, była w tym jakaś niezwykła siła. Tak bardzo pragnęłam, żeby ktoś dotykał mnie właśnie tak, z czułością, że teraz byłam tym przytłoczona. Chłonełam go jak wyschnięta ziemia ulewę.

Yves odsunął się i uśmiechnął się do mnie.

- Naprawdę zatrzymujesz czas.

- Nie używałam na tobie mojej mocy, przysięgam. -Nie miałam zamiaru przyznać się do mojej nieudanej próby zamrożenia ich wszystkich.

- Wiem, chodziło mi o to, jak na mnie działasz. Całowanie cię stało się właśnie moim ulubionym zajęciem.

Odwzajemniłam uśmiech.

- Ciekawszym niż studiowanie nauk o Ziemi?

- O tak, kochanie, uwierz mi!

Zaśmialiśmy się oboje z jego akcentu Austina Powersa.

- Kocham cię, Yves - powiedziałam, zanim zdążyłam się opanować. Za późno, żeby to odwołać.

- Oczywiście nie spodziewam się, że powiesz mi to samo. - Idiotka. -Yyy... przepraszam.

Oczy mu błyszczały.

- Proszę, nie przepraszaj. Jest mi tylko przykro, że ty pierwsza to powiedziałaś. Czekałem na właściwy moment, żeby ci to powiedzieć.

Spróbowałam się odsunąć. Mówił mi to tylko dlatego, że był nieuleczalnie uprzejmy.

- Naprawdę, nie musisz. Nie pozwolił mi się ruszyć.

- Oczywiście, że musisz. Jesteś dla mnie dobra. Myślę, że nasz Stwórca był bardzo mądry, kiedy wymyślił Przeznaczonych, bo łączy nas nie z

tymi, z którymi byśmy chcieli, ale z tymi, których potrzebujemy.

Przemilczałam dość zaskakujące wyznanie, że ten szalony naukowiec wierzył w Boga - coś, na co nie pozwalałam sobie od dzieciństwa. Życie zawsze wydawało mi się zbyt okrutnym żartem, żeby dopuścić możliwość istnienia dobrego Stwórcy.

- A kogo chciałeś?

Yves położył się obok mnie.

- Myślałem, że chcę kogoś takiego jak ja - byłem bardzo powierzchowny w wyborach: studentka college'u, materiał na królową balu maturalnego, ktoś, kto lubi tenis i książki.

- Książki w porządku, ale tenis? - prychnęłam.

-Ale gram ostro. Będę musiał cię nauczyć. - Lekko przesuwając palcami po mojej talii i biodrze. - Chociaż muszę cię ostrzec: Zed uważa, że to kolejny dowód na mój brak męskości.

- Jak to?

- Bo gracze ubierają się na biało, nie potrzebują kasku i nie przewracają się nawzajem na ziemię.

- Rozumiem. To bardzo podejrzane. A w takim razie czego potrzebujesz w twojej Przeznaczonej, jeśli nie materiału na królową balu?

Na chwilę zamilkłam, a ja zwątpiłam, czy nie zmienić zdania. Prawie widziałam tę idealną dziewczynę - przypominała Jo i Ingrid i wyglądała na elegancką, zadbaną kobietę z reklamy perfum, okaz zdrowia, kiedy tak biegła przez usianą kwiatami łąkę. Gdybym ja miała pojawić się w reklamie, to pewnie stałabym w drzwiach na plakacie ze świątecznym apelem o pomoc bezdomnym.

- Yves? - Klepnęłam go w pierś: lepiej usłyszeć odpowiedź, nawet jeśli będzie zła, niż się zastanawiać.

Uśmiechnął się.

- Pokory - tego potrzebuję - kogoś, kto sprawi, że zastanowię się nad tym, co to znaczy być inteligentnym. Kogoś, kto wystawi na próbę moją samokontrolę. Chciałem przejść przez życie spokojny i opanowany; teraz zdaję sobie sprawę, że potrzebuję ognia, inaczej nigdy nie poczuję iskier. Myślę - wstyd mi się do tego przyznać - że groziło mi, że stanę się nijaki. Zacząłbym nosić kardigany przed trzydziestką, gdybyś ty się nie pojawiła.

Uśmiechnęłam się do tej wizji. Może kardigany nie byłyby takie złe, gdyby nie nosił nic pod spodem i raczył je rozpiąć.

- Tylko że nie jestem z twojej ligi, Yves. Nigdy nie chodziłam do szkoły.

- Jesteś mądra na swój własny sposób.

-W mojej wiedzy są ogromne luki. Jestem jak ser szwajcarski.

- A jednak zauważyłem, że masz swoje zdanie, kiedy się ze mną kłócisz; jestem przyzwyczajony do tego, że ludzie mi ustępują, bo myślą, że wiem więcej niż oni.

- Prawdopodobnie tak jest.

- Niekoniecznie. Nauka przychodzi mi łatwo. Znam dużo faktów i liczb, ale nie wiem nic o życiu. W przeciwieństwie do ciebie.

Poczułam dumę z samej siebie, chyba po raz pierwszy w życiu. Yves myślał, że wiem więcej o życiu, tak?

- Jesteś dokładnie taka, jak mówiłem: opiekuńcza, troskliwa i zdecydowana zadbać o innych, zanim pomyślisz o sobie. Jestem zachwycony twoją bezinteresownością, teraz nawet bardziej, bo poznałem ludzi, z którymi żyjesz. Jesteś dużo lepszym człowiekiem niż ja.

- Bzdura.

Przykrył moją rękę swoją, tak że obie nasze dłonie spoczywały na jego sercu.

- Mówię poważnie.

- Jestem złodziejką. I lubię to.
- Też byłbym złodziejem, gdybym urodził się w takim środowisku. Poza tym rozumiem tę radość z tego, że robisz coś dobrze. Ja czuję się tak, kiedy rozpracowuję jakąś formułę; ty wtedy, kiedy udaje ci się kradzież. Może znajdziemy coś innego, co da ci taki sam dreszcz emocji, tylko bez ryzyka, że skończysz w więzieniu?

Całowanie się z nim by wystarczyło, ale nie mogłam pozwolić, żeby dalej żywił te złudzenia. Wszystkie moje winy wypłynęły na powierzchnię, zanim zdążyłam lepiej przemyśleć moje wyznanie.

- Przeze mnie mojemu przyjacielowi stała się krzywda. Jednorożec zabrał mu dziesięć lat życia, bo nie chciałam mówić.

Yves pomasował mnie uspokajająco po karku.

- To nie twoja wina, tylko tych, co to zrobili. Chciałbym poznać twojego przyjaciela. Jeszcze raz, jak się nazywa?

- Tony. - Palcem narysowałam mu kółko na piersi. -Chciałabym, żebyś go poznał, ale to mój jedyny przyjaciel. Od pozostałych trzymaj się z daleka.

- OK. Później go poszukamy, jeśli myślisz, że to bezpieczne.

- Nic tu nie jest bezpieczne.

- W takim razie mniej ryzykowne.
- Tak, tak można powiedzieć.
- Tylko jedno, Phee.
- Hmm?
- Nie włączę żadnego z tych mechanizmów, które Widzący umieścił w twoim umyśle, więc nie waź się robić niczego, co może mieć podobny efekt. Mogę poświęcić jednego lub dwa pionki, żebyś była bezpieczna, ale ty nie gub mojej królowej.

Sposób, w jaki to opisywał, jakby to była niebezpieczna gra w szachy, wcale mnie nie uszczęśliwiał. Stawka była znacznie wyższa niż uścisk dłoni dla zwycięzcy.

- Wiesz, jak się czuję, Yves? - Pokręcił głową.
- Jakbym z zawiązanymi oczami szła przez most linowy. Nie wiem, czy pod spodem jest siatka, czy tylko rzeka pełna krokodyli.

Pocałował mnie w czoło.

- Uwielbiam twój sposób myślenia. Masz cudowną zdolność obrazowego przedstawiania - to znacznie ciekawsze niż moje dość dosłowne podejście do życia.

Zręcznie uniknął odpowiedzi.

- Więc co tam jest? Siatka czy krokodyle?
- A ty jak myślisz?

- Myślę, że ty myślisz, że jest tam siatka, ale nie dostrzegasz w niej wielkich dziur. Czy Victor i twój tata cię nie ostrzegali?

Pomasował mnie po rękę.

- Widzisz, mówiłem, że jesteś mądra.

- Czyli prosisz mnie, żebym szła na oślep - choć wiem, że jest duże prawdopodobieństwo, że mój przewodnik też nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nie zobaczę go, póki nie będzie za późno.

Yves zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Właśnie tak. Z drugiej strony możesz wziąć pod uwagę, że oni też mogą nie widzieć, przynajmniej niektórych rzeczy.

- Mam taką nadzieję.

- Wiem.

Rozczochrani i na bosaka siedzieliśmy po turecku na łóżku, kończąc piknik z mojego małego zapasu biszkoptów i wody, kiedy zostaliśmy wezwani. Było już późne popołudnie. Spodziewałam się jednego z moich przyrodnych braci, ale w drzwiach stała Kasia. Uśmiechnęła się na nasz widok.

-A więc to jest twój młody mężczyzna, Phoenix? -Przyjrzała mu się z aprobatą.

Yves spojrział na mnie, czekając, aż ich przedstawię.

- Yves, to jest Kasia. Jest ekspertką od telepatii. - Miałam nadzieję, że to wystarczające ostrzeżenie.

- Miło panią poznać - powiedział Yves uprzejmie, wstając i wyciągając do niej rękę.

Kasia krótko uścisnęła jego dłoń.

- Od kilku dni słuchałam twojego głosu; miło zobaczyć cię na żywo, Yves. Jesteście wzywani. Chodźcie za mną.

Wsunęłam buty i pobiegłam przyczesać włosy. Yves włożył koszulkę w spodnie i założył okulary. Bardziej gotowi być nie mogliśmy.

- Zaufaj mi - szepnął, kiedy opuszczaliśmy bezpieczną przystań mieszkania.

Kiedy szliśmy w kierunku apartamentu Widzącego, obserwowałam, jak Yves się zmienia. Wyprostował się, jego chód zaczął przypominać krok defiladowy i wysunął się o krok przede mnie, tak że teraz włokłam się za nim. Pierwszy przeszedł przez drzwi.

- Yves, mój drogi chłopcze, przepraszam za swoją podejrzliwość. - Widzący nie wstał, ale skinął

na Yvesa, żeby usiadł obok niego na kanapie. Ze swojego kąta przy ekranie telewizora Jednorożec i Smok zmierzyli mojego Przeznaczonego wrogim spojrzeniem. - Twoje informacje okazały się wiarygodne pod każdym względem. Moi partnerzy są bardzo zadowoleni ze szczegółów, które im przekazałem.

- Już im je pan wysłał? - odparł Yves, marszcząc brwi. - Mówiłem przecież, żeby nie kopiować tego z mojego klucza.

Widzący lekceważąco machnął ręką.

- Twoje dane nie przyniosłyby większego pożytku, gdybyśmy nie mogli przekazać ich dalej, czyż nie? Dzięki tobie Sieć Sawantów zostanie zniszczona, kawałek po kawałku. Oczywiście powoli. Nie chcemy, żeby zaczęli podejrzewać, skąd mamy informacje. I nikt nie zaszkodzi twojej rodzinie - to oczywiste.

Tylko dlatego, że Widzący potrzebował, by Benedictowie nieświadomie dalej przekazywali mu informacje. Nie łudziłam się, że oferował to ustępstwo ze względów humanitarnych. Jeszcze bardziej zdruzgotana byłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że zostałam wymieniona na prawdziwe informacje; Yves zrobił dokładnie to, co mówił: zdradził swoją rodzinę i przyjaciół. Czułam ból,

jakby ktoś uderzył mnie w żołądek. Do tej pory wierzyłam w cud. Nie mogłam znieść myśli, że przez jego przywiązanie do mnie Sky i jego bracia staną się pionkami, które był gotów poświęcić.

Yves strzelił palcami w moją stronę.

- Hej ty, Phee, chodź no tutaj.

- Słucham? - Oparłam ręce na biodrach i spiorunowałam go wzrokiem. W swojej grze posunął się za daleko.

- Za dużo myślisz. Pan Widzący mówi, że zostałem przyjęty, więc posadź swój tyłek tak, żebym cię widział. - Pochylił się ku Widzącemu. - Wciąż nie rozumie, co się dzieje - wszystko zmienia się zbyt szybko dla jej małego mózdzku. Mam zamiar mieć na nią oko.

Miałam ochotę walnąć jego nadęte ego, ale prosił mnie, żebym mu zaufała. Byłam jego jedynym przyjacielem, jeśli dla mnie przeciął więzy ze wszystkimi innymi.

Gwałtownym krokiem, żeby podkreślić moją irytację, podeszłam do kanapy i usiadłam tak daleko od niego, jak pozwalała na to długość siedzenia. Ale Yves nie zamierzał mi na to pozwolić. Objął mnie ręką w talii i posadził mnie sobie na kolanie, po czym położył mi dłoń na brzuchu.

Widzący nie uronił ani kawałka z tego pokazu, obdarzając nas odrażającym uśmiechem aprobaty.

Widzący skinął na jednego ze swoich ludzi, żeby podali mu szampana. Podał szklanekę Yvesowi, ale mnie nie. Nie miałam większej roli do odegrania w tej rozmowie niż poduszka leżąca na kanapie.

- Następnym krokiem, synu, będzie spotkanie z moimi partnerami dziś wieczorem. Mają dla nas propozycję.

- Jaką? - spytał Yves, ściskając mnie ostrzegawczo, kiedy zadrżałam, słysząc, jak Widzący nazywa go synem. Nigdy nie mówił „synu” inaczej niż żartem, chyba że chciał coś zakomunikować swoim słuchaczom.

- Biznesową. Pan New York uważa, że powinieneś stać się częścią jego organizacji, skoro większość czasu będziesz spędzał w Stanach, ale będę nalegał, żeby uważano cię za mojego człowieka. Jesteś w końcu Przeznaczonym mojej córki. Członkiem rodziny.

A więc zamierzali się sprzeczać o wewnętrzne źródło informacji? Wszystko, co mogło ich podzielić, było dobrą wiadomością. Pamiętając „Jima” New York, spodziewałam się, że nie odda tak smacznego kąska bez walki.

- Na pewno będziesz chciał często ją odwiedzać, prawda? - ciągnął Widzący, popijając szampana. - Sprawdzać, jak się tutaj miewa?

Yves wyciągnął ręce na oparciu kanapy, zostawiając mnie niepewnie siedzącą na jego kolanach.

- Wysłucham, co macie mi do powiedzenia dziś wieczorem, ale myślę, że powinien pan zrozumieć, że nie ma mowy, żebym zostawił Phee samą. Prawda, Phee?

Co miałam mu odpowiedzieć? Tak, proszę pana; nie, proszę pana? Tylko tyle zdołałam strawić, zanim rzuciłam:

- Prawda, Yves. Zostaję z tobą.

- Widzi pan. - Yves uśmiechnął się do Widzącego, jakby chcąc powiedzieć: „Co mogę zrobić”? Mała kobietka nie może bez niego żyć.

- Zdecydujemy o tym później. - Widzący nie zamierzał tak łatwo rezygnować ze swojego asa. Musiał zdawać sobie sprawę, że kiedy Yves mnie zabierze, jego kontrola nad nami znacznie osłabnie.

- W tej chwili chcę porozmawiać o interesach. Phoenix, idź i wystrój się na spotkanie, a ja i twój Przeznaczony porozmawiamy o konkretach.

W myślach pokazałam mu jeden palec i wstałam.

- Czy mogę znowu włożyć coś z szafy Wspólnoty?

- Oczywiście. I wybierz strój wieczorowy dla Yvesa, kiedy tam będziesz. Jest tam biała marynarka, która powinna być w sam raz.

Kątem oka zobaczyłam, jak Smok i Jednorożec wymieniają spojrzenia. Żadnemu mężczyźnie nie pozwolono dotąd włożyć czegoś, co było rozpoznawane jako kolor Widzącego.

- OK. Idę.

Yves klepnął mnie lekko, zachowując się tak, jakby zapomniał o mnie, jeszcze zanim wyszłam z pokoju. Kusilo mnie, żeby za plecami Widzącego pokazać mu język, ale nie mogłam ryzykować, że ktoś dostrzeże mój bunt, kiedy Yves tak bardzo starał się sprawiać wrażenie władcze-

go samca. Ale niech lepiej nie zacznie sobie niczego wyobrażać; na mój gust, stanowczo za bardzo podobała mu się ta rola.

19

Próbowałam dać się pochłonać przeglądaniu ubrań z magazynów Widzącego. Przy niektórych sukienkach te, które Karla wybrała nam w butik, wydawały się skromne. Tyle diamentów i cekinów widziałam tylko na damie z pantomimy. Wreszcie znalazłam suknię, którą uznałam za znośną - z delikatnego brzoskwiniowego szyfonu na satynowej halce. Miała klasyczny, zapinany na szyi dekolt, była odcinana pod biustem, a potem opadała luźno tuż nad moje kolana. Patrząc na siebie w lustrze, stwierdziłam, że ten kolor podkreśla moją opaleniznę i że wybrane przeze mnie pantofle na małym obcasie wysmuklają mi nogi, sprawiając, że wyglądają bardziej atrakcyjnie niż w moich niezgrabnych sportowych butach. Do stroju dobrałam inny diamentowy naszyjnik - tym razem delikatniejszy. Diamenty układały się w kształt kwiatów, więc wyglądałam, jakbym miała na szyi bezcenny naszyjnik ze stokrotek.

Dla Yvesa znalazłam białą wieczorową marynarkę i czarne spodnie projektu Paula Smitha - albo doskonałą ich podróbkę - w magazynach Widzącego niczego nie można było być pewnym. Nie znałam jeszcze dokładnie rozmiaru Yvesa, więc podniosłam je w dłoniach, próbując wyobrazić sobie, w którym miejscu w stosunku do mojego ciała znajduje się jego talia.

- Chyba na ciebie nie pasują. Upuściłam spodnie na dywan. Jednorożec cicho stanął za mną i obserwował mnie w lustrze wzrokiem zimnym i pełnym nienawiści. Złapał się za nasadę wystającego nosa, próbując opanować gniew.

- Och, sama nie wiem. Myślę że wieczorowa marynarka dopełni mojego stroju. - Podniosłam ją na wyściełanym wieszaku, żeby mu pokazać. - Wcześniej nie lubiłam białego, ale teraz... cóż, może zmieniłam zdanie.

Podszedł do mnie prędko, zabrał mi marynarkę z ręki i odwiesił ją na drążek za mną.

- Nie myśl, że skoro twoim partnerem jest najnowsza zabawka Widzącego, przejmiesz jego interesy, kiedy on ustąpi.

Jakbym chciała grać jakąś rolę w tym nic nieznaczącym królestwie.

- To nie jest moja ambicja, Jednorożcu, tylko twoja. - Podniosłam spodnie z podłogi i powiesiłam je na oparciu krzesła. - Ja chcę tylko być szczęśliwa i żyć gdzieś, gdzie nie będę się bać.

Pod wpływem ruchu moja biżuteria zakołysała się w przód, a błysk kamieni przyciągnął jego wzrok. Uniósł naszyjnik i puścił go.

- Na zewnątrz nie ma dla nas takiego miejsca, Phee, nie z naszymi darami. Dla reszty świata jesteśmy świrami, a ty albo zarządzasz cyrkiem, albo słuchasz rozkazów mistrza pokazu.

- Myślę, że się mylisz - odparłam cicho, nie cofając się, jak się tego spodziewał. - Istnieją sawanci, którzy wiodą normalne życie. Ono nie musi wyglądać tak jak nasze.

Wykrzywił pogardliwie usta.

- Kto tak mówi? Twój kochany Przeznaczony? Spójrz na niego: szybko sprzedał własną rodzinę, co? My we Wspólnocie jesteśmy przynajmniej lojalni wobec siebie. Pluję na niego i na jego tak zwane zwyczajne życie, jeśli tak ma wyglądać.

Nie potrafiłam znaleźć argumentu przeciwko niemu, jeśli nie chciałam zdradzić mojej nadziei, że wbrew wszystkiemu Yves znajdzie sposób, by uniknąć zniszczenia Sieci Sawantów.

Zaintrygowało mnie, że Jednorożec naprawdę wierzył we Wspólnotę i był wobec niej na swój sposób lojalny. Ale może mogłabym go zrozumieć, gdybym postawiła się na jego miejscu: to była jedyna rodzina, którą znaliśmy; czego innego mógł się trzymać? Byłam tak przyzwyczajona do tego, że się go boję, że zapomniałam, iż on także był kilkunastoletnią ofiarą Widzącego, tylko że radził sobie z tą sytuacją zupełnie inaczej niż ja.

Potałam ramiona, by wygładzić gęsią skórę, która pojawiła się na mojej nagiej skórze.

- Mimo to nie zaprzeczysz, że Widzący jest zachwycony Yvesem. Może moje życie stanie się trochę lepsze, skoro tak ceni mojego Przeznaczonego.

Jednorożec wbił palec wskazujący w moją pierś, żeby podkreślić każde słowo.

- Nie zajmiesz mojego miejsca, Phoenix. Zbyt wiele z mojego życia oddałem naszemu ojcu, żeby na to teraz pozwolić. Spędziłem wiele lat, żeby zasłużyć na swoje miejsce, i nie pozwolę go przejąć jakiejś kościstej lalce.

Odepchnęłam jego rękę.

- To przecież nie mój wybór. Jeśli Widzący chce mieć Yvesa u swojego boku, to jego sprawa.

- Widzący aż tak mu nie ufa. Poza tym wie dokładnie, jaka jesteś miękka - nie można na tobie polegać, kiedy przychodzi do trudnych decyzji. Do prawdziwej roboty wciąż będzie potrzebował mnie i Smoka.

- W takim razie nie masz się czego obawiać.

Jednorożec zbliżył się do mnie i złapał mnie za ramiona, wbijając mi palce w skórę, tak że jego paznokcie zostawiły na niej ślady w kształcie półksiężyców.

- Postaraj się, żebym nie miał. Jeśli twój Przeznaczony wejdzie mi w drogę, pošlę go przedwcześnie do grobu. Będzie miał ze sto lat - ale zajmie mi to tylko kilka minut. Nie spodoba mu się to, ale ja będę smakował każdą z nich. I będę się śmiał, kiedy będziesz żegnać pomarszczonego, bezzębne staruszka pocałunkami.

- Nienawidzę cię - szepnęłam, patrząc na wzmocnione czubki jego czarnych butów stojące tuż obok czubków moich pantofelków. Nie mogłam pozwolić, by zobaczył przerażenie w moich oczach na samą myśl o tym, że zwróci swój dar przeciwko Yvesowi.

Z korytarza dobiegły nas kroki. Jednorożec siłą przyciągnął moją głowę do swojej piersi, ręką

boleśnie łapiąc mnie za włosy w udawanym braterskim uścisku.

- Cieszę się, że to mówisz, Phee. Teraz dokładnie wiemy, na czym stoimy, prawda?

Nic nie odpowiedziałam.

- Prawda? - Wykręcił rękę, ciągnąc mnie za cebulki włosów.

- Tak - wykrztusiłam.

- Phee, wszystko w porządku? - Yves wszedł do środka na sam koniec naszej wymiany zdań.

Jednorożec odsunął mnie z ostrzegawczym spojrzeniem.

- Tak, w porządku. Rozmawialiśmy sobie właśnie jak brat z siostrą, prawda, siostrzyczko?

Skinęłam głową, masując się po głowie.

- Teraz pozwolę wam się przygotować. Wychodzimy za piętnaście minut - to miałem ci przekazać, Phee. - Minął Yvesa z wymuszonym uśmiechem.

- O co chodziło? - spytał Yves, mierząc wychodzącego Jednorożca wzrokiem.

- O to, co zwykle. Groźby, kary i zastraszanie. - Potarłam ramiona, próbując odzyskać kontrolę nad emocjami. Nie mogłam pozwolić, żeby Jednorożec zrobił ze mnie trzęsący się wrak; zbyt często robił to w przeszłości, a ja

musiałam znaleźć w sobie siłę, by mu się przeciwstawić. - Tylko obiecaj mi, że będziesz się trzymał z daleka od niego. Jest bardzo potężny.

r- Pewnie. Nie widzę nas spędzających Święto Dziękczynienia z twoją rodziną, kochanie. - Yves zdjął koszulkę i wziął z wieszaka koszulę, którą dla niego znalazłam.

- Jeśli to jest moja rodzina. Nadal mam nadzieję, że moja mama miała innego chłopaka. - Podałam mu spodnie. - Nie jestem pewna, czy będą pasować.

- Odwróć się, chyba że chcesz oglądać moje bokserki -zażartował.

Uśmiechnęłam się blado i zajęłam się przetrząsaniem pudła z krawatami w poszukiwaniu białej muszki.

- Mówiłem ci, że pięknie wyglądasz? Bardzo lubię cię w tym kolorze.

- Dziękuję.

- Naszyjnik jest idealny. - Próbował mnie rozweselić i to działało - był jak promień słońca po przejmującym mrozie, który bił od Jednorożca.

Odwróciłam się do niego i podałam mu krawat.

- Szkoda, że cała biżuteria jest kradziona, co?

- No tak. Ale może zamówię dla ciebie taki sam, kiedy wyjedziemy do Stanów.

- Sky wspomniała, że jesteś obrzydliwie bogaty. Wzruszył ramionami.

- Kłopotliwe, ale to prawda. Przynajmniej nie będziemy musieli się martwić o to, jak opłacimy twój college. Udzielę ci pożyczki.

Na chwilę przymknęłam oczy, kiedy owładnął nami ten kuszący sen. Nie podważyłam jego założenia, że z nim pojedę, bo po prostu nie wierzyłam, że to się stanie.

- Mogłabym pójść do college'u? Przecież nie mam żadnych kwalifikacji.

Yves uniósł kosmyki moich włosów i pocałował mnie w kark.

- Najpierw możesz zdobyć świadectwo ukończenia szkoły średniej dzięki intensywnej nauce z bardzo utalentowanym nauczycielem. - Teraz pocałował moją odsłoniętą łopatkę. - Lekcje nie będą nic kosztować, bo w zamian będzie prosił tylko o całusy. - Musnął ustami drugie ramię, łagodząc ból.

- Domyślam się, że ten nauczyciel ma około pięćdziesiątki, nadwagę i czesze się na pożyczkę? Hmm, tak, to będzie interesujące.

- Ha, ha. - „Ukarał” mnie za ten żart pocałunkiem w zuchwę. - Ma prawie osiemnaście lat i skończył liceumz najwyższymi stopniami ze wszystkich przedmiotów, jako jeden z pięciu najlepszych uczniów.

- To chyba jakiś kujon. Nie jestem pewna, czy będę chciała się z nim całować.

- Ależ tak. Wiem z doświadczenia, że uwielbiasz całować się z tym konkretnym erudytą. Wolę ten termin niż „kujon” - brzmi dużo bardziej atrakcyjnie.

- Ale on sam będzie chodził do college'u. Nie może tracić czasu na uczenie kogoś, kto nigdy nie korzystał z formalnej edukacji. - Objęłam go ramionami i przysunęłam się, żeby go przytulić. Yves potrafił przegnać ostatni dreszcz pozostały po nieprzyjemnym spotkaniu z moim tak zwanym krewnym.

- Sprawí mu to ogromną przyjemność. Poza tym znajdzie ci szkołę obok swojej, więc podczas gdy on będzie studiował te swoje nauki o Ziemi, ty będziesz mogła wieść własne życie.

- Hmm, brzmi jak spełnione marzenie.

- Więc usiądź i patrz, jak je realizuję.

Była tylko mała przeszkoda w postaci Sieci Sawantów, którą zdradził, i spotkania ze współpracującymi z Widzącym kryminalistami.

- Yves...

Położył mi palec na wargach.

- Cii. Nie teraz. Zaufanie, pamiętasz?

Prosił mnie o więcej niż ktokolwiek przedtem. Niełatwo było mi uwierzyć drugiej osobie. Ale to był Yves. Skinęłam głową i przełknęłam ślinę, próbując uśmiechnąć się pogodnie.

- OK, przystojniaku, chodźmy wzbudzić entuzjazm tłumów naszym czarującym czarem.

Yves parsknął śmiechem.

- Czarującym czarem? Nie brzmi najlepiej.

- No cóż, w tej chwili nie jestem w najlepszej formie.

- Wiesz, myślałam, że w college'u powinnaś zrobić dyplom z literatury. Jak ci się to podoba?

- Nic nie robić, tylko czytać książki? Bardzo chętnie. Yves przyciągnął mnie do siebie i wziął głęboki oddech.

- Zapamiętaj to. Chodźmy wypić to piwo.

Spodziewałam się, że pójdziemy prosto na spotkanie biznesowe albo na kolację, podobnie jak poprzednio, kiedy poznałam światowych partnerów Widzącego. Jednak informacja, którą przekazał im Yves, nastroiła wszystkich do świętowania, więc mieliśmy zacząć wieczór w prywatnym klubie jazzowym w Soho. Delegacja ze Wspólnoty składała się z Widzącego, Smoka, Jednorożca, Yvesa i mnie. Nigdzie nie widziałam Kasi, ale to nie oznaczało, że nie znajdowała się gdzieś blisko, żeby kontrolować przebieg spotkania. Wszyscy ważni sawanci mieli swoich własnych ekspertów od komunikacji - byliby głupi, gdyby tak nie było, a żaden z nich nie zrobił na mnie wrażenia idioty.

Taksówka wysadziła nas na chodniku przy Frith Street naprzeciwko czarnych drzwi prowadzących do oświetlonego klubu Knowledge. Wnętrze tej osiemnastowiecznej kamienicy zostało całkowicie rozprute i wydrążone aż do piwnic, żeby stworzyć odpowiednią przestrzeń na scenę dla muzyków i ustawionych wokół niej małych stolików dla widzów. Zostawiono tylko rząd otwieranych pionowo okien na poziomie pierwszego i drugiego piętra, które miały przypominać o historycznym pochodzeniu tego budynku. Tłum modnie ubranych, wchodzących i

wychodzących klientów potwierdzał, że był to jeden z najpopularniejszych klubów w Londynie. Obecność delegacji lordów sawanckiego świata przestępczego zapowiadała, że niedługo może się tu zrobić gorąco.

Widzący strzepnął nieistniejący pyłek z klapy marynarki.

- To na twoją cześć - poinformował Yvesa, uśmiechając się przelotnie.

- Jestem pod wrażeniem. - Yves przyjrzał się zatłoczonej ulicy pełnej dobrze prosperujących barów i klubów. - Zawsze chciałem odwiedzić Knowledge - każdy miłośnik jazzu, kiedy przyjeżdża do Londynu, ma go na szczycie swojej listy. Skąd pan wiedział, że kocham muzykę?

Widzący ruszył przed siebie.

- Byłbyś zaskoczony tym, czego dowiedzieliśmy się o tobie przez te wszystkie lata, Yves. Według mojego amerykańskiego kolegi wiodłeś spokojne życie, ale nie wszystko da się ukryć przed zainteresowanymi. - Zatrzymał się na progu. - Ale pewnie o tym wiesz, bo ty też nas obserwowałeś, prawda?

Yves ścisnął moją rękę.

- Może niektórzy obserwowali. Ale nie ja. Przez ostatnie cztery lata chodziłem do liceum i dużo się uczyłem. Nie było czasu na szpiegowanie.

- Niewątpliwie jesteś też bardzo sprytny. - Widzący niecierpliwie skinął na nas, byśmy poszli za nim. - Mam wielu osiłków wokół siebie, ale w mojej działalności potrzebuję więcej ludzi inteligentnych. Będziesz mile widzianym uzupełnieniem. Myślę, że sam odkryjesz, że dysponujesz dużo większymi możliwościami, kiedy nie ograniczają cię głupie tabu Sieci Sawantów.

Jak moralność i przyzwoitość.

Za jego plecami Jednorożec i Smok zmierzli mnie wrogimi spojrzeniami, ale, doprawdy, nie było moją winą, że Widzący zaklasyfikował ich jako „nic ponad użyteczne mięśnie”.

Z sali dobiegały żalosne dźwięki saksofonu. Widzący wszedł do środka, a my za nim, jak płaszcz łopoczący mu za plecami. Widownia była pełna, ale sawanci zarezerwowali najlepsze miejsce, dokładnie naprzeciw sceny. Wszyscy już tam byli - każda organizacja przestępcza na świecie miała swego reprezentanta, tak jak poprzednio w hotelu. Na stolikach paliły się małe świeczki w czerwonych świecznikach; w przyćmionym świetle płomienie wyglądały jak oczy demonów przykucniętych na

brzegu stolików i przyglądających się nam złowrogo. Opanowało mnie nagle pragnienie, żeby odwrócić się na pięcie i uciec, by ratować życie. Yves ścisnął mnie mocniej, wyczuwając moje wahanie.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął.

Nasze wejście zbiegło się z ostatnimi dźwiękami Cry Me a River, po których zerwały się oklaski. Widzący uśmiechnął się, zadowolony z takiego zbiegu okoliczności - wyglądało, jakby to jego witano. „Jim” New York wstał i machnął do nas. Pozostali członkowie grupy - Moskwa, Pekin, Sydney i reszta - siedzieli obok niego. To nie miał być czas na prywatną rozmowę; byliśmy tu na pokaz, żeby udowodnić, że Widzący ujarzmił Benedicta.

Jim podał Widzącemu rękę, po czym poklepał Yvesa po ramieniu.

- Miło mi cię poznać. Jestem New York. Dużo o tobie czytałem, ale nigdy nie sądziłem, że nadejdzie taki dzień.

- Dojrzał mnie za plecami Yvesa. - Ale jeśli miałbym taką kobietkę pod opieką, też przemyślałbym swój plan na życie. - Wziął mnie pod rękę i przyciągnął w krąg światła przy stole, zachowując się tak, jakbyśmy byli starymi

przyjaciółmi. - Wygląda pani uroczo, panno London. Proszę usiąść.

Przy stole stały tylko cztery krzesła, więc Jednorożec i Smok musieli poszukać miejsc tak blisko, jak mogli. Nadszedł kelner z butelką szampana i zaczął napełniać nam kieliszki. Udawałam, że przyłączam się do toastu, ale zostawiłam kieliszek nietknięty. Yves pod stołem trzymał mnie za rękę, dodając mi tak potrzebnej otuchy, i jednocześnie swobodnie rozmawiał z Jimem o baseballu. Ponieważ ja byłam tu tylko dla dekoracji, rozejrzałam się po sali, w której siedzieliśmy, w poszukiwaniu dróg ucieczki na wypadek, gdybyśmy musieli szybko opuścić lokal. Dopiero kiedy dostrzegłam najbliższe wyjście awaryjne ze świecącym na zielono obrazkiem biegnącego człowieka, zwróciłam uwagę na muzyków. Konwulsyjnie ścisnęłam Yvesa za rękę. Na saksofonie grała mała blondynka. Ciężki makijaż, okulary w czarnej oprawie i krwistoczerwona szminka nie ukryły jej tożsamości przed kimś, kto ostatnie dwa dni dzielił z nią sypialnię. To była Sky. Z nadzieją przemieszana z przerażeniem rozglądałam się za Zedem, domyślając się, że nie pozwoliłby swojej Przeznaczonej samotnie pakować się w tę sytuację.

Wreszcie zidentyfikowałam go w brodatym perkusiście w kwiciastej koszuli i, tak tak, skarpetkach do sandałów. Ugryzłam się w język, by powstrzymać absurdalne pragnienie parsknięcia śmiechem na widok tego modowego poświęcenia dla naszej sprawy.

Co to wszystko miało znaczyć? Jeśli byli tu oni, to pewnie także pozostali Benedictowie. Albo wiedzieli, że Yves ich zdradził, albo to on przez cały czas oszukiwał i grał przeciwko Widzącemu. Zamknęłam oczy, czując, że kręci mi się w głowie. Jeśli tak się okaże, wtedy będę zmuszona skrzywdzić kogoś, kogo on kocha. Po prostu nie mogłam... nie zrobiłabym tego... chyba że... dotarło do mnie, że rozkaz Widzącego nie zabronił mi zwrócić się przeciwko sobie samej. Yves mnie kochał - powiedział mi to ledwie kilka godzin temu. Prędzej zrobię coś sobie, niż dotknę kogoś z jego rodziny.

- Wszystko w porządku, skarbie? - Widzący udał zmartwienie na widok mojej zbolalej twarzy, ale wiedziałam, że jest zaniepokojony moim zachowaniem. Staralam się opanować. Nie wiedziałam na pewno, co spowodowało tu Benedictów. Yves przysiągł mi, że nie uruchomi żadnego z mechanizmów, które Widzący umieścił w

mojej głowie. Benedictowie mogli mieć inne źródła informacji, o których nic nie wiedziałam. Nie było potrzeby przesadnie reagować, dysponując tylko domysłami.

- Um... tak, dziękuję. Myślałam tylko o tej piosence. Zawsze przypomina mi o śmierci mojej mamy.

Jim dosłyszał moją uwagę i potrząsnął głową.

- Och, nie możemy się na to zgodzić - żadnych smutnych myśli dziś wieczorem. Poprosimy ich, żeby zagrali coś, co lubisz. Na co masz ochotę?

Zastanowiłam się szybko, szukając odpowiedniej piosenki wśród tych, które znałam.

- Może I Put a Spell on You? - Słyszałam ją ostatnio w jakiejś kawiarni, a tytuł wydawał się dziwnie odpowiadać mocy sawantów.

Jim strzelił palcami i kazał kelnerowi przekazać żądanie. Muzycy przerwali przygotowania do następnego utworu i naradzili się szybko. Posłali następną wiadomość za kulisy, podczas gdy pianista - którego nie rozpoznawałam - przygrywał składankę różnych piosenek. Zza kurtyny wyszła kształtna, starsza kobieta w obcisłej czerwonej sukni i jedwabnym turbanie i podeszła do mikrofonu, żeby śpiewać. Żałowałam, że nie

wybrałam piosenki bez tekstu, bo w ciągu sekundy dotarło do mnie, że mój wybór sprowadził w światła reflektorów Karłę, mamę Yvesa. Dzięki ciemnym okularom i ciężkiej biżuterii była prawie nie do poznania. I, o rany, jak ona śpiewała! Nikt nie podejrzewałby, że została tu podstawiona przez Victora, bo głos miała jak profesjonalistka - głęboki i zmysłowy.

Nie byłam pewna, czy Yves zdawał sobie sprawę, że jest otoczony przez swoją rodzinę, bo jego uwaga wydawała się skoncentrowana na naszych gospodarzach. Przecież musiał rozpoznawać głos własnej matki? Ale jeśli tak było, nie dał tego po sobie poznać.

- Um... Yves... - szepnęłam. Chciałam, żeby zwrócił na mnie uwagę, żeby mój wyraz twarzy wszystko mu wyjaśnił, bo nie ośmieliłam się użyć słów.

Rzucił mi bezczelny uśmiech, tak niepasujący do jego zazwyczaj pogodnej, otwartej twarzy.

- Nie teraz, kochanie.

To nie była odpowiedź. Wciąż nie byłam pewna, czy coś wiedział. Ustąpiłam i przez kilka minut przysłuchiwałam się ich rozmowie. Jim próbował zwabić Yvesa do swojej organizacji, w zawołanych słowach opowiadając mu o handlu

narkotykami, który prowadził wraz z innymi członkami luźno powiązanej organizacji złych sawantów.

Wyczuwałam, że Widzący był coraz bardziej wściekły na te próby odsunięcia go z gry.

- Londyn to duży rynek - przerwał im nagle.
- Chcę, żeby Yves pomógł mi opracować drogę do stolicy. Jego doświadczenie z komputerami będzie bezcenne przy omijaniu kontroli celnej.

Jim lekceważąco machnął ręką.

- Mówisz o tych głupcach? Mamy utalentowanych przewoźników, którzy dzięki swojej mocy potrafią przekonać każdego, żeby ich przepuścić.

-Ale czy nie lepiej mieć niezawodny program, który oczyści z podejrzeń każdy towar, który wysyłamy? Jeśli wprowadzi się go jako już sprawdzony, nie będzie potrzeby uciekać się do innych sposobów. - Widzący upił szampana i zmarszczył nos. - Trochę zbyt wytrawny. - Skinął na kelnera, żeby przyniósł inną butelkę, i doprecyzował rocznik - niezbyt subtelny znak, że przejmował kontrolę nad naszą grupką. - Co o tym myślisz, Yves?

Yves wyglądał, jakby zaskoczył go taki obrót sytuacji.

- Oba pomysły są interesujące - odparł dyplomatycznie. - Ale na technologii nie zawsze można polegać. Rządowi może przyjść do głowy zrobić wyrywkową kontrolę. Poza tym psy celne zawsze mogą wyłapać przewoźnika.

Jim roześmiał się ponuro.

- Przekłete psy. Jeszcze nie znalazłem kogoś, kto przekonałby je, żeby obwąchiwały kogo innego - kontrola umysłu działa tylko na ludzi.

Widzący przeniósł wzrok na mnie. - A ty, Phoenix? Potrafisz kontrolować zwierzęta? - Zwrócił się z powrotem do Jima. - Moja córka robi bardzo sprytny numer - potrafi na kilka sekund zatrzymać działanie mózgu.

Jim uniósł do mnie kieliszek.

- Nie widzę problemu, dlaczego nie miałyby to działać na psy. Co o tym myślisz?

- Yyy... nigdy nie próbowałam. - Czułam obrzydzenie. Wystarczająco źle było być złodziejem, a teraz Widzący planował użyć mnie jako przemytnika narkotyków. - Mu-siałabym to przemyśleć. Przepraszam. Pójdę się odświeżyć. - Jeśli Yves nie pozwalał mi się ostrzec, chciałam sprawdzić, czy uda mi się dowiedzieć, co się dzieje, żebym była przygotowana na to, co się stanie. Yves

wciąż trzymał mnie za rękę, nie chcąc pozwolić mi odejść, ale wyrwałam mu się. - Za chwilę wrócę.

Poszłam do toalety, świadoma, że Jednoróżec wstał od stolika i idzie za mną. Cały czas wypatrywałam pozostałych Benedictów, ale jeśli byli przebrani, to ich nie zauważyłam. Uśmiechnęłam się kwaśno do Jednoróżca i weszłam do łazienki. Tam stanęłam, wpatrując się w lustro przez pełnych pięć minut, mając nadzieję, że Sky albo Karla zrozumieją i przyjdą tutaj, żeby wyjaśnić mi, co tu robią. Chciałam mieć też szansę wstawić się za Yvesem - jeśli zdradził ich dla mnie - i dowiedzieć się, jakie mają plany, bo na pewno jakieś mieli, a nie mieli okazji, żeby się tym z nami podzielić, odkąd Yves dołączył do Wspólnoty. Przy tylu osobach niemających pojęcia, co planuje druga strona, groziło nam, że zapanuje kompletny chaos.

Ale nikt nie przyszedł.

20

Jednorożec wciąż stał na straży, kiedy wyszłam, przyklepując włosy, jakbym spędziła ten czas na poprawianiu swojego wyglądu. Tego mógł się spodziewać po dziewczynie. Nic dziwnego, że byłam tam sama, skoro on stał przed wejściem z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Przełknęłam uwagę o wariatach straszących w damskich toaletach, którą miałam ochotę wygłosić, i prędko wróciłam na miejsce. Zauważyłam, że Karla zeszła ze sceny, a zespół zaczął grać melodie, których nie rozpoznawałam. Sky nadal improwizowała na saksofonie, ze wzrokiem utkwionym w perkusie, dostrajając się do jego rytmu. Nie rozumiałam, jak mogą grać tak swobodnie i lekko, podczas gdy wszystko zmierzało ku katastrofie.

- W porządku? - szepnął Yves.
- Hmm. - Byłam spięta do granic możliwości. Nie! - chciałam krzyknąć - nie widzisz, że twoja rodzina jest w klubie, a my jesteśmy

otoczeni bandą bezlitosnych morderców, którzy planują, jak zarobić na nieszczęściu innych ludzi? - Jest cudownie, dziękuję.

Yves pogłaskał mnie po ramieniu i uśmiechnął się krzepiąco.

Jego gest był przedwczesny. Zanim zdążyłam się zorientować, nastąpił kryzys. Mężczyzna siedzący przy stoliku obok zerknął na telefon, po czym podszedł do Jima. Pochylił się nad nim i szepnął mu coś do ucha.

New York uniósł brwi do góry.

- Jesteś pewien?

Mężczyzna skinął głową i pokazał mu wiadomość.

Yves postukał mnie po nadgarstku, jakby chcąc mnie ostrzec, ale przed czym, nie miałam pojęcia. Bądź gotowa - zdawał się mówić.

Jim zwrócił się do Yvesa.

- No proszę, Benedict, zdaje się, że mamy pewien problem z danymi, których nam dostarczyłeś.

Yves zakręcił szampanem w kieliszku.

- Jaki problem? Jeśli zrobiliście tak, jak mówiłem, nie powinniście mieć żadnych trudności.

- A co mówiłeś? - Jim sięgnął do kieszeni marynarki -przez jedną okropną chwilę myślałam,

że sięga po pistolet, ale zamiast tego wyciągnął smartfona.

- Mówiłem, żebyście nie kopiowali oryginalnego pliku.

- Za późno - wszyscy dostaliśmy kopie. I w jakiś sposób, odkąd sprawdzałem po raz ostatni, nazwiska się zmieniły.

Yves skinął głową, jakby tego należało się spodziewać.

- Twoje dane sugerują teraz, że Kaczor Donald i Myszka Miki są czołowymi członkami Sieci Sawantów. - Jim był daleki od rozbawienia. - I w jakiś sposób te nazwy zastąpiły nazwiska prawdziwych osób, które sprawdzałem dziś po południu.

Yves wzruszył ramionami.

- Wydrukowaliście tę listę? Jim poluzował krawat, bo jego szyja napęczniała zezłości.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale ty o tym wiesz, prawda? Zabezpieczyłeś plik tak, że nie mogliśmy zrobić nic, tylko odczytać go na ekranie.

Yves odsunął kieliszek.

- Mogę to zmienić, żaden problem. To tylko kwestia ustawienia zezwoleń.

Widziałam, że dookoła nas pozostali sawanci otrzymywali SMS-y albo szeptane wiadomości.

-Tołstoj! Rasputin! - splunął pan Moskwa, rzucając smartfona na stół. Jego ochroniarze stanęli mu za plecami, z rękoma w kieszeniach albo pod kurtką w poszukiwaniu broni. - To obelga!

- Bardzo śmieszne: Krokodyl Dundee i Kylie Minogue. - Pan Sydney odsunął krzesło i złapał Yvesa za kark. -W co ty grasz, chłopaczku?

Z sercem w gardle obserwowałam, jak poruszenie z przodu przyciąga uwagę pozostałych klientów, a ci ostrożniejsi wstali, żeby wyjść. Kelnerzy zajęli pozycje, gotowi, by przerwać kłótnię - ale nie wyglądali jak przeciętny personel baru, z jakim dotąd miałam do czynienia. Byli zbyt czujni i zupełnie niezaskoczeni kryzysem na przedzie. Chociaż nie widziałam ani śladu starszego brata Yvesa, zaczynałam podejrzewać, że byliśmy otoczeni znajomymi Victora z policji. Nawet zespół dostrzegł dramat i gwałtownie przerwał grę, kiedy sawanci zgromadzili się dookoła naszego stolika.

Yves zachowywał się spokojnie.

- To nie gra - powiedział głośno w zupełnej ciszy. -Ostrzegalem, żebyście nie kopiowali danych z mojego pendrive'a. Kiedy tylko zostają skopiowane, zaczyna się proces autodestrukcji. - Yves strącił rękę Sydneya i odsunął się od stołu, tak że znalazłam się za nim. - Chyba nie spodziewacie

się, że zostawię wrażliwe dane niezabezpieczone i aż prosząc się, żeby wrzucić je na Wikileaks? Myślałem, że macie lepsze protokoły bezpieczeństwa -mówił, z pogardą dla ich technicznej wiedzy. - Dane, skopiowane z oryginalnego pliku, stopniowo się uszkadzają - oczywiście w sposób odpowiedni dla kręgu kulturowego odbiorcy. Lubię, żeby zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Nie próbuję ukryć tego, co zrobiłem.

Jim popchnął Yvesa z powrotem na krzesło.

- Więc, czy po tej zabawnej demonstracji twoich technicznych sztuczek możesz wysłać nam te dane ponownie? Tak żeby nie ulegały zniszczeniu?

- Pewnie. Potrzebuję tylko pięciu minut przy porządnym komputerze. - Yves rozejrzał się niewinnie dookoła, jakby spodziewał się, że jakiś komputer pojawi się przed nim pośrodku nocnego klubu.

Ale Widzącemu nie spodobało się, że jego protegowany zaskakuje ich tym publicznie, bez żadnego ostrzeżenia. Nie kupował wytłumaczenia, które Yves próbował sprzedać.

- Phoenix, idź i dołącz do braci.

- Co? Czemu? - Nie podobało mi się, że znalazłam się w świetle reflektorów i uwaga sawantów zwróciła się w moją stronę.

Yves okazał pierwsze oznaki niepewności.

- Ona zostaje tutaj.

- Nie, idzie. - Widzący skinął na Smoka, żeby zabrał mnie ze środka zgromadzenia. - Myślę, że skoncentrujesz się lepiej, wiedząc, że opiekuje się nią jej rodzina. - Obdarzył Yvesa pozbawionym humoru uśmiechem. - Zaczynam się zastanawiać, panie Benedict, czy zarezerwował pan dla nas więcej niespodzianek. Pamiętaj, jest coś, co Phoenix musi zrobić, jeśli nas zdradziłeś, więc zastanów się, zanim odpowiesz.

- Nic nie zrobiłem. Powiedziałem wam, żebyście nie kopiowali danych. Sami do tego doprowadziliście.

- Ale musiałeś zdawać sobie sprawę, że będziemy mogli wykorzystać twoje dane tylko wówczas, kiedy roześlemy je do wszystkich zainteresowanych.

- Tylko że nigdy nie poprosiliście mnie, żebym to umożliwił, prawda?

O Boże, to było to! Moja niepewność uleciała tak szybko jak balon wypełniony helem. Yves ominął problem lojalności wobec swojej rodziny i

obietnicy, którą mi złożył, pozwalając, żeby inni podjęli decyzję, która spowodowała zniszczenie danych. Dosłownie sami doprowadzili do tego, że zostali zdradzeni. Ulga była obezwładniająca.

Smok wyczuł, że rozmowa zmierza w niepożądanym kierunku, i wygiął mi rękę za plecami, powstrzymując mnie przed wykonywaniem gwałtownych ruchów. Oboje zostaliśmy jednak w zasięgu słuchu. Rozpaczliwie zerkałam na to, co robi drużyna Victora, ale wszyscy trzymali się na dystans. Zastanawiałam się, czy założyli wszędzie podsłuchy; może mieli nadzieję, że sawanci jeszcze bardziej się pogrążą? New York rozmawiał już o przemyśle narkotyków, czy to nie wystarczało? A może czekali, aż Yves da im jakiś sygnał. Pospiesz się, Victor, skończ to, zanim Yvesowi stanie się krzywda!

Jim zmieszany przyglądał się Yvesowi.

- Wobec kogo właściwie jest pan lojalny, panie Benedict?

Widzący skinął na Jednoroźca, każąc mu się zbliżyć.

- Myślę, że to jasne - swojej Przeznaczonej.

Jim złapał Yvesa za szyję, przyszpilając go do krzesła.

- Chciałbym wiedzieć, co jeszcze było na tym pendrivie. Skoro był tam jeden wirus, to może skopiowaliśmy ich więcej do naszych systemów. Byliśmy głupi, że nie wzięliśmy tego pod uwagę, zanim nie rzuciliśmy się na te informacje.

- Zgadza się. Obawiam się, że wszyscy trochę straciliśmy głowy. - Pełen wyrzutu ton Widzącego mroził krew w żyłach. - Jednoroźcu, przypomnij panu Benedictowi, co może stracić, jeśli nas oszuka.

Jednorożec zdjął skórzaną rękawicę i rozprostował palce.

- Jak dużo mam zabrać?

- Rok czy dwa powinny wystarczyć. Yves szarpnął się w uścisku Jima.

- Co robisz? Popchnęłam Smoka.

- Nie waż się go dotykać!

Widzący zwrócił na mnie swoje blade oczy.

- To nie o siebie on dba, moja droga. Zastanawiam się, czy jeśli postarzy się Przeznaczoną, to więź z jej połową zostaje przerwana? W końcu legenda głosi, że jesteście złączeni momentem urodzenia.

- Nie! Proszę! - krzyknęłam, walcząc z uściskiem Smoka, kiedy Jednorożec ruszył w moim kierunku. Wydarzenia wymykały się spod kontroli i

zmieniły się w koszmar. Jednorożec wyglądał na zachwyconego swoim nowym zadaniem - tak bardzo musiał mnie nienawidzić. - Proszę nie!

Wołając Victora na pomoc, Yves wyrwał się Jimowi i próbował przedrzeć się przez tłum, żeby mnie dosięgnąć, ale pozostali sawanci go zatrzymali. W rozpaczy chwyciłam wzorzec myślowy Jednorożca i udało mi się go zamrozić na kilka sekund, ale on świetnie znał moją moc i zwalczył ją, zanim zadziałała na dobre. Smok poddał się zaledwie na chwilę, po czym odparł mój atak.

- Głupia - teraz nas zdenerwowałaś! - warknął, ciągnąc mnie w kierunku Jednorożca. - Kilka lat nie wystarczy.

W tej chwili stolik obok nas stanął w płomieniach; czerwone świeceki wybuchły jak miniaturowe wulkany. Smok zaklął i odskoczył, omal nie wyrywając mi ręki ze stawów. Zawył alarm przeciwpożarowy i uruchomiły się zraszacze. Ludzie biegli w naszym kierunku i krzyczeli - zauważyłam nagle, że kelnerzy i klienci trzymają w rękach broń, ujawniając się jako agenci organów ścigania. Nad naszymi głowami świstały pociski wystrzelone w odpowiedzi przez ochroniarzy sawantów.

Smok zanurkował pod stołem, ciągnąc mnie za sobą.

- Policja! Policja! - Krzyki ze wszystkich stron. - Rzućcie broń. Ręce do góry!

- Phee! - zawołał Yves, przekrzykując hałas. - Gdzie jesteś?

- Yves! - krzyknęłam.

Smok zasłonił mi ręką usta. Jednorożec dołączył do nas, przesuając się na brzuchu.

Yves!

- Zabieramy ją? - spytał krótko Smok.

Przez las nóg widzieliśmy białą sylwetkę Widzącego i reszty sawantów otoczonych przez uzbrojonych oficerów. Nikt ich nie dotykał; musiano uprzedzić agentów o ich szczególnej mocy. Policjanci nie przesuwali się do przodu. Kontratak ustał; trzy krzesła i kilka szklanek wisiało nam nad głowami; obracały się powoli jak kamienie w polu grawitacyjnym asteroidu. Czemu sawanci nie walczyli? Między oficerami stał pan Benedict, trzymając za rękę swoją żonę. Oboje mieli zamknięte oczy i koncentrowali się na czymś, dziwnie nieruchomi pośrodku całego zamieszania. Zanurzyłam się w ich umysły i zobaczyłam, że utrzymują coś w rodzaju muru ochronnego wokół grupy sawantów, żeby odeprzeć pociski. Jeden z

mężczyzn, chyba Sydney, upadł na ziemię ze strzałą w szyi. W tej samej chwili puszczone przez jego umysł krzesło upadło na podłogę. Policja używała pistoletów ze środkami uspokajającymi - genialne! Poczułam cień nadziei.

- Czas na nas. - Jednorożec włożył rękawicę z powrotem. - Potrzebujemy czegoś bardziej oczywistego niż mój dar postarzania ludzi, żeby zaczęli współpracować. Nie chcę stracić przytomności i znaleźć się w pilnie strzeżonym więzieniu.

Smok wyciągnął pistolet spod kurtki i przystawił mi go do szyi.

Yves! - zawołałam w panice.

Gdzie jesteś?

Stanowiący naszą tymczasową kryjówkę stół uniósł się ponad ziemię i pofrunął w kierunku sceny. Kątem oka zobaczyłam, jak przykucnięta za pianinem Sky kieruje nim palcem. Zed, stojący za jej plecami, telepatycznie rzucił butelką szampana w stronę Smoka, sprawiając, że skreśliła gwałtownie, żeby uderzyć go z zaskoczenia, ale Jednorożec dostrzegł ją w porę i odciągnął swojego brata z jej toru. Smok roztrzaskał ją machnięciem nadgarstka, a jej zawartość opryskała oficerów

przykucniętych za barem. Nie tracąc ani chwili, Smok pociągnął mnie w kierunku wyjścia.

- Rzućcie broń! - rozkazał oficer dowodzący, dostrzegłszy naszą trójkę poza kordonem policyjnym.

Jednorożec kopniakiem otworzył wyjście ewakuacyjne.

- Jeśli pójdziecie za nami, ona zginie.

Smok przy użyciu swojego daru odsunął z drogi oficerów pilnujących tylnego wyjścia. Uderzyli w ścianę i ześlizgnęli się wzdłuż niej jak marionetki, którym ktoś odciął sznurki.

Zamroź ich! - błagał rozpaczliwie Yves. Czulałam, jak próbuje przebić się przez krąg policjantów, ale oni mieli rozkaz zatrzymać wszystkich w miejscu i nie dotykać ich, bez żadnych wyjątków.

Próbowałam - to na nich nie działa. Za szybko się oswabadzają.

Znaleźliśmy się w brzydkiej alejce na tyłach klubu - nie było tam nic poza koszami na śmieci na kółkach i fragmentami opakowań od fast foodów. Policja, jeśli gdzieś była, to dobrze ukryta.

- Samochód - rzucił Smok krótko.

- Tak, daj mi ją. Ty jakiś załatw. - Jednorożec wziął pistolet i przyłożył mi do skroni, kiedy przejął

mnie od Smoka. Smok wypadł na ulicę ze wzrokiem utkwionym w BMW, które właśnie wysadziło pasażerów przed restauracją. Kiedy kierowca odjeżdżał, Smok wyszedł przed maskę i wyciągnął rękę. Wyglądało to, jakby samochód uderzył w niewidzialny mur. Widziałam napięcie na twarzy Smoka, kiedy zatrzymał pracę potężnego silnika. Potem wyciągnął palec w kierunku szofera.

- Wsiadaj!

Kierowcy nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wygramolił się na zewnątrz, zostawiając otwarte drzwi.

Smok otworzył tylne drzwiczki, żeby można było wrzucić mnie do środka. Jednorożec prawie się na mnie przewrócił, a pistolet utkwiał między nami, więc przez jedną przyprawiającą o mdłości chwilę myślałam, że przypadkiem wystrzeli.

- Są tutaj! W samochodzie! - Słyszałam głosy, między innymi głos Victora.

- Ruszaj! - rzucił Jednorożec.

Siedzący za kierownicą Smok wcisnął pedał gazu i odjechał z piskiem opon. Skręcając za róg, krzyknął triumfalnie.

- To było banalne! - zaśmiał się.

Jednorożec usiadł, czując się bezpiecznie - wiedział, że nikt nie będzie strzelał, kiedy ja jestem w samochodzie.

- O tak, łatwizna. Byliśmy dobrą drużyną.

Smok skręcił ostro w lewo na czerwonym świetle, powodując, że autobus obok wjechał w balustradę. Zatrąbił z radości.

- Dokąd jedziemy?

- Do Wspólnoty. - Jednorożec urwał kawałki materiału z rąbka mojej szyfonowej narzutki na sukienkę i zajął się

wiązaniem moich rąk i nóg. - Weźmiemy, co będzie trzeba, powiemy pozostałym, żeby się rozdzielili, i ustalimy spotkanie za cztery dni - kiedy wszystko się uspokoi. Samochód zakołysał się.

- Co? Przejmujemy władzę? Jednorożec pomasaował skronie.

- Oczywiście, że nie. Jesteśmy lojalni. Musimy - jestem pewien, że musimy. Ale Widzący na pewno chciałby, żebyśmy zadbali o jego własność podczas jego nieobecności.

Smok szybko załapał, o co chodzi.

- Tak, jeśli nie wyjdzie na wolność przez długi czas, przynajmniej będzie wiedział, że

wypełniamy jego wolę, żyjemy tak jak przedtem i czekamy, żeby przywitać go jak bohatera.

- Tak, coś w tym stylu.

- Biedny staruszek. - Smok zachichotał, zarażając rozbawieniem brata. - Nie spodoba mu się w więzieniu. Żadnych damulek do towarzystwa.

- Będą musieli dać mu osobną celę - inaczej w żadnej się nie zmieści.

- Ale pamiętaj: nie byłbym taki pewien, czy nie uda mu się przekonać ich, żeby go wypuścili. Lepiej pošlijmy mu prawnika - okażmy nasze dobre intencje. - Sugestia Smoka otrzeźwiła ich obu.

- Masz rację - musi zobaczyć, że zrobiliśmy, co mogliśmy - i ma w to uwierzyć.

Za nami odezwały się syreny. Smok zerknął w lusterko i celowo skręcił w stronę rzeki, z dala od naszego prawdziwego celu. Przejechał przez Tower Bridge i spróbował zgubić ogon w bocznych uliczkach Bermondsey.

Gdzie jesteś? - spytał Yves z rozpaczą.

Na południe od rzeki. Chcę wrócić do Wspólnoty. Ale nie możesz powiedzieć nikomu, gdzie to jest, pamiętasz? Wolę być zakładniczką, niż stracić więź z moim Przeznaczonym.

Phee...

Obiecuj!

*Dobrze, obiecuję. Wymyślę coś innego.
Uważaj na siebie.*

- Myślę, że musimy zmienić samochód. -
Smok zwolnił przed pubem dla motocyklistów,
widząc dwóch odzianych w skórę metalowców
odpoczywających na siodłach.

- Dasz sobie z nimi radę? - spytał
Jednorożec, zawiązując mi trzeci gałganek na
ustach jako knebel.

- Nie trzeba. Zobaczmy, czy się nie zamienią.
- Zatrzymał się gwałtownie i wyskoczył z
samochodu. - Hej, chłopaki, chcecie nowe BMW?
Jest super, ale za bardzo rzuca się w oczy.

Motocykliści spojrzeli na siebie, nie wierząc
swoim uszom.

- Chcemy pożyczyć motory na dzisiaj.
Jednorożec wyciągnął mnie z samochodu,
chowając pistolet za moją suknią.

- Co jej jest? - spytał większy z dwóch
mężczyzn. Musiał zdawać sobie sprawę, że raczej
nie byłam tutaj z własnej woli.

Jednorożec westchnął.

- Motocykliści z sumieniem - kto by
pomyślał? - Wbił mi pistolet pod żebra. - Twój
wybór, Phee: albo ich zamroziś, albo ich zabijemy.

Kiwnęłam głową, dając znać, że rozumiem. Szybko sięgnęłam do umysłów dwóch mężczyzn i zatrzymałam czas.

Smok zrzucił ich z siodeł i wskoczył na najbliższy motor. Helikopter zaczął kołować nam nad głowami, oświetlając reflektorem dachy.

- Szybko, zaraz znajdą samochód. - Smok uruchomił silnik.

- Co z nią robimy? - Jednorożec uniósł mnie w górę, ściskając mocno za ramię.

- Albo ją porzucimy, albo weźmiemy ze sobą jako zakładnika.

Jednorożec zastanowił się szybko i podjął decyzję.

- Pewnie już im powiedziała, dokąd jedziemy, więc może nam się przydać, aż wydostaniemy nasze rzeczy ze Wspólnoty. - Przeciął mi więzy na nogach, przerzucił sobie moje związane ręce przez głowę, tak że zawisłam mu na plecach, po czym usiadł na motorze i uruchomił silnik. - Jedziemy.

Motory ruszyły, zostawiając swoich poprzednich właścicieli leżących na ziemi przy otwartych drzwiach BMW.

21

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, nie było śladu pościgu. Wszystko wydawało się dziwnie zwyczajne, bo nie dotarła tu jeszcze wiadomość, że Widzący został złapany. Smok uderzył młotkiem w zardzewiałą drabinkę na placu zabaw - to był nasz sygnał alarmowy.

- Wszyscy uciekać! - krzyknął, kiedy zza drzwi w całym budynku wysunęły się głowy. - Za trzy dni sprawdźcie instrukcję tam, gdzie zwykle. - To oznaczało, że powieszą małą karteczkę w oknie kiosku na Mile End Road. Kartka pocztowa, reklamująca usługi sprzątające, z nieistniejącym numerem telefonu i adresem, była sposobem na przekazanie nam, dokąd mamy się udać po ewakuacji z poprzedniej kryjówki.

Członkowie Wspólnoty byli dobrze wytrenowani. Słyszałam, jak w całym budynku trzaskają drzwi, kiedy brali swoje zawsze spakowane torby i ruszali w stronę wyjść,

zostawiając zwykle zamknięte bramy szeroko otwarte. Tony wyjrzał zza drzwi swojej piwnicy i schował się prędko, zanim dostrzegli go moi bracia. Nagle dotarło do mnie, że czuję dym.

- Budynek się pali. - Smok spojrział w górę. - Tam. - Wskazał na krawędź dachu.

Smok zdjął mnie sobie z szyi i postawił mnie na nogi. Przykucnęłam, czując potworny ból pleców po dwudziestu minutach tortur w czasie jazdy bocznymi uliczkami City. Mimo ciepłego letniego wieczoru byłam przemarznięta. Może mnie tu zostawią. To byłoby miłe.

Ale miałam pecha. Moi bracia musieli rozmawiać telepatycznie o tym, co robić dalej, bo Smok przerzucił mnie sobie przez ramię i popędził z Jednorożcem na górę.

- Myślisz, że ktoś inny zdążył już wziąć rzeczy? - wydyszał Smok.

- Nie. Nie ośmieliliby się. - Jednorożec minął grupkę kobiet Widzącego, które prędko schodziły na dół, stukając obcasami.

- Co się dzieje? - spytała jedna, łapiąc go za rękaw. - Na górze się pali. Nie możecie nic zrobić?

Wyrwał się jej.

- Później. Teraz uciekaj. - Jego ton ostrzegł je, żeby nie prosiły o więcej informacji, więc

posłusznie odsunęły się, żeby nas przepuścić, i ruszyły dalej po schodach. Widziałam pełne obawy spojrzenia rzucone w moją stronę, gdy tak wisiałam Smokowi na plecach, ale nikt o nic nie pytał. We Wspólnocie nie robiliśmy takich rzeczy.

Kiedy dotarliśmy na piąte piętro, Smok wyciągnął pęk kluczy z kieszeni.

- Jak myślisz, tylko małe rzeczy?

Rzucając mnie na podłogę jak niechcianą walizkę, Smok oparł się o ścianę, żeby odzyskać oddech.

- Tak, nie ma czasu na resztę. Biżuteria i pieniądze powinny wystarczyć, żeby założyć interes gdzieś indziej.

Phee, uważaj! Próbuję ich wykurzyć. Yves nie mógł widzieć, że byłam związana i nie mogłam zareagować na jego ostrzeżenie.

Jestem w pułapce. Ostatnie piętro.

Apartament Widzącego nagle stanął w płomieniach. Pożar dachu rozprzestrzenił się niżej.

- Co u...! - wrzasnął Smok.

-To jej facet - jest tutaj. - Jednorożec kopniakiem otworzył drzwi, wypuszczając kłęby czarnego dymu. - Pali budynek od góry.

Powiedz im, żeby tam nie wchodzili. To dziki ogień - szybki i żarłoczny.

Związanymi rękoma wyszarpnęłam z ust knebel.

- Nie możecie tam wejść! - krzyknęłam, łapiąc Smoka za marynarkę, kiedy przygotowywał się do szalonego skoku po sejf. - To nie jest zwykły ogień - już wymknął się spod kontroli.

Smok odepchnął mnie.

- To twój Przeznaczony, co? Chodzi mu o pieniądze.

- Ale ich nie dostanie. - Jednorożec zdjął koszulę, zrobił z niej maskę na twarz i podał ją bratu.

Zasłoniwszy twarz materiałem, Smok nie czekał dłużej - rzucił się do płonącego pokoju i zniknął w kłębach dymu.

- Oszaleliście! Musimy stąd uciekać, póki jeszcze możemy! - Spróbowałam wyminąć Jednorożca, żeby dostać się do schodów, zanim zrobi to ogień.

- Ty nigdzie nie idziesz. - Jednorożec wyciągnął pistolet. - Twój Przeznaczony wszystko nam popsuł. Ciebie nie dostanie.

Smok wytoczył się na zewnątrz, niosąc sejf w poparzonych rękach.

- Zabij ją - rzucił krótko. Wybrałam jedyną drogę, która mi pozostała, i pobiegłam w kierunku

mojego starego pokoju na drugim końcu korytarza. Pistolet wystrzelił, a dziura po pocisku pojawiła się w ścianie nad moją głową. Chmura dymu rozdzieliła nas i częściowo ukryła mnie przed ich wzrokiem. Kolejny strzał i stwierdziłam, że tracę czucie w nodze. Przeszył mnie potworny ból, jakby trafił we mnie piorun.

- Trafiona. Idziemy - powiedział Smok, zanosząc się kaszlem.

Upadłam twarzą na beton, przygniatając sobie związane ręce.

Kula trafiła mnie w udo. Jednorożec miał rację. Ja nigdzie nie pójdę.

Musiałam stracić przytomność. Czyjeś zgrubiałe ręce uderzały mnie w policzek.

- Phee, musisz się obudzić. - To nie był Yves, jak miałam nadzieję, lecz Tony. Kuczał nade mną, a jego niedawno posiwiałe włosy opadały mu na czoło. Znajdowaliśmy się na niewielkiej, wolnej od dymu przestrzeni - dym zdawał się odpływać z dala od nas, jakby ktoś kazał mu zostawić nas w spokoju.

- Tony?

- Tak, *dashur*. Mamy kłopoty. Schody się palą.

- Co ty tu robisz?

- Widziałem, jak wnoszą cię na górę, i pomyślałem, że pójdę za wami. - Rozwiązał mi ręce i pomógł mi usiąść. Wykorzystał materiał, żeby obwiązać nim moją ranę, ale opatrunek wkrótce nasiąkł krwią. Traciłam dużo krwi. Czułam przeszywający ból, jakby w ciało wbijano mi kawałki szkła.

Phee, gdzie jesteś? - Yves wciąż mnie szukał.

Dalej, na ostatnim piętrze.

Zaklął. Nie wiedziałem. Zamilkłaś.

Zemdlałam. Naprawdę jestem w pułapce, Yves. Tony jest ze mną.

Twoi bracia mieli uciec, kiedy wybuchł pożar, a nie wbiegać do budynku!

Tak zareagowaliby normalni ludzie. Oni nie są normalni. Twój brat mówił coś o tym, że nie bierzesz pod uwagę planów innych ludzi, prawda?

Kiedy rozmawiałam z Yvesem, Tony rozglądał się w poszukiwaniu drogi ucieczki.

- Jest droga na dół - po rynnie. - Wskazał na krawędź balkonu. - Wygląda na solidną.

- Idź. - Nawet nie próbowałam się ruszyć. Nie byłabym w stanie zsunąć się na ziemię z kulą w nodze.

Tony nie odchodził.

- Powinnaś była zniknąć, kiedy ci mówiłem, Phee.

- Tak, pewnie masz rację. Ale wtedy nie spotkałabym mojego Przeznaczonego.

- Mam nadzieję, że był tego wart. - Poklepał mnie niezręcznie po ramieniu, po czym zerwał mi z szyi naszyjnik i schował do kieszeni. - Przepraszam, dashur.

- Ja też.

Przerzucił nogi przez gzyms.

- Może niedługo przyjedzie straż. W oczach stanęły mi łzy.

- Może. - *Tony schodzi na dół* - powiedziałam Yvesowi. - *Pomóż mu, jeśli możesz.*

Silny albański złodziej zrekompensował swoje kalectwo, rozwijając siłę zdrowej ręki i nogi, i teraz bardzo mu to pomogło. Jedną ręką złapał się rynny jak małpa, przerzucił swój pasek wokół niej i ześlizgnął się w dół. Musiałam się upewnić, że wylądował bezpiecznie. Podciągnęłam się, żeby wyrzeć zza muru, i patrzyłam, jak jego głowa znika mi z oczu.

Phee, tutaj! Yves mnie dostrzegł. Zobaczyłam go stojącego pośrodku placu zabaw, samotną sylwetkę przed płonącym blokiem. *Twoja kolej.*

Spodziewał się, że pójde w ślady Tony'ego.

Nie mogę. Jestem ranna. Strzelili mi w nogę. Moja noga zaczęła się trząść. Ciężko oparłam się o ścianę, zastanawiając się, co pierwsze mnie wykończy - utrata krwi czy dym. Nie niepokoiłam się tym wcale, co oznaczało, że robi mi się słabo. Perspektywa ponownej utraty świadomości wydawała mi się zachęcająca.

W takim razie idę po ciebie.

Nie ma mowy. Czy Tony jest na dole?

Yves spojrzał w kierunku wejścia do budynku. Tak. Ucieka. Chcesz, żebym go zatrzymał?

Nie, pozwól mu uciec. I nawet nie myśl o tym, żeby tu wchodzić. Nie dałbyś rady znieść mnie na dół i zginęlibyśmy oboje.

Ale to ja wzniciłem pożar - to moja wina! Rozpaczał nad czymś, na co nie miał już wpływu. Jego plan byłby wspaniały, gdyby się powiódł i gdybyśmy wszyscy uciekli z budynku.

To nie twoja wina, że moi bracia to wariaci.

Nie mogę tylko tak stać i patrzeć! Musi być coś, co mogę zrobić.

I nagle już nie był sam: jego rodzina przybyła i wbiegła na plac zabaw przez otwartą bramę prowadzącą na ulicę. Poczułam wielką ulgę. Przynajmniej powstrzymają go przed zrobieniem czegoś głupiego. Zgromadzili się wokół niego i

zaczęli go ściskać. Oparłam się o gzyms, szczęśliwa, że ostatnią rzeczą, jaką widzę, jest Yves otoczony ludźmi, którzy go kochają.

Phee, nie wolno ci się poddawać! - rozkazał Yves. - *Sprowadzimy cię na dół.*

Kocham cię.

Bez łzawych wyznań. - To Xav dołączył do naszej rozmowy. - *Potrzebujemy, żebyś stanęła na krawędzi.*

Chcemy pomóc ci spłynąć na dół, Phee. - Głos pana Benedicta był krzepiący.

Otarłam oczy. Zaczynałam mieć mroczki przed oczyma. Widziałam, jak Benedictowie i Sky otaczają Yvesa, trzymając sobie ręce na ramionach.

Obudź się, Phee, mamy plan. - Lekki głos Sky musnął mój umysł. - *Zed skanalizuje telekinetyczną moc nas wszystkich. Powinniśmy mieć jej dość, żeby sprowadzić cię na dół.*

Wyjdź na gzyms, kochanie. Musisz pomóc nam, żebyśmy mogli ci pomóc. - Yvesowi wróciła pewność siebie.

Jak mam wam pomóc?

Zeskoczysz na dół.

Ha, ha.

Zrobisz to.

Robiliście to wcześniej?

Tak, z owocami. - To był Xav.

Czemu mnie to nie uspokaja?

Stań na krawędzi, Phoenix. - To był Victor.
Używał swojego daru przekonywania.

Powiedz swojemu bratu, żeby przestał. - Dość miałam ludzi bawiących się moim mózgiem. - Zrobię to z własnej woli albo wcale.

Wycie syren strażackich przyniosło mi nową nadzieję. *Może poczekam na drabinę?*

Phoenix, nie ma na to czasu. Znam ogień - ten jest już prawie przy tobie. Odsuwam od ciebie dym, ale nawet ja nie potrafią zatrzymać płomieni, kiedy je wypuszczą. - Yvesowi kończyła się cierpliwość; jeśli nie zadziałałam, zrobi coś głupiego, na przykład spróbuje wspiąć się tutaj, żeby znieść mnie na dół.

Dobra, dobra. - Zazgrzytałam zębami i podciągnęłam się, żeby stanąć na krawędzi. Całe moje ciało przeszył ból. Czarne kropki zawirowały mi przed oczyma - zawroty głowy czy drobiny popiołu, nie byłam pewna.

Złapiemy cie, skarbie - szepnęła Karla, trzymając ręce przy ustach, żeby powstrzymać krzyk. O Boże, Boże, naprawdę zamierzałam rzucić się w dół i zaufać im, że zrobią, co trzeba?

Nie wątpiłam, że spróbują, ale co będzie, jeśli im się nie uda?

Przełożyłam nogi nad krawędzią, nie zwracając uwagi na dotkliwy ból. *Wracając do tych owoców, Xav, zawsze je łapiesz?*

Za każdym razem - zapewnił, tym razem zupełnie poważny.

Odepchnęłam się.

I zaczęłam szybko spadać w dół.

Yves!

Nagle kierunek mojego upadku się zmienił. Czuję, że jestem odpychana od budynku, jakby pode mną pojawiła się skocznia. Ale i tak chyba leciałam za szybko?

Trzymaj się! - ostrzegł Yves.

Czego? - krzyknęłam.

Wystrzeliłam do przodu, prosto w jego ramiona. Przewrócił się, a ja upadłam na niego.

- Mnie - odparł bez tchu. Słyszałam, jak Xav się śmieje.

- Udało się! Naprawdę się udało! Nie wierzę!

- Już cię nie puszcę - przysięgam, zanim zemdlałam po raz drugi.

22

Obudziłam się w szpitalnym łóżku, nieprzytomna i przekonana, że zamiast nogi mam arbuza - pulsującego i spuchniętego.

- Czuję się okropnie - wymamrotałam pod nosem.

- Nie wyglądasz okropnie, wyglądasz cudownie. Uniosłam powieki i zobaczyłam Yvesa siedzącego przy moim łóżku, z ręką na mojej spoczywającej na pościeli dłoni. Przez znajdujące się za nim okno do pokoju wpadało światło słoneczne, które sprawiało, że biała pościel aż świeciła. Słyszałam pomruk ruchu ulicznego na zewnątrz, głosy na korytarzu, ale w moim pokoju panował spokój. Wielokolorowe balony unosiły się nad każdym stolikiem i półką - radość Benedictów z mojego ocalenia wdzierała się do szpitalnej sali.

- Czemu ci nie wierzę?

- Powinnaś, bo to prawda. Żyjesz, a mój głupi pożar do ciebie nie dotarł - dla mnie to cud.

- Łatwo cię zadowolić. - Przesunęłam językiem po wyschniętych wargach. Yves sięgnął po kubek ze słomką i przytrzymał mi go, żebym mogła się napić. Przyjrzałam się sobie dokładniej i stwierdziłam, że do lewej ręki podłączono mi kroplówkę, a prawe udo owinięte mam grubym bandażem.

- Kula?

- Wyjęta. Powinnaś szybko dość do siebie. Xav obiecał, że pomoże zmniejszyć bliznę, ale obawiam się, że zostanie ci już na zawsze. - Spuścił wzrok i popatrzył ponuro w podłogę. - Przepraszam za ten pożar, Phee. Już drugi raz ci to zrobiłem. - Kochany Yves: wydawał się autentycznie przejęty, że będę go za to winić.

- Przestań. Nie możesz czuć się winny. Moi bracia nie są normalni - nie mogłeś przewidzieć, jak na to zareagują.

Yves ścisnął moją rękę.

- Jeśli o nich mowa, ja... mam złą wiadomość. Serce zabiło mi mocniej.

- Jaka?

- Chyba nie udało im się uciec. Strażacy znaleźli na schodach dwa ciała.

- Rozumiem...

- Chcieliby zrobić ci test DNA, bo... no cóż, po ugaszeniu pożaru nie było łatwo ich zidentyfikować. Victor zastanawiał się, czy jako ich najbliższa krewna, która współpracuje z władzami, zgodziłabyś się...?

- Oczywiście. - Odchrząknęłam, niepewna co do swoich uczuć. Zostawili mnie, żebym umarła, ale nie mogłam się cieszyć, że padli ofiarą ognia. Nikt nie zasługiwał na taką śmierć. - Powiedz mu, że się zgadzam. - Nie chciałam o tym myśleć. Tyle jeszcze nie wiedziałam. - Lepiej wszystko mi opowiedz.

Yves puścił moją rękę i pogłaskał mnie po policzku czubkami palców.

- Zamknęliśmy wszystkich bossów. Większość z nich czeka na deportację, bo popełnili przestępstwa za granicą, ale Widzący jest oskarżany o wiele kradzieży i morderstw.

Zamknęłam oczy.

- To dobrze. Ale jak...?

- Ten program, który zainstalowałam na pendrivie? Był tam też mały dodatek, który miał wydobyć kluczowe pliki dla zainteresowanych stron. Kiedy tylko okazali się na tyle głupi, żeby skopiować go na swoje komputery - wbrew moim wyraźnym instrukcjom, pamiętaj - mój cyfrowy

zwiadowca zaczął wyszukiwać wybrane terminy. Organy ścigania na całym świecie zaczęły nagle otrzymywać najbardziej obciążające ich informacje na temat przemytu i innych przestępstw. Widzący chwalił się w internecie zniknięciem Mitcha Bannistera; znałaś go?

Przypomniałam sobie, jak Tony powiedział mi, że Widzący rozkazał Mitchowi popełnić samobójstwo.

- Tak. Wydaje mi się, że jest zakopany w Epping Forest.

- To jedno z wielu ciał, które poddadzą ekshumacji -jest ich dużo więcej. Znamy też prawdziwe nazwisko Widzącego. Chcesz je poznać?

Skinęłam głową.

- Kevin Smith. Nuda, prawda? Nic dziwnego, że wymyślił dla siebie nowe imię.

Pocieszające było dowiedzieć się, że Widzący był zwyczajną osobą, jak każdy z nas - czułam się, jakbym zajrzała pod łóżko i zobaczyła, że potwora jednak tam nie ma. Ale ślad jego dominacji wciąż istniał w postaci pułapek, które zastawił na mnie w mojej głowie.

- A jak twoja rodzina znalazła nas w klubie i we Wspólnocie?

- Nie powiedziałem im, o to się nie martw. Pamiętasz, jak mówiłem, że liczę na to, że wykonają swoją część?

-Tak.

- Tak jak się spodziewałem, Zed zobaczył nas w klubie - a przynajmniej ciebie. Mnie zazwyczaj nie widzi, bo więzi rodzinne przeszkadzają mu w przewidywaniu przyszłości. Na szczęście założyli, że ja będę z tobą. Nie wiedzieli, czemu tam jesteśmy, ale Victorowi wystarczyło to, żeby rozpocząć operację. Amerykańskie i angielskie organy ścigania obserwowały tę grupę od jakiegoś czasu, więc była to tylko kwestia wprowadzenia w życie ich planów, ze środkami uspokajającymi i wszystkim innym. Największym problemem było znalezienie muzyków z tak małym wyprzedzeniem - nie mogliśmy ryzykować wystawienia prawdziwych artystów na niebezpieczeństwo - dlatego moja rodzina i kilku przyjaciół przejęło pałeczkę.

- Moim zdaniem byli wspaniali. Nikt nie miał podejrzeń - grali tak profesjonalnie. Twoja mama i Sky - po prostu super!

Yves uśmiechnął się.

- Tak, dobre były, prawda? Tata i Zed wpadli w histerię, zanim pozwolili im to zrobić, ale wszystko się udało.

- Czy twoja rodzina wie, że ich nie zdradziłeś? Yves wzruszył ramionami.

- Nigdy by we mnie nie zwątpili.

- Ale ja wątpiłam. - Nie było miło się do tego przyznać.

- Phee, daj spokój. Dla mnie zeskoczyłaś z krawędzi. Myślę, że możemy powiedzieć, że ufasz mi wtedy, kiedy to ważne. - Yves odsunął się w krześle i oparł nogi na łóżku. - Celowo o niczym ci nie mówiłem, więc nie powinnaś się winić. Nie chciałem, żeby Widzący wydobył z ciebie tajemnicę.

Nie byłam jednak niewiniątkiem. Nadal nie powiedziałam mu o mojej próbie ukradzenia mu pendrive'a na diabelskim młynie. Mimo to było mi głupio, że nie domyśliłam się, co planuje, ale tym mogłam przejmować się później: wciąż chciałam się jeszcze czegoś dowiedzieć. -A budynek - jak twoja rodzina dotarła tam na czas, skoro nie powiedziałaś im, dokąd mają jechać?

- To zasługa moich plików. Kiedy dostałem twoją wiadomość, wskoczyłem w pierwszą taksówkę, która się zatrzymała, zostawiając resztę samym sobie. Victor wiedział, gdzie Widzący

ostatnio przebywał - domyślił się, że twoi bracia zechcą wrócić po łupy. Ma niezły instynkt, jeśli chodzi o przestępców.

Zamilkłam, zastanawiając się nad tym, co mi powiedział. Żadna z granic Widzącego nie została przekroczona; nie musiałam robić nic, żeby nas ukarać. Mieliśmy niesamowite szczęście; prześlizgnęliśmy się obok pułapek Widzącego jak narciarze na slalomie gigancie, którzy przyginają słupki do ziemi, ale ich nie przewracają.

- Zmęczona? - Yves wyciągnął rękę, żeby odgarnąć mi włosy z twarzy.

- Nie, tylko... trudno mi uwierzyć, że to koniec. Bo to koniec, prawda?

- Prawie. - Jego oczy błysnęły psotnie. - Mam dla ciebie prezent - i pytanie, ale myślę, że powinniśmy poczekać, aż wrócą ci siły.

Jęknęłam.

- Nie możesz tak robić - kusić mnie prezentem, a potem mi go zabierać.

Roześmiał się - wspaniały dźwięk.

- Masz rację. W takim razie: oto on. - Rzucił mi go na brzuch: małą czerwoną książeczkę.

- Mój paszport!

- Teraz jesteś legalna.

- Skąd masz zdjęcie? - To byłam ja tamtej nocy w klubie, łącznie ze stokrotkowym naszymi.

- W klubie było pełno kamer. Zrobiłem zrzut ekranu z tobą z ponurą miną, popracowałem trochę w Photoshopie i proszę. Brytole z wielką ochotą przyspieszyli dla nas procedury, bo jesteśmy teraz ich ulubieńcami.

Zerknęłam za okno. Skoro zdążył tyle zrobić, musiałam być nieprzytomna dłużej, niż myślałam.

- Który dzień dzisiaj mamy?

- Przespałaś większość wczorajszego dnia - w czasie operacji i na bloku pooperacyjnym. Budziłaś się kilka razy, ale raczej tego nie pamiętasz.

Tak długo? Moi bracia nie żyli od prawie dwóch dni, a popioły zdążyły już wystygnać. Czy wszystkim innym udało się uciec? Znałam odpowiedź bez pytania. Yves powiedziałby mi, gdyby znaleźli więcej ofiar. Tylko ci głupcy, którzy rzucili się do płonącego budynku, znaleźli się w pułapce. Ale bez Widzącego, Smoka i Jednorozca Wspólnota przestała istnieć. Jej członkowie ulegli rozproszeniu. Nigdy się już nie połączymy - oczywiście jeśli systemowi sprawiedliwości uda się dopilnować tak zdolnego manipulatora jak Widzący. To był problem na później; w tej chwili

pozostali byli wolni. Tony pewnie sprzedał naszyjnik i zaczął nowe życie gdzieś poza zasięgiem władz. Ja też miałam zacząć od nowa.

- A to pytanie, które chciałeś mi zadać?

Yves oparł się o moją poduszkę i pocałował mnie delikatnie.

- To naprawdę musi poczekać. Lekarze kazali ci odpoczywać, a ja muszę powiedzieć wszystkim, że się obudziłaś i nie jesteś na nas zła za ten kaskaderski numer.

- Zła nie, ale jestem przekonana, że nie jesteście normalni.

- Możliwe, że się nie mylisz.

Nie chciałam, żeby już wychodził.

- Lepiej wypocznę, jeśli zadasz mi to pytanie teraz. Nie znoszę czekania.

- OK, ale pamiętaj, że ty tego chciałaś. - A potem, ku mojemu przerażeniu, ukląkł na jedno kolano, tuż przy moim łóżku. - Wyjdź za mnie, Phee.

- Co takiego?!

- Wiem, że to dużo wcześniej, niż każde z nas planowało, ale o tyle łatwiej będzie ci wyjechać do Stanów, jeśli pojedziesz jako moja żona.

Przycisnęłam ręce do piersi. Serce waliło mi jak młotem.

- O rany, wiesz, jak zaskoczyć dziewczynę. -
Roześmiałam się. Wreszcie dotarło do mnie, co
powiedział. - Chcesz, żebym za ciebie wyszła,
żebym mogła dostać wizę?

Rzucił mi urażone spojrzenie.

- Nie! To tylko uboczna korzyść, która
pomogła mi podjąć decyzję. Chcę, żebyś za mnie
wyszła, bo cię kocham - tylko tyle.

- Ale dopiero za kilka tygodni będziemy
mieli osiemnaście lat. Jak możemy być gotowi na
małżeństwo?

- Nie chcesz za mnie wyjść?

- Nie chodzi o ciebie. - A niech to, to go
zabolało. - Po prostu nie jestem dziewczyną, która
wychodzi za mąż.

Yves skrzyżował ręce na piersi.

- Czemu nie? To zupełnie legalne i rozwiąże
całe mnóstwo problemów w Stanach.

- Och, Yves. - Przygryzłam wargi. Kogo
próbowałam oszukać? Naszymi działaniami przez
kilka ostatnich dni udowodniliśmy, że chcemy być
razem na zawsze. Małżeństwo było tego naturalną
konsekwencją, a ja nie byłam tak głupia, żeby
odrzucać kogoś, kogo kochałam nad życie. Tylko
że...

- Jak wiele uczennic liceum to mężatki? Yves wzruszył ramionami.

- Niewiele - jeśli w ogóle. Ale ty już jesteś wyjątkowa, więc czemu nie? - Pochylił się bliżej. - Jeśli chcesz, możemy to trzymać w tajemnicy. Oboje jesteśmy dobrzy w zachowywaniu sekretów.

To mi się podobało: pojawić się w szkole jako dziewczyna o skandalicznej przeszłości, podczas gdy naprawdę jest się szacowną mężatką.

-OK.

Yves spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem. -OK co?

- Tak, Yvesie Benedict, wyjdę za ciebie.

Yves podskoczył i położył się koło mnie na łóżku, tak że nasze nosy się zetknęły. Uważał, żeby nie dotykać mojej rany.

- To, Phoenix Corrigan, jest najwspanialsza wiadomość dzisiejszego dnia. - Jego wargi delikatnie dotknęły moich, żeby przypieczętować umowę.

Za nami ktoś odchrząknął.

- Dzieci, dość tego.

Zerknęłam za plecy Yvesa i zobaczyłam stojącą w drzwiach całą jego rodzinę i Sky. Pan Benedict się odezwał, ale nie wyglądał na zmartwionego, że nas tak zastał.

Zed otoczył Sky ramieniem.

- Widzisz, mówiłem ci, że nic jej nie będzie. Xav ściągnął Yvesa ze mnie i podsunął mi dzwonekwzywający obsługę.

- Będiesz tego potrzebować, Phee, kiedy mój irytujący młodszy braciszek znów ci będzie przeszkadzał. Tylko zadzwoń, a natychmiast przybiegną pielęgniarki. Jedna z nich wygląda jak zawodowa zapaśniczka, więc da sobie z nim radę.

Yves dał Xavowi kuksańca.

- Nie przeszkadzam jej. Pobieramy się.

Kiedy Karla pisnęła z zachwyty, Xav i Zed jęknęli.

- Powiedziałeś słowo na „p” - stwierdził Victor z rozpaczą. - Teraz nasza matka będzie nie do zniesienia. - Podszedł do mnie. - Phoenix, chciałbym cię bardzo przeprosić za wszystko, co będziesz musiała znieść z rąk naszej rodzicielki. - Pochylił się niżej i szepnął mi do ucha. - Ona chce dobrze.

Yves za późno zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

- To będzie mała ceremonia - jutro. Tak żeby Phee mogła wyjechać z nami jak najszybciej.

- Ale nie zdążymy sprowadzić Tracea, Uriela i Willa! -zawołała żałośnie Karla, patrząc na Yvesa,

jakby właśnie zastrzelił jej ukochanego szczeniaczka.

- Phee jeszcze przez jakiś czas nie będzie w stanie wziąć udziału w wielkiej ceremonii. - Yves próbował się wykrę-

cić, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to na nic. - Phee, powiedz coś mojej mamie.

Wyszczrzyłam zęby, nie chcąc być wciągana w dyskusję.

- Jestem pewna, że twoja mama wie najlepiej, Yves. Karla uśmiechnęła się do mnie szeroko, a potem pogroziła Yvesowi palcem.

- Wiedziałam, że lubię tę dziewczynę, Yves. Traktuj ją dobrze, bo będziesz miał ze mną do czynienia.

Nie mogłam powstrzymać ziewnięcia, chociaż byłam szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd. Walczyłam ze zmęczeniem i tęnym bólem w nodze. Matczyny radar działał pełną parą i Karla w sekundę była przy mnie.

- Wszyscy wychodzą! - zawołała. - Phoenix musi odpoczywać, jeśli tak szybko ma być panną młodą. - Znów obdarzyła mnie uśmiechem. - Taka młoda! Byłam w twoim wieku, kiedy wasz ojciec zaprowadził mnie do ołtarza.

Saul wyglądał na zakłopotanego tym wspomnieniem. Xav się roześmiał.

- Uwodziciel nieletnich - zażartował. Karla pocałowała swojego męża w usta.

- Uwiedliśmy się nawzajem. A teraz wychodzimy. Benedictowie posłusznie opuścili pokój. Yves wyglądał, jakby wolał zostać, ale jego mama wzięła go pod rękę, żeby kontynuować „dyskusję” na korytarzu. Zasnęłam z uśmiechem na ustach.

23

Karla dała się przekonać do niewielkiej cywilnej uroczystości w Londynie, żebym spełniła wymagania wizowe. W zamian obiecaliśmy jej, że weźmiemy prawdziwy ślub w kościele miesiąc później w rodzinnym mieście Yvesa, Wrickenridge, w Kolorado. Argument, który przypieczętował sprawę - sprytnie to wymyśliłam, jak przyznał Yves - był taki, że żadna panna młoda nie chciałaby kuśtykać do ołtarza. Na mojego świadka wybrałam Sky, Yves na swojego wybrał Xava, a jego pozostali bracia mieli zajmować się gośćmi.

Natychmiast polubiłam to małe miasteczko w Górach Skalistych, w którym mieszkali Benedictowie; pokochałam jego krajobraz i mieszkańców w ciągu pięciu minut od przyjazdu. Chociaż teoretycznie byliśmy z Yvesem małżeństwem, Karla nalegała, żebyśmy mieszkali osobno aż do „właściwego” ślubu. Na kilka tygodni zamieszkałam więc ze Sky i jej rodzicami, Sally i

Simonem, w ich gotyckim drewnianym domu. Sally była mną szczególnie zaciekawiona, bo wyczuwała, że, najdelikatniej mówiąc, nie wychowałam się w zwyczajnym środowisku. Sky udawało się jednak powstrzymać ją przed zadawaniem zbyt wielu pytań. Myślę, że jej sekret polegał na odwracaniu uwagi: za każdym razem, kiedy Sally chciała zacząć przepytywanie, Sky pytała o jej zdanie na temat sukni ślubnej albo ułożenia kwiatów. Będę musiała się nauczyć, jak radzić sobie z matkami, skoro zyskiwałam fantastyczną teściową, która miała zrekompensować mi mój rażący brak jakichkolwiek krewnych.

W czasie tej chwili spokoju pomiędzy wydarzeniami w Londynie a naszym ślubem zaczęłam rozumieć, że bycie Przeznaczonym to coś znacznie więcej, niż obiecywały bajki mojej mamy. Chociaż nie mieszkaliśmy w tym samym domu, dzięki naszej telepatycznej więzi byliśmy prawie cały czas razem. Nie chodzi o to, że bez przerwy rozmawialiśmy - byliśmy raczej świadomi swojej obecności, jakbyśmy w myślach trzymali się za rękę. Mój świat obrócił się wokół własnej osi, bieguny magnetyczne zmieniły miejsce, bo teraz nigdy nie byłam sama. A nasze dary, złączone razem, zaczynały kwitnąć, tak jak u Sky i Zeda.

Odkryłam, że mogę wykorzystywać moją zdolność zamrażania czasu, żeby działać jako coś w rodzaju zapory ogniowej, więc Yves nie musiał się martwić, że traci nad sobą panowanie (a obawiam się, że doprowadzałam go do tego bardzo często - nowe życie niezupełnie zmieniło dawną Phoenix). Naprawdę byliśmy bardziej kompletni razem niż osobno.

W wieczór przed naszym wielkim dniem Sky weszła do pokoju gościnnego z wieścią, że mam gości. Szybko przyczesalam włosy i zeszłam na dół, już prawie nie kuśtykając. W salonie czekali na mnie wszyscy bracia Benedict, włącznie z tymi, których dopiero co poznałam: Tracem, przysadzistym gliniarzem z Denver, którego wygląd łagodziły inteligentne brązowe oczy, Urielem, refleksyjnym i obdarzonym niezwykle intuicją studentem z burzą jasnobrązowych włosów, Willem, najbardziej wyluzowanym, kumplem każdego faceta i obiektem westchnień każdej dziewczyny. Spojrzałam na Yvesa, zastanawiając się, co ich tu wszystkich sprowadziło.

- Obawiacie się, że ucieknę? - zażartowałam. Yves pociągnął mnie na kanapę obok siebie.

- Za późno, pani Benedict, już jesteśmy małżeństwem.

- Tylko teoretycznie, według twojej mamy. Więc co was tu sprowadza? Nie żebym nie cieszyła się, że was widzę -poprawiłam się prędko, nie chcąc obrazić tylu szwagrów.

Victor odchrząknął.

- Mamy dobrą wiadomość i złą wiadomość. Którą chcesz usłyszeć najpierw?

Serce zaczęło mi bić mocniej.

- Zawsze złą wiadomość. Co się stało, pastor ma ospę wietrzną?

Victor uśmiechnął się lekko i pokręcił głową. Zerknął na Tracea, ale jego starszy brat skinął na niego, żeby to on przekazał mi wiadomość.

- Tych dwóch mężczyzn znanych jako Smok i Jednorożec...

- Tak, to moi bracia. Zginęli w pożarze, prawda?

Yves musnął moje biodro; nie lubił tego wspominać. Wiedziałam, że wciąż czuł się po części winny ich śmierci.

- Nie byli twoimi braćmi. Test DNA wyszedł negatywny, nie jesteś z nimi w żadnym stopniu spokrewniona.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Poza tym nie byli też swoimi braćmi. To nas zaciekało i sprawdziliśmy próbkę pobraną od Kevina Smitha, znanego ci jako Widzący. Nie jest ojcem żadnego z was. Właściwie, na podstawie innych informacji o jego stanie zdrowia, podejrzewamy, że jest bezpłodny, chociaż nawet przestępca ma prawo do prywatności, więc nie mogę tego potwierdzić.

- Co masz na myśli...? Więc te wszystkie kobiety...?

- Właśnie. Myślę, że możemy założyć, że były z nim tylko dla ozdoby. Lubił mówić, że jest ojcem ich dzieci, nie przyznając się do tego, że to zmyśla. Pewnie nawet przekonał niektóre z nich, że to prawda, może nawet samego siebie.

Objęłam się ramionami, do głębi wstrząśnięta. Dopiero co pogodziłam się z moim tzw. złym pochodzeniem, a teraz musiałam przemyśleć wszystko od nowa.

- Nie był moim ojcem. -Nie.

- Więc kto nim był?

- To wiedziała tylko twoja matka.

- Jakiś mężczyzna... Z Grecji, tak mówiła.

Trace wstał, żeby przyjrzeć mi się z bliska, jakby miał złożyć raport na temat podejrzanego.

- Wydaje mi się, że to dość prawdopodobne: masz śródziemnomorską urodę - ciemne włosy, oliwkowa skóra, przeciętny wzrost.

- OK, mogę w to uwierzyć. Czyli jednak mnie nie okłamała. - Odwróciłam się do Yvesa, uśmiechając się przez łzy. - A myślałam, że tak było.

Yves wytarł łzy, które spłynęły mi po policzkach.

- To nie ma znaczenia, Phee. Trace wrócił na miejsce.

- Może zastanawiasz się, czemu wszyscy jesteśmy tutaj, żeby przekazać ci tę wiadomość.

Nie zastanawiałam się, ale miał rację. Trochę dziwne było dzielić taką intymną chwilę z tyloma osobami.

- Jesteście wścibscy?

Trace roześmiał się, jakby z jego szerokiej piersi wydobył się grzmot.

- Tak, to też. Ale przy kolacji zdaliśmy sobie sprawę, że nie masz ojca.

- No... tak, właśnie to ustaliliśmy, prawda?

- Nie masz nikogo, kto zaprowadziłby cię do ołtarza. Ach. Teraz zrozumiałam.

- Więc pomyśleliśmy, że, jeśli będziesz chciała, pozwolimy ci wybrać któregoś z nas. Każdy będzie zaszczycony, jeśli go wybierzesz.

Yves uśmiechnął się szeroko do swoich braci; był z nich w tej chwili niezwykle dumny.

Sky podskoczyła na kolanach Zeda.

- To takie słodkie, chłopaki! Nie wiem, jak ona zdoła wybrać.

Ja też nie wiedziałam. Trace, Victor, Uriel, Will... Xav

pokręcił głową.

- Obawiam się, że ja nie. Lepiej zostanę przy tym pierścionku, który mam podać.

Więc nie Xav. Został jeszcze Zed. Pięciu cudownych chłopaków, którzy chcieli jutro ofiarować mi swoje ramię.

- Tata też by to zaproponował - dodał Uriel - ale powiedzieliśmy mu, że to nasza sprawa. On musi powstrzymywać mamę, żeby zupełnie się nie rozkleiła.

- Najtrudniejsze zadanie ze wszystkich - mruknął Will. Zwróciłam się do Yvesa.

- Nie przeszkadzałoby ci, gdybym ukradła ci coś - może nawet więcej niż coś?

Zmarszczył oczy w uśmiechu.

- W żadnym wypadku. Co tym razem - telefon, portfel, chyba nie pierścionelek? - Poklepał się po kieszeni.

Trąciłam go łokciem pod zebro.

- Nie, oczywiście, że nie. Chcę ukraść ci wszystkich braci, którzy mieli zajmować się gośćmi. Chcę mieć pięciu zastępczych ojców, którzy zaprowadzą mnie do ołtarza i wynagrodzą mi to, że wciąż tracę swojego.

Zed przybił Sky piątkę.

- Widzisz, mówiłem, że ślub będzie dziwny, kiedy go wczoraj zobaczyłem.

Zachwycony tym kompromisem, Yves pocałował mnie mocno.

- Weź ich, proszę. Nie pozwoliliby mi żyć, gdybym ci odmówił.

W ten sposób we Wrickenridge wciąż mówi się o naszym ślubie: o biednym pastorze, który omal nie padł trupem, słysząc pięć grubych głosów odpowiadających na pytanie, kto oddaje tę kobietę; o zdjęciach ze ślubu, na których strona panny młodej jest dziwnie liczniejsza od strony pana młodego, chociaż jestem sierotą; i o dziwnych incydentach z owocami na przyjęciu.

Mieszkańcy Wrickenridge nie znają jednak naprawdę skandalicznej tajemnicy: państwo młodzi są złodziejami pełną gębą. Moje pretensje do tego tytułu są zupełnie słuszne - chociaż od tej pory planuję kradzieże tylko zgodnie z prawem. Yves dołączył do mnie w Holu Sławy Robin Hooda, bo, jak przypomniał mi, kiedy wracaliśmy z przyjęcia, ukradł mnie sprzed nosa największym przestępcom świata i nie planował mnie im oddawać. Nigdy.